

Skąd przychodzi woda ■ Co dziś łączy Dudę i Tuska ■ Ciemne strony imigracji
Charków chce żyć ■ Odkrywamy Warszawę ■ Szukaj skarbu w swoim domu

Kraków 18 – 24 września 2024 nr 38 (3924)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

O. Ludwik Wiśniewski: Spowiedź mojego życia

EKSTRA STRONY
O LITERATURZE
GOMBROWICZ
HŁASKO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



PREMIERA 30 WRZEŚNIA
TRWA PRZEDSPRZEDAŻ

KARL SCHLÖGEL

Zapach imperiów

Chanel N°5
i Czerwona Moskwa

słowo/obraz terytoria

Jeden zapach,
dwóch perfumiarzy,
dwie kultury
i dwie kobiety,
w których losach
odbiła się historia
XX wieku.

KARL SCHLÖGEL
przedstawia dzieje
perfum ikonicznych
dla Rosji Sowieckiej
i Zachodu i opowiada
o najbardziej
dramatycznych
momentach XX wieku.



Każda epoka ma swój aromat, własny zapach. „Stulecie skrajności” wytworzyło swoje zapachowe światy. Rewolucje, konflikty zbrojne, wojny domowe to były również wydarzenia olfaktoryczne. Podział świata w ostatnim stuleciu można teraz badać i relacjonować post festum – niejako „z pomocą nosa”.

Karl Schlögel

słowo/obraz terytoria

KS. ADAM

Boniecki: *Inna forma życia*

Rozmowie z ojcem Ludwikiem Wiśniewskim daliśmy tytuł „Spowiedź”. Co to w tym wypadku znaczy? Ojciec Ludwik, podobnie jak ja, stoi w obliczu końca doczesnego życia. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku i w tej samej życiowej sytuacji. Podsumowania przychodzą nam naturalnie. Widząc zarys drugiego brzegu, inaczej ogląda się to, co było. Wspomnienia stają się wyznaniami, wybrzmiewają jak spowiedź. Siłą rzeczy.

Pamiętam wszystkie publikowane w „Tygodniku” teksty ojca Ludwika. Nie jest tak, żeby w rozmowie twierdził teraz coś innego niż dawniej. Rzecz w tym, że nawet o tym, o czym mówił dawniej, teraz mówi inaczej.

Opowiem o moim doświadczeniu momentu, który błyskawicznie zmienił perspektywę: udar, jakiś kłopot z mózgiem. Najpierw spokojne myślenie, że to koniec, że Boga nie ma, życia po śmierci nie ma. Nic nie ma. Ale nie panika, nie strata. Spokój. Odjazd w nicłość. Pamiętałem, żeby nie zaprzestać modlitwy, więc jakoś się modliłem, ale możecie sobie wyobrazić, co to była za modlitwa. I kolejny etap, powrót wiary, ale innej, nie tej, co była. Już bez żadnych wyobrażeń o tym, co będzie. Ale z przekonaniem, że będzie. Tutaj kropka, nie będę przecież opisywał swoich przeżyć. Piszę przecież o ojcu Ludwiku. Ośmielam się tu na własne wspomnienia, bo podobne są nasze losy.

Słowa ojca Ludwika są w tej rozmowie spokojne. Nie ma w głosie i na ustach ani negatywnych sądów, ani powątpiewań. Nie jest zachwycony światem, z którym się po trochu żegna, ale nie wypowiada sądów, potępień ani przepowiedni zagłady. Wyraźnie widzi to, czemu starał się pomagać w całym swoim życiu: nasz ludzki, pokręcony los.

Wielu ludziom towarzyszyłem w ostatnim etapie ich ziemskiego życia. Czasem trwało to miesiące, czasem krótkie chwile.



Moje rozmowy z nimi, to, co mówili, nie były do siebie podobne. Dziwne, lecz takie jest moje skromne doświadczenie świadka końca życia: jest, jak ludzie, różny. Spotkałem ludzi, którzy szli ku kresowi z wiarą i spokojem. Nawet radośnie. Pamiętam kobietę, którą wręcz spytałem, czy się nie lęka i dobrze pamiętam jej zdziwienie: „Bać się? Czego? Przecież idę do Boga”. Nie wyglądała na umierającą, a odeszła zaraz po naszej rozmowie. Czasem odchodzą wpatrzeni

w coś, czego my, stojący blisko, nie widzimy. A oni widzą. Modlimy się: „Od naglej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”. Cóż, jednak nie od naglej, ale od niespodziewanej tak. Nagła może być łaska.

Ojciec Ludwik oby żył jak najdłużej. Ale z rozmowy w „Tygodniku” wolno sądzić, że na moment odejścia się szykuje. Zwykle staramy się o tym nie mówić. Niby wiemy, że każde ludzkie życie się kończy, ale chcemy, żeby to życie nie kończyło się jeszcze teraz. Niby my, wierzący, ufamy, że Pan Bóg wie lepiej, ale niepoprawnie i skrycie jesteśmy przekonani, że to jednak my wiemy lepiej. Ojciec Ludwik mówi, że żył w poczuciu bycia prowadzonym. I w nim pozostał niezmiennie do dziś.

Temat odchodzenia, zwłaszcza w przypadku starszych ludzi, jest zwykle uprzejmym milczeniem pomijany. Dla nas, ludzi wiary, tak być nie powinno. Nie tylko dlatego, że wierzymy w „życie wieczny”, ale i dlatego, że liczymy na dalszą współpracę. Zresztą o niej się codziennie przekonujemy, mając znaczną grupę bliskich po tamtej stronie. Kto nie chce wierzyć, niech nie wierzy. Ja nie tylko wierzę, ale mam na to całkiem konkretne dowody. To jest naprawdę solidna współpraca. © ©

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego”.

TP W JEDNYM Z NAJBLIŻSZYCH NUMERÓW „TYGODNIKA”

RAPORT O STUDIACH WYŻSZYCH

- Jakie kierunki wybierają polscy studenci?
- Jak się do tego ma rynek pracy?
- Jakie są motywacje ich wyborów?
- Ile kosztują studia?

Ujarzmiana ziemia wymaga respektu i pewnie nigdy całkowicie nie da się ujarzmić. Czynić ją sobie poddaną znaczy także szanować jej obyczaje i naturę” – to ks. Adam Boniecki w edytoriale. I jeszcze: „Powódź, dojmujące przeżycie kruchości konstruowanego przez nas świata. Jak niewiele trzeba, by dorobek życia, bezpieczny dom, gospodarstwo się rozmyły, znikły pod wodą, obróciły w ruinę”. „Regulacja rzek to świetny sposób na ujarzmienie »zwykłej« powodzi. Gdy przychodzi naprawdę wielka woda, technika obraca się przeciwko ludziom” – to z kolei Michał Olszewski w artykule „Wyrwa”.

Nie, to nie są cytaty z bieżącego „Tygodnika”, ale nagłówki ostatniego kwietniowego wydania AD 2010. Na okładce widać dwa spadziste, pomarańczowe dachy domów wystające spod rdzawej tafl. Oraz to hasło: „Mądry Polak po wodzie”.

Porusza powtarzalność prostych prawd, których – wtedy i dzisiaj – mało kto chce słuchać. „Polskie rzeki to w większości cieki proste i wybetonowane. Przypominające rynny, których zadaniem jest jak najszybsze odprowadzenie wody. Pozbawione naturalnych terenów zalewowych, obudowane wałami oraz drogą infrastrukturą rzeki są bezbronne wobec kataklizmu” – pisze stronę dalej, czternaście lat później, **ADAM ROBIŃSKI**, by pod koniec przypomnieć prawdę o siłach natury, „którym cywilizacja w swoich wszelkich emanacjach nie może dać rady”.

Z tego numeru „TP” zapamiętam też dwa inne teksty. Pozornie na inny temat – faktycznie portretujące ludzi starających się żyć mimo okoliczności (jak wielka woda), które ciężko zmienić. „Wiesz, przez całe życie miałem świadomość, że jestem prowadzony. To dotyczy i tego, co w życiu robiłem, i też tego, co pisałem. Ja to jakby z musu robiłem” – mówi

Arturowi Sporniakowi **O. LUDWIK WIŚNIEWSKI** w „spowiedzi”, w której najbardziej poruszające jest chyba pogodzenie się z – jak mówi sam dominikanin – „końcówką” życia.

„Jak wygląda codzienność w Charkowie, który walczy o trochę normalności w nienormalnym czasie?” – pyta z kolei **ANTONINA PALARCZYK**, a potem z wielkim talentem i wyczuciem portretuje życie charkowian wśród bomb i wybuchów. „Eh, drogie dziecko – mówi autorce Nadieżda, jedna z bohaterek tekstu, śpiewaczka – przyjdzie czas, kiedy będziemy znowu śpiewać pełną piersią”. ©©

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.



**BOHATER
Z OKŁADKI**

34 Spowiedź
ROZMOWA Z O. LUDWIKIEM WIŚNIEWSKIM,
DOMINIKANINEM:
*Wybrałem tak, jak umiałem. Porwało mnie
duszpasterstwo. Niczego w swoim życiu, prócz
grzechów, nie żałuję.*



44 Życie i śmierć w Charkowie
ANTONINA PALARCZYK
*„Przyjdzie czas, kiedy będziemy znowu śpiewać
pełną piersią. Będziemy śpiewać, bo przyszedł koniec
wojny” – mówi Nadieżda, wokalistka estradowa.*



80 Nie ci mesjasze
ROZMOWA Z YAKOVEM Z. MAYEREM, PISARZEM:
*Kłamcy są bardziej interesujący niż kierujący się prawdą.
Zastanawiałem się, co się stanie, gdy mały kłamca
spotka wielkiego kłamcę: fałszywego mesjasza.*

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Skąd przychodzi woda
ADAM ROBIŃSKI**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 To nic, że inni tracą
PIOTR ŚMIŁOWICZ o podsycaniu
politycznego konfliktu**23 Prawo a sprawiedliwość**
MAREK RABIJ: Czekają nas kolejne
po sporze z frankowiczami bankowy
konflikt: o „sankcję kredytu
darmowego”**26 Na słuchawce**
MATEUSZ MACIERAKOWSKI
o upiorach pracy w call center

■ ■ Z ODDECHEM

30 Dziewucha
BEATA CHOMĄTOWSKA
o Warszawie, której jedyną stałą
cechą jest zmiana

■ ■ WIARA

34 Spowiedź
ROZMOWA Z O. LUDWIKIEM
WIŚNIEWSKIEM**38 Więzień bez wyroku**
PIOTR SOŁOWIJ: Czy kontrowersje
związane z tymczasowym aresztem
dla ks. Michała Olszewskiego
to w polskich realiach wyjątek,
czy reguła?**39 Książd na ringu**
HONORATA ZAPAŚNIK
o meksykańskim duchownym,
który z gangu trafił do seminarium,
a potem z parafii na ring jako
luchador

■ ■ ŚWIAT

44 Życie i śmierć w Charkowie
ANTONINA PALARCZYK

TEMAT TYGODNIKA

**12 Ciężkie przebudzenie**

MAREK KĘSKRAWIEC

Elity polityczne nie lubią mówić
o negatywnych skutkach masowej
migracji do Europy. Jej przeciwnicy
są etykietowani jako rasisci, a plony
zakazanej dyskusji zbierają skrajne partie
nacionalistyczne.

■ STRONY SPECJALNE ■

63 ROK GOMBROWICZA I HŁASKI

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI**43** WOJCIECH BONOWICZ**92** OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO**98** STANISŁAW MANCEWICZ**98** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: O. LUDWIK WIŚNIEWSKI,
WRZESIEŃ 2024 R.
FOT.: GRAŻYNA MAKARA

48 Migracyjny pokerŁUKASZ GRAJEWSKI:
Niemieckie MSW postanowiło
wzmocnić kontrole na granicach**49 Pusty środek**AGNIESZKA ZIELIŃSKA
o pustoszących hiszpańskich
wsiach i miasteczkach**52 Litewscy Młodopolacy**ZBIGNIEW ROKITA: Pokoleniowa
zmiana w polskiej mniejszości
na Litwie

■ ■ HISTORIA

55 Na ratunek dzieciomPIOTR HAPANOWICZ o dobrym
Niemcu, zarządcy szpitali
dziecięcych w stolicy GG

■ ■ NAUKA

58 Gość nie z tej ziemiMARZENA ZDANOWSKA: Najpierw
był błysk, potem świst i huk.
Meteoryt Murchison przyniósł
informacje o czasach, w których
powstawały Słońce i planety

■ ■ KULTURA

80 Nie ci mesjaszeROZMOWA Z YAKOVEM
Z. MAYEREM, PISARZEM**84 Rewolucja, ale bez krzyku**DARIUSZ KOSIŃSKI: W teatrze
trwa zmiana, której nikt nie widzi**87 Oasis, reaktywacja**BARTOSZ SADULSKI: Bracia
Gallagherowie znów razem**90 Hakowanie Hollywood**ANITA PIOTROWSKA o filmie
Coralie Fargeat „Substancja”**91 W sieci dróg**LEKTOR o książce Ingi Iwasiów
„Widok z okna w podróży
służbowej”

■ ■ ZMYŚŁY

94 Acapulco w ChodzieżyMARTA SYRWID: Każda
rzecz używana posiada dwie
historie: oficjalną i prywatną.
Dlatego w kolekcjonowaniu
kluczowa jest wyobraźnia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Wybierz swoją prenumeratę...
... na stronie 79****Zapisz się na newsletter**
POWSZECH.NET/NEWSLETTER**Słuchaj podkastów**
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SKĄD PRZYCHODZI WODA

PRZERWANE WAŁY, ZATOPIONE WSIE, ulice miast zamienione w rwące potoki. Pod wodą Kłodzko, Łądek Zdrój, Stronie Śląskie, Nysa, Jelenia Góra. Rzeka Biała Głucholska przelała się przez wały i zmyła mosty, a potem wdarła się do Głucholazów. W południowo-zachodniej Polsce rzeki występowały z brzegów i zalewały drogi dojazdowe do wsi. W niedzielny wieczór Regionalny Zarząd Wód Polskich we Wrocławiu informował o krytycznej sytuacji na tamtejszych zbiornikach przeciwpowodziowych, m.in. w Sobieszowie, Cieplicach i Mysłakowicach. Premier Donald Tusk zapowiedział wprowadzenie stanu klęski żywiołowej.

POWODZIE BYŁY I BĘDĄ | Kataklizm wywołany został przez cykliczny niż genuński, układ niskiego ciśnienia tworzący się nad północnymi Włochami i przynoszą-

Polskie rzeki to w większości ciekі przypominające rynnę, ich zadaniem jest jak najszybciej odprowadzić wodę. Urządzenia regulujące są skuteczne tylko do pewnego stopnia. Z czasem wody jest tyle, że żadna infrastruktura nie daje rady fali.

ADAM ROBIŃSKI

POWYŻEJ:

Powódź w Kłodzku. 15 września 2024 r.

cy środkowo-wschodniej Europie deszcz i śnieg. Opolszczyzna i Dolny Śląsk patrzyły na weekendowe prognozy pogody z rosnącymi obawami. Zapowiadane sumy opadów były bezlitosne i przynosiły na myśl tragiczne powodzie z lat 1997 i 2010. Z tamtych kataklizmów polski system przeciwpowodziowy wyszedł odmieniony. Powstały między innymi numeryczne modele terenu, pozwalające przewidzieć kierunki wezbrań. W dorzeczu Odry wybudowano tzw. suche zbiorniki retencyjne, mogące przyjąć falę powodziową (w tym Racibórz Dolny, największy w tej części Europy, który w niedzielę pierwszy raz rozpoczął pracę operacyjną), jazy oraz wały. Na prawym brzegu Wisły w Warszawie powstał tzw. mur oporowy.

Wydaje się, że pewne rzeczy musimy sobie wciąż powtarzać: w realiach klimatycznej katastrofy suma rocznych opadów

atmosferycznych się nie zmienia. Zupełnie inna jest jednak ich struktura. Długotrwałe okresy suszy przeplatane są krótkimi, ale bardzo intensywnymi opadami. Normą stają się deszcze nawalne, gwałtowne, podczas których przez kilka godzin z nieba spaść może tyle wody, co dawniej w dwa miesiące.

Powodzie były, są i będą. To zjawisko, którego nie da się uniknąć. Co innego neutralizowanie ich skutków.

JAK POLSKA RZKA | Dzika rzeka wylewa o wiele częściej niż uregulowana. Zdarza się, że dzieje się to kilka razy w roku. Są to jednak powodzie przewidywalne i wywołujące znikome straty – pod warunkiem, że nikt nie buduje się na terenach zalewowych. Jednak polskie rzeki to w większości cieki proste i wybetonowane. Przypominające rynny, których zadaniem jest jak najszybsze odprowadzenie wody. Pozbawione naturalnych terenów zalewowych, obudowane wałami oraz drogą infrastrukturą, rzeki są bezbronne wobec kataklizmu. Urządzenia regulujące – zbiorniki przyjmujące fale, wały, jazy – są skuteczne tylko do pewnego stopnia. Prędzej czy później kumulacja żywiołu musi dać opłakane skutki. Z czasem wody będzie tyle, że żadna infrastruktura nie da rady powstrzymać fali. Każdy mur czy wał, nieważne jak wysoki, w końcu okaże się zbyt niski (i to w czasie, kiedy większa część Polski – północny zachód, centrum i cała ściana wschodnia – mierzy się z suszą).

CO MOŻE POMÓC | W takich chwilach należy kibicować służbom ratowniczym i organizować pomoc. Ale nie sposób nie zwrócić też uwagi na to, o czym naukowcy i przyrodniczy grzmia od lat. Naturalna retencja krajobrazowa w Polsce ledwo dycha. Kolejne rządy budują betonowe zbiorniki, jednocześnie ignorując identyczne zastosowanie istniejących już mokradeł. Zamiast renaturyzować rzeki, łożą miliony złotych na tzw. „prace utrzymaniowe”, sprowadzające się do pogłębiania i udrażniania ich nurtu.

Jak przekonywał w 2020 r. w wywiadzie dla „Tygodnika” dr hab. Wiktor Kotowski, biolog z UW

i Centrum Ochrony Mokradeł, fundusze wydawane na przeciwdziałanie powodziom w rzeczywistości przeznaczone są na coś odwrotnego. „Na prace utrzymaniowe na rzekach, które likwidowały lokalne wezbrania, natomiast potęgowały kolejne fale powodziowe. Ten proces trwa do dziś” – tłumaczył. W innym wywiadzie hydrolog dr Artur Magnuszewski tłumaczył nam, że rzeki naturalne, choć generują koszty i problemy, opłacają się człowiekowi o wiele bardziej niż te uregulowane. Renaturyzacja rzek to dziś w zachodniej Europie trend, polskie zarządzanie wodami śródlądowymi niestety się w niego nie wpisuje.

Ostateczny bilans powodzi na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku jest niewiadomą. Na falę wezbraniową wciąż czeka Wrocław. W pamięci jego mieszkańców silnie obecna jest powódź tysiąclecia z 1997 r. i jej konsekwencje dla miasta. Ze swoimi dramatami mierzą się również Czechy, Rumunia i Austria. Według prognoz na Dolnym Śląsku padać przestanie dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek.

SKALA SIŁY NATURY | Kiedy wody Morza Śródziemnego na skutek zmian klimatu parują intensywniej, i to w porach – mamy przecież wrzesień – kiedy zbliża się kalendrzowa jesień, zjawiska podobne do niżu genueskiego przenoszą je aż do nas, powodując kataklizm. Nikt nie wątpi, że sytuacja jest w wielu miejscach tragiczna. Są jednak takie skale sił natury, którym cywilizacja w swoich wszelkich emanacjach nie może dać rady. I wcale nie dlatego, że są niewyobrażalne. Czasem są tylko niewiele większe niż granice, które możemy im postawić. Ale to „niewiele” robi kolosalną różnicę w losach ludzi, którzy muszą za to zapłacić.

Patrząc na nich, kiedy walczą o przetrwanie swojego świata, nie sposób nie myśleć, że mogliśmy zrobić więcej dla ich bezpieczeństwa. Ale nie myślimy też, że wobec zmian klimatu potrafimy żyć całkowicie bezpiecznie. Beton i technologie, typowe środki zaradcze antropocenu, nie wystarczą. ©



Test dla Dudy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

GDY NA POČĄTKU UBIEGŁEGO TYGODNIA podczas spotkania premiera i marszałka Sejmu z autorytetami prawniczymi ustalono, że koalicja rządząca nie będzie zgłaszać kandydatów do obecnego Trybunału Konstytucyjnego na miejsca opróżnione przez trzech sędziów kończących kadencję w grudniu (w tym przez Julię Przyłębską), wzbudziło to mój sprzeciw. Pomimo wszystkich zastrzeżeń i skrajnego obecnego upolitycznienia TK jest przecież instytucją konstytucyjną, więc takie jej potraktowanie ocierało się o rodzaj anarchii. Którą jest również nieuznawanie właściwie żadnych rozstrzygnięć obecnego TK, także tych zapadających bez udziału tzw. sędziów dublerów. Fakt, że część z nich jest absurdalna i jawnie polityczna, ale jednak podejmowane są przez legalny Trybunał.

Ostateczne uchwalenie w miniony piątek, po poprawkach Senatu, nowej ustawy o TK trochę zmieniło mój pogląd. Ustawa jest wyraźnym krokiem w kierunku uzdrowienia sytuacji prawnej w Polsce. Najcenniejsze jej zapisy to wprowadzenie zasady, iż sędziów wybiera sejmowa większość 3/5, a także wprowadzenie 4-letniej karencji w kandydowaniu dla czynnych polityków.

To stwarza szansę, że TK przestanie być traktowany jako „nasz” albo „ich”, gdyż do wyboru sędziów potrzebny będzie ponadpartyjny kompromis.

Ustawa umożliwia też rozwiązanie problemu obecnych sędziów TK, w tym „dublerów” (z dwóch, którzy pozostaną w składzie po grudniu, jeden kończy kadencję w 2026, drugi na początku 2027 r.). W ich sprawie będzie się mógł wypowiedzieć powołany ze wszystkich żyjących byłych i obecnych sędziów TK sąd dyscyplinarny, który w skrajnych przypadkach, przy wykazaniu „rażącego naruszenia przepisów prawa” przez sędziego lub „uchybień godności” – będzie mógł nawet orzec skrócenie konstytucyjnie gwarantowanej 9-letniej kadencji. Przy czym składy sądów dyscyplinarnych będą losowane, więc mogą się w nich również dobrze znaleźć Andrzej Rzepliński, Andrzej Zoll czy Jerzy Stępień, ale również np. Bogdan Świączkowski.

Ustawa czeka na podpis prezydenta Dudy. Będzie to dla niego test, czy jest gotów partycypować w naprawie sytuacji w Trybunale, w której psuciu sam w 2015 r. wzięł udział. Składając podpis da szansę, by nowych sędziów, według nowych ponadpartyjnych zasad, wybrać jeszcze w tym roku. Ciekawe, czy zda. Osobiście w to powątpiewam. ©P



Nowy zwrot

WOJCIECH PIĘCIAK

MOŻE DWIEŚCIE, A MOŻE WIĘCEJ: RÓŻNE SZACUNKI krążą co do liczby rakiet balistycznych krótkiego zasięgu, które Iran miał właśnie dostarczyć Rosji. Tyle, być może, na początek.

O tę broń Putin prosił Irańczyków od dawna. Rakiet tego typu Rosja zużywa bowiem przeciw Ukrainie więcej, niż produkuje, a jest to dla niej oręż cenny: pozwala uderzać w cele na głębokim zapleczu frontu, które zidentyfikują drony zwiadowcze, i to niemal w czasie rzeczywistym. Pozwala też niemal bezkarnie demolować życie cywilów. Wymierzona np. w charkowską elektrownię, taka rakietka leci z terenu Rosji kilkadziesiąt sekund – to zwykle za mało czasu, by obrona przeciwlotnicza mogła zareagować. I zawsze za mało, by ludzie mogli się ukryć [reportaż z Charkowa publikujemy w dziale Świat – red.].

Najbardziej efektywnym sposobem na zwalczanie zagrożenia, jakim są takie rakietki, byłoby uderzanie w miejsca w Rosji, skąd są odpalane.

A więc: w stanowiska, lotniska, magazyny. Ukraińcy próbują to robić przy pomocy dronów, ale to mało skuteczne. Dlatego Kijów od dawna prosi USA i Wielką Brytanię, by zdjęły ograniczenia, które nałożyły – z powodów politycznych – na przekazane pociski balistyczne Atacms i manewrujące Storm Shadow. Początkowo Ukraińcy mogli używać ich tylko przeciw armii rosyjskiej na ziemiach okupowanych. Potem, gdy Rosjanie uderzyli pod Charkowem, także na obszarze przyfrontowym w Rosji na północ od tego miasta.

Zdjęcie ograniczeń sprawiłoby, że w zasięgu rażenia znalazłby się ogromny obszar Rosji – ok. 300 km w jej głąb. W minionych dniach wydawało się już, że za sprawą nowych irańskich dostaw Joe Biden (bo ostatecznie zależy to od niego) jest bliski podjęcia takiej decyzji. Brytyjski premier w Białym Domu; sekretarz stanu USA w Kijowie i Warszawie; kolejne wypowiedzi zachodnich polityków (nawet niemiecki minister obrony uznał, iż byłoby to zgodne z prawem międzynarodowym) – to jakby przygotowywało grunt.

I tak to ocenił Kreml – stąd nowa groźba Putina, że zgoda USA na użycie rakiet przeciw celom w Rosji będzie oznaczać, iż NATO jest z nią w stanie wojny (groźba, dodajmy, wcześniej taką „czerwoną linią” miało być np. dostarczenie samolotów F16).

Ukraina powinna dostać wolną rękę na użycie zachodnich rakiet. Ale co teraz zrobią Stany? Jakiegokolwiek decyzji by nie podjęły, zbliżamy się do nowego punktu zwrotnego tej wojny – pytanie tylko, czy na korzyść Ukrainy, czy Rosji. ©P



Przywrócona godność

EDWARD AUGUSTYN

DWANAŚCIE GODZIN JECHAŁA na spotkanie z papieżem 40-letnia Yusvina Lasmin z Malezji. Wydała wszystkie oszczędności. „Przez tydzień jadłam tylko chińskie zupki instant – mówiła po powrocie. – Ale było warto. Jestem katoliczką. Drugiej takiej okazji w moim życiu nie będzie”.

Dwanaście dni trwała najdłuższa pielgrzymka Franciszka. Niedługo o niej zapomnimy, jak o 44 poprzednich. Pozostanie nam umiejętność zlokalizowania na mapie kilku nowych krajów i podziw dla 88-letniego papieża, pokonującego fizyczne ograniczenia czasu, przestrzeni i ruchu. Niewiele więcej. Przemówienia na temat najważniejszych problemów Azji Południowej i Oceanii nie przetrwały nawet najkrótszej próby czasu – ledwie Franciszek wyładował w Rzymie, już żyłszy jego słowami o Kamali Harris i Donaldzie Trumpie (oraz apelem do Amerykanów, by wybrali mniejsze zło), wypowiedzianymi w czasie samolotowej konferencji prasowej.

Wspominając pielgrzymkę, można oburzać się, że Franciszek nie skrytykował rządów tłumiących krwawo niepodległościowe powstania, nie wytykał łamania praw człowieka, nie potępił pedofilii wśród księży, nie stawał w obronie prześladowanych chrześcijan. Że goszczących go

prezydentów, premierów i gubernatorów chwalił – na kredyt, którego i tak nie spłaca. Naiwnością zresztą byłoby oczekiwać, że politycy wezmą sobie do serca jego apele – nie do nich przyjechał, nie w nich pokładał nadzieje.

Ale można też dostrzec tych, którzy – jak Yusvina Lasmin i milion jej podobnych – pokonali setki kilometrów łódkami, autobusami czy pieszo, przedzierając się przez równikową dżunglę, by Franciszka usłyszeć. Którzy jego słowa o równości i wolności religii (w Indonezji), sprawiedliwym podziale dóbr (w Papui Nowej Gwinei), położeniu kresu przemocy i biedzie (w Timorze Wschodnim), szacunku dla osób „nieproduktywnych” – chorych lub starych (w Singapurze), przyjmowali z entuzjazmem i wzruszeniem. Którzy usłyszeli w nich historię swojego życia, lub swoich najbliższych, nigdy i przez nikogo w taki sposób nie opowiedzianą.

„Moje zarobki od tego nie wzrosną, ale cieszę się, że papież pamięta o nas i modli się za nas” – mówiła dziennikarzom birmańska służąca, jedna z 200 tysięcy nielegalnych pracowników w Singapurze, o których prawa upominał się Franciszek. Przywrócona godność to najważniejszy owoc tej pielgrzymki. Wart podróży, nawet jeśli miałby okazać się jedyny. ©P



Papież Franciszek z mieszkańcami domu opieki w Singapurze, 13 września 2024 r.

NA PUNKTY

W ŚWIELE

„Spotkanie w wakacyjnej atmosferze radości, po tygodniach i miesiącach wytężonej pracy” (wedle słów rzeczniczka partii) zorganizował PiS w Pultusku. Konwencja była próbą przejścia do politycznej kontrofensywy, w świetle równoległych działań na terenach powodziowych Donalda Tuska – raczej nieudaną.

W CIEMNOŚCIACH

Przyczyną ostatnich nietrafnych diagnoz Jarosława Kaczyńskiego mogły być zbyt ciemne szyby w samochodzie: policja zatrzymała dowód rejestracyjny i zakazała dalszej jazdy kierowcy prezesa, którego pojazd miał przepuszczalność światła w szybie przedniej na poziomie 10, zamiast wymaganych 70 proc.

W SŁUCHAWCE

Radosław Sikorski – krytykujący w listopadzie 2022 r. Andrzeja Dudę za nagranie, w którym prezydent dał się podejść rosyjskiemu komikowi i rozmawiał z nim jak z Emmanuelem Macronem – nie zorientował się, że jego telefoniczny rozmówca (również rosyjski komik) to nie Petro Poroszenko. Kłopot w tym, że elokwencja szefa MSZ pozwoliła mu na dłuższą i bardziej szczerą rozmowę. ©P



MAREK RABIJ

Lekcja polskiej ekonomii

MARCIN PIĄTKOWSKI, EKONOMISTA Banku Światowego (na zdjęciu) pracujący do niedawna w Waszyngtonie, został szefem doradców ekonomicznych premiera Indii Narendry Modiego. Zespół ekspertów oddelegowanych przez Bank Światowy do New Delhi będzie podzielony na cztery departamenty. Piątkowski będzie zarządzać całością.

Indyjska misja polskiego ekonomisty zacznie się formalnie od października, Piątkowski na razie nie chce mówić o szczegółach. – Z czasem chętnie podzielę się obserwacjami – ucina w rozmowie.

Indie to jedna z najszybciej rozwijających się gospodarek świata. W okresie rządów Modiego, od 2014 r., PKB kraju wzrósł z nieco ponad 2 bln do 3,5 bln dolarów. Bharat – jak nazywają swoją ojczyznę Indusi – staje się też liczącym się graczem globalnej polityki, w czym pomaga nie tylko szybko rosnąca i bardzo młoda populacja, ale też korzystne położenie geograficzne kraju na przecięciu szlaków handlowych z Chin do Europy. New Delhi już nawet nie ukrywa, że marzy o przejściu roli Pań-

stwa Środka, Pekin zaś zdaje sobie sprawę, że rośnie mu poważny konkurent.

Wychodzące z gospodarczego zapóźnienia Indie borykają się jednak z mnóstwem problemów. Największym są nierówności dochodowe, zarówno między bogatym południem i bardzo ubogim północnym wschodem, jak

i w samym społeczeństwie, w którym blisko 300 mln ludzi wciąż musi utrzymywać się za mniej niż dwa dolary dziennie.

W swojej politycznej karierze Narendra Modi przeszedł ewolucję od zwolennika wolnego rynku do polityka, który przynajmniej

chce uchodzić za stratega dbającego zarówno o rozwój gospodarki, jak i o społecznie oraz ekonomicznie wykluczonych. Premierowi Indii może być blisko do polskiego doradcy, który należy do grona ekonomistów otwarcie krytykujących wolny rynek w jego najostrejszym, neoliberalnym wydaniu. Piątkowski w swoich opracowaniach od dawna podkreśla znaczenie inwestycji w edukację i zmniejszania nierówności dochodowych dla rozwoju gospodarki. ©P



MIROSLAW STELMACH / REPORTER



Na trasie z Brukseli do Uzbekistanu

MAREK KĘSKRAWIEC

TO BYŁA NAPRAWDĘ BŁY-skotliwa i bogata (w sensie dosłownym) kariera, aż szkoda, że się skończyła. Pan Ryszard robił ją w Atlasie Wrocław i w ZChN, w PZPN i w AWS, w Śląsku Wrocław i w Samoobronie, w PKOl i w PiS. Zawsze uśmiechnięty i zadowolony ze swoich wyborów – niezmaczone ego, skaczące z jednego kwiatka przynoszącego słodki nektar na kolejny. Ale nie wyśmiewajmy tego radosnego życia, bo ktoś pomyśli, że zazdrościmy.

Czarnecki był też wier-ny, głównie Parlamentowi Europejskiemu, w którym spędził 20 lat. Dziwne to, biorąc pod uwagę jego eurosceptycyzm, ale nie śmiem podejrzewać, że jeździł do Brukseli tylko po kasę, kilkakrotnie wyższą niż ta w Sejmie. On tam pilnował polskich spraw, by nas Niemcy nie robili w konia. Przy okazji był uchem prezesów, najpierw Andrzeja Leppera, który pierwszy posłał go do PE (bo Czarnecki był na tle

reszty Samoobrony światowcem), a potem Jarosława Kaczyńskiego.

To była dość dziwna przyjaźń, znając nieufność lidera PiS wobec ludzi często zmieniających przynależność polityczną. Trzeba jednak przyznać, że Czarnecki, tak jak związał się z Kaczyńskim w 2008 r., tak pozostał mu wierny. Dziś wiemy, że o ile prezes dowiadywał się od swego żołnierza, co w brukseleskiej trawie piszczy – ocenie błyskotliwości tych ana-

liz zostawmy na boku – to sam Czarnecki miał z tego jeszcze większe korzyści. Według prokuratury euro-POSEŁ wyłudził 203 tys. euro za fikcyjne przejazdy, które dokumentował zmyśłowionymi adresami i środkami transportu, wśród których był ześlomowany fiat, dwa skutery i ciągnik siodłowy.

Tego też było mało: obrotowy euroPOSEŁ miał przytułić kasę od rektora osławionego Collegium Humanum za załatwienie filii w Uzbekistanie. Kto wie, może to dobry kierunek dalszej kariery. W rankingu krajów demokratycznych: 148 miejsce na 167 możliwych. Będzie łatwiej. ©P

Ślimacza odbudowa Bundeswehry

NIEMCY ■ „Epokowa zmiana”: takich słów użył w lutym 2022 r. kanclerz Scholz, obiecując, że atak na Ukrainę to punkt zwrotny w polityce Niemiec wobec Rosji i w sferze obronności. Po tym, jak armia była latami niedofinansowana, miała nastąpić jej intensywna odbudowa.

Minęło 2,5 roku, a „epokowa zmiana” w armii istnieje na papierze; wydatki są „absolutnie niewystarczające” wobec rosyjskiego zagrożenia i skali rozbrojenia, jakiej doświadczyła Bundeswehra: to konkluzja analityków Instytutu Gospodarki Światowej (IfW) z Kilonii, którzy prześledzili, w oparciu o jawne dane, zmiany w sferze obronności Niemiec. Porównują je też z Wielką Brytanią, Francją i Polską – oraz z Rosją.

Opracowanie, które odbija się w Niemczech sporym echem, wystawia rządowi fatalną ocenę: wprowadzie odbudowa potencjału armii ruszyła, ale jej tempo jest tak ślimacze, że aby odzyskać stan sprzętu, jaki Bundeswehra miała w 2004 r., trzeba kilkudziesięciu lat (gdy idzie o czołgi – 42 lata, a haubice – prawie 100 lat). Aby ją przyspieszyć, trzeba by bowiem wydawać na obronność co najmniej po 80 mld euro rocznie, stale i konsekwentnie – twierdzi IfW. Tymczasem w minionym tygodniu Bundestag debatował nad budżetem na 2025 r., który przewiduje tu tylko nieznaczny wzrost: z 52 mld euro w tym roku do 53,3 mld w kolejnym.

Gdy idzie o zakupy kluczowego sprzętu (czołgi, działa, systemy przeciwlotnicze), jest on wciąż zamawiany w za małych ilościach, przez co jest drogi, a terminy dostaw odległe. Choć niemiecki przemysł ma wielki potencjał, firmy nie rozwijają produkcji w takim stopniu, w jakim by mogły, gdyż nie mają długoterminowych państwowych zleceń, które dawałyby im poczucie pewności i stabilności inwestycji.

Przykład: Bundeswehra ma dziś tylko ok. 300 czołgów i ok. 100 haubic. W 2004 r. miała ich, odpowiednio, 2,4 tysiąca i prawie tysiąc (zamiast je magazynować, rozsprzedano je lub złomowano). Do lipca br. resort obrony zamówił w przemyśle jedynie 123 nowe czołgi; mają trafić do jednostek do 2030 r. Zamówiono też haubice – całe 22 sztuki. Tymczasem Rosja produkuje dziś ok. 140 czołgów i ok. 38 haubic – miesięcznie.

Głębsza przyczyna całej tej sytuacji to wciąż brak politycznej większości w Berlinie, która wzięłaby odpowiedzialność za wzrost potencjału militarnego i związane z tym koszty.

Wśród czterech europejskich krajów NATO, analizowanych przez IfW, tylko jeden uzyskał dobrą ocenę: Polska. ©© WOJCIECH PIĘCIAK

Pierwszy męczennik reformacji

EKUMENIZM ■ „Szacunek, wstyd i głęboka wdzięczność”. Tak swoje emocje opisał metropolita Wiednia kard. Christoph Schönborn w liście pozdrawiającym uczestników obchodów 500-lecia śmierci Caspara Taubera (15-17 września). Cieszył się, że dzisiaj „jako protestanci i katolicy możemy razem, ramię w ramię wspominać imponujące świadectwo wiary” pierwszego protestanckiego męczennika. Kilkudniowe obchody obejmowały nabożeństwa, konferencje historyczne (m.in. w podziemiach katolickiej katedry św. Szczepana) czy wydarzenia teatralne.

Caspar Tauber był bogatym, pochodzącym z Moraw handlarzem suknom, w 1511 r. zamieszkał z rodziną w Wiedniu. Na początku lat 20. zainteresował się naukami reformacyjnymi. Nie był to odosobniony odruch: w społeczeństwie austriackim, podobnie jak w większości Europy, powszechne było oburzenie na nadużycia Kościoła rzymskiego (sprzedaż odpustów, fiskalizm papieski, kiepskie przygotowanie intelektualne, poziom moralny duchowieństwa itd.). Do Wiednia przybywali kaznodzieje krytykujący w kazaniach celibat i głoszący zbawienie poprzez łaskę Boga, a nie spełnianie dobrych uczynków. Tauber chętnie czytywał pisma Marcina Lutra i nawet sam opublikował traktat religijny popierający jego poglądy. Głosił zasadę powszechnego kapłaństwa, odrzucał naukę o czyszczeniu, pośrednictwie świętych i konieczności spowiedzi usznej.

Do 1524 r. rządzący w Austrii Ferdynand Habsburg przyzywał oko na działalność reformatorów, ale namówiony przez legata papieskiego, zdecydował postawić jej tamę. Tauber został aresztowany; w więzieniu był namawiany przez przedstawicieli biskupa wiedeńskiego do odwołania swoich poglądów. Nakazano mu pokutę: miał przez kilka tygodni stać w stroju pokutnym, ze sznurem na szyi i świecą w dłoni, przed katedrą św. Szczepana. Tauber odmówił jednak wycofania się ze wsparcia reformacji, chyba że zostanie do tego przekonany za pomocą Pisma Świętego. W postawie tej utwierdził go fakt, że do „odwołania” przedstawiono mu poglądy o wiele radykalniejsze, niż rzeczywiście wyznawał. Ostatecznie skazano go jako „notorycznego heretyka” na ścięcie i spalenie, a jego prochy wrzucono do Dunaju. Przed śmiercią odmówił katolickiej spowiedzi, zapewniając zebranych, że jest spokojny o swoje zbawienie z łaski Boga.

O Tauberze z podziwem wyrażał się w swoich listach do przyjaciół Luter. Jego odwaga polegała na tym, że „nie wstydził się swojej wiary, ale wyznał ją publicznie” – podkreślił podczas obchodów 500-lecia luterński superintendent Wiednia Matthias Geist. Historia reformatora przestrzega – mówił – przed współczesnymi tendencjami autorytarnymi i brutalizacją języka. A także podkreśla bezcenną wartość takich zasad jak tolerancja, wolność religii, sumienia i wypowiedzi.

©© MACIEJ MÜLLER



Scena egzekucji Caspara Taubera.

Liczba letnich festiwali wciąż rośnie. Za co je kochamy?

MUZYKA ■ Podczas kilku ostatnich tygodni kończącego się lata nie mieliśmy weekendu wolnego od muzycznych festiwali. Zapewne dlatego wakacje coraz częściej kojarzą nam się z muzyką. W odpowiedzi na ankietę przeprowadzoną niedawno na zlecenie serwisu biletyna.pl, ponad 40 proc. respondentów przyznało, że ciepłe miesiące to przede wszystkim zabawa na imprezach muzycznych. Blisko połowa z nas (46 proc.) zadeklarowała też, że w ciągu ostatnich lat brała udział w przynajmniej jednym z festiwali (na zdj.: Artur Rojek podczas „Łap Oddech Festival” w Krakowie).

Na dokładne liczby dotyczące mijającego roku przyjdzie jeszcze poczekać, ale – jak policzył GUS – w roku 2023 zorganizowaliśmy w Polsce niemal 3 tys. imprez artystyczno-rozrywkowych, z których aż 70 proc. stanowiły koncerty, gromadzące łącznie ponad 10 mln uczestników. W porównaniu z 2022 r. liczba imprez



AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

muzycznych wzrosła o prawie 20 proc.

Rok 2024 okaże się zapewne jeszcze lepszy, bo doskonałą frekwencją powoli chwalać się już sami organizatorzy. Jak powiedział „Tygodnikowi” zespół Męskiego Grania, na tegorocznych koncertach frekwencja była o 20 proc. wyższa w porównaniu do roku 2023. Wszystkie imprezy – od Żywca po Gdańsk – zostały wyprzedane. Podobne wzrosty zaobserwowali m.in. organizatorzy lubelskiego festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia. W tegorocznej edycji uczestniczyło ok. 50 tys. osób, podczas gdy dwa lata temu było to 30 tys.,

8,2

proc., czyli prawie milion osób więcej w porównaniu do roku 2022 wzięło udział w koncercie lub innym widowisku artystycznym.

19,5

proc. – w takim tempie rośnie z roku na rok liczba organizowanych w Polsce imprez artystycznych.

a w roku 2021, kiedy obowiązywały przepisy pandemiczne, 18 tys.

Badania prowadzone w ostatnich latach przez kulturoznawcę i wieloletniego dyrektora jednej z dużych wytwórni muzycznych, Stanisława Trzcńskiego, pokazują, że kilkudniowe imprezy muzyczne stały się dla Polek i Polaków jednym ze sposobów spędzania wolnego czasu. Wyjazd na festiwal – szczególnie, gdy towarzyszy mu nocleg na polu namiotowym – jest po prostu atrakcyjną formą urlopu.

W toku badań Trzcński wyróżnił też kilka typów współczesnych melomanów, wśród których znalazł się „fanatyk festiwali”, czyli ktoś, dla kogo bardzo ważne jest wspólne przeżywanie muzyki. Festiwalowicz chce przede wszystkim „doświadczać”, spędzając czas z przyjaciółmi. Na każdą z imprez przygotowuje odpowiedni strój, a bilet kupuje z dużym wyprzedzeniem, często w ciemno, nie znając pełnej listy wykonawców. Dla niektórych taka niespodzianka to skądinąd plus, bo organizator festiwalu powoli staje się – w alternatywie do aplikacji streamingowych – kimś w rodzaju kuratora, czyli wiarygodnego źródła wiedzy o tym, kogo warto dziś słuchać.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Ig Noble 2024: rzeczy, które rozbawiły naukowców

NAGRODY ■ Ig Noble (znane w Polsce także jako Antynoble) zostały stworzone trzy i pół dekady temu przez redaktora naczelnego magazynu „Annaly Mało Prawdopodobnych Badań” Marca Abrahamsa. Przyznawane są za publikacje naukowe, które „najpierw śmiesz, a potem zmuszają do zastanowienia się”. Ceremonia ich wręczenia stała się świętem wszystkiego, co w nauce niezwykle i najbardziej ludzkie. Bo, jak podkreśla twórca nagrody, bez poczucia humoru nie da się spędzić całego życia na rozgryzaniu zagadek świata wokół nas.

W tym roku pośmiertną nagrodę otrzymał psycholog B.F. Skinner, za prowadzone w czasie zimnej wojny eksperymenty mające wykazać, czy gołębie można wykorzystać jako systemy naprowadzania pocisków rakietowych (nagroda pokojowa). Antynobla w dziedzinie botaniki przyznano za wykazanie, że pnącza *Boquila trifoliolata* rosnąc, naśladują kształty pobliskich plastikowych roślinek. Medyczny Antynobel przypadł autorom badania dowodzącego, że placebo powodujące bolesne efekty uboczne daje lepsze efekty terapeutyczne niż placebo, które żadnych efektów ubocznych nie powoduje. W dziedzinie prawdopodobieństwa nagrodzono badanie pokazujące (po przeprowadzeniu 350 757 prób), że rzucana moneta nieco częściej ląduje na tej samej stronie, na której zaczęła lot.

Autorzy, którzy udowodnili, że wiele ssaków jest w stanie oddychać przez

odbyt, otrzymali nagrodę w dziedzinie fizjologii. Zaś zespół z Australii i Wielkiej Brytanii, uhonorowany w dziedzinie demografii, wykazał, że wielu spośród ludzi znanych z długowieczności żyło w miejscach, w których funkcjonowały fatalnej jakości spisy publiczne. Nagrodę biologiczną uzyskali autorzy eksperymentu, w ramach którego sadzono kota na krowie i straszono przy pomocy wybuchającej papierowej torebki, by sprawdzić, czy sprowokuje to krowę do oddania mleka.

Co roku Ig Noble wręczają nobliści – w ceremonii zorganizowanej na Massachusetts Institute of Technology wzięła ich udział szóstka. Zgodnie z tradycją nagrodzeni Ig Noblem otrzymali osobliwą statuetkę oraz 100 bilionów dolarów zimbabweńskich (wartych w kantorze ok. 40 centów).

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CIĘŻKIE PRZEBUDZENIE

Elity polityczne nie lubią mówić o negatywnych skutkach masowej migracji do Europy: jej przeciwnicy są etykietowani jako rasiści. Plony zakazanej dyskusji zbierają skrajne partie nacjonalistyczne.

MAREK KĘSKRAWIEC



FRANCUSKI TURYSTA IDZIE DO POLSKIE-go aqua parku i nie może się nadziwić, jak tu kulturalnie i spokojnie. Po czym dołącza do relacji filmik spod Paryża, gdzie inny park wodny ginie w hałasie generowanym przez tłum afrykańskich imigrantów. Niemiecki turysta pokazuje odnowiony dworzec w Katowicach, po czym dołącza obrazy okolic jednego z berlińskich dworców, tonących w śmieciach i przypominających koczowisko. Po chwili wsiada do pociągu i prezentuje tablicę z przedmiotami, których nie wolno wносить: to nóż, kastet oraz pistolet. Na kolejnej rolce Anglik skleja obrazek sielankowego spaceru po

warszawskim Nowym Świecie w sobotni wieczór z londyńską ulicą pełną modlących się, ubranych na czarno muzułmanów oraz rozruchami imigrantów w Leeds.

Algorytm decydujący, co zobacze na portalach społecznościowych, po reakcji na kilka podobnych filmików hurtem podsuwa kolejne: porównania spokojnych parków w Polsce i tych w Niemczech, gdzie pełno biwakujących imigrantów oraz pozostawianych przez nich odpadów. Widzę porównania czystej plaży nad Bałtykiem oraz śmietnika w podobnym miejscu w Belgii, a potem hit ostatnich tygodni, czyli piosenkę z londyńskiej ulicy, cover przeboju Lewisa Capaldi, tyle że ze zmienionym tekstem: „Chyba lepiej spakuję swoje torby, by spier... do Polski, gdzie ulice są bezpieczne. Nikt mnie nie wpakuje do więzienia za komentarz na Facebooku”.

Nie wiem, ile z dostarczonych mi nagrań zostało zmanipulowanych, ile pochodzi z innego miejsca i czasu niż ten deklarowany albo porównuje rzeczy nieporównywalne, jak letni wieczór w polskim mieście i zaśmiecone dzielnice Birmingham. Na pewno mniej tu chodzi o fakty, a bardziej o emocje. Z drugiej strony, trudno byłoby dziś w Polsce znaleźć dzielnice grozy, gdzie policja w zasadzie się nie pojawia, by nie prowokować mieszkańców, albo centralne ulice zamienione w koczowiska, jak w Paryżu (ostatycznie „oczyszczone” w większości przed otwarciem igrzysk olimpijskich).

Faktem jest, że staliśmy się jednym z najbezpieczniejszych państw w Europie. Wojny polskich gangów skończyły się 20 lat temu, nie notujemy zamachów terrorystycznych, apogeum terroru piłkarskich chuliganów również mamy za sobą. Patrząc na tzw. Zachód, zaczynamy to doceniać bardziej niż kiedykolwiek.

O czym nie wolno mówić

Tradycyjne media, głównie prasa i telewizja z ich internetowymi emanacjami, są w większości zbyt poprawne, by zniżać się do poziomu ludzi karmiących się strachem przed imigrantami z Bliskiego Wschodu i Afryki (Ukraińców dotyczy to znacznie rzadziej). Tracą jednak przez

to jakikolwiek wpływ na odbiorcę szukającego potwierdzenia swych obaw na TikToku, Telegramie i platformie X.

Ten rozdźwięk medialny karci skrajne partie. Abdykacja szanowanych tytułów skazuje miliony zależnych Europejczyków na eksplorację terenów mniej wiarygodnych, ale spójnych w przekazie i dalekich od mainstreamu, z jego nieznoszącą sprzeciwu tezą: „Jeśli nie chcesz u siebie imigrantów, to znaczy, że jesteś nietolerancyjny i pozbawiony empatii. Nie wysłuchamy uważnie twych obaw, ale powiemy ci po raz kolejny, jak bardzo się mylisz i pod jak dużym wpływem nacjonalistów się znajdujesz”.

Jako autorowi dwóch książek o krajach islamu, który poznał wielu wspaniałych Irańczyków, Afgańczyków i Pakistańczyków, nie jest mi łatwo mierzyć się z tym tematem. Tym bardziej nie jest mi łatwo wchodzić w konflikty ze znajomymi aktywistami, wspierającymi na co dzień uchodźców (w tym środowisku rzadko używa się terminu „imigrant”). Widzę – niestety – w ich postawie paradoks. Kierując się szlachetnymi pobudkami, zarażem pomagają w przejściu przez granicę i uporaniu się z procedurami azylowymi młodym mężczyznom, pochodzącym często z krajów, w których prawa kobiet w zasadzie nie istnieją, a osoby nieheteronormatywne zmuszone są do ukrywania swej orientacji w trosce o życie. Aktywiści wierzą, że edukacja i praca pozwalająca na godne utrzymanie pociągną za sobą zmiany w mentalności, nawet jeśli oznaczałoby to odejście od wielu zasad wiary (co zresztą jest szczególnie trudne w społecznościach wyznających islam).

Kłopot w tym, że system pomocy uchodźcom i imigrantom stał się w Europie dysfunkcyjny. Nie integruje tysięcy przybyszów, ale umieszcza ich w swoistym limbo, gdzie wegetują w zatłoczonych ośrodkach przejściowych, bez perspektyw na legalną pracę. Działania zaradcze są nieudolne, a polityka komunikacyjna pełna tematów tabu – w efekcie rośnie popularność skrajnych partii, jak AfD w Niemczech, Zjednoczenie Narodowe we Francji czy Partia Wolności w Holandii.

Jedna na siedem

26-letni Syryjczyk, który pod koniec sierpnia zaszytyłował trzy osoby oraz osiem innych ciężko ranił podczas Festiwalu →



SEVGI / SIPA / EAST NEWS

Miasteczko namiotowe imigrantów przed budynkiem Rady Państwa w Paryżu. Francja, 3 grudnia 2022 r.

→ Różnorodności w niemieckim Solingen, był prawdopodobnie jednym z tysięcy frustratów. Do zaplanowania jego ataku na „zgromadzenie chrześcijan” przyznało się co prawda Państwo Islamskie, ale równie wiarygodna pozostaje teza, że był samotnym desperatem, albo zradyzalizował się dopiero ostatnio, gdy okazało się, że ten mlekiem i miodem płynący kraj nie chce się z nim dzielić bogactwem. Jego wniosek o azyl został odrzucony, a on sam miał zostać już rok temu deportowany do Bułgarii jako państwa, w którym przekroczył granicę Unii. Kiedy w ośrodku dla uchodźców w Paderborn pojawili się urzędnicy, Syryjczyka już tam nie było. Pojawił się znowu w kolejnym ośrodku w Solingen kilka dni po upływie półrocznego terminu, jaki dają niemieckie przepisy

na przeprowadzenie wydalenia z kraju. Mieszkał 300 metrów od miejsca, w którym dokonał zamachu.

Jak przyznała rzeczniczka MSW, w Niemczech udaje się skutecznie przeprowadzić tylko jedną na siedem deportacji, a służby państwowe, choć mają możliwość przedłużania poszukiwań osób bez prawa pobytu, z reguły z tego nie korzystają. Na koniec 2023 r. osób z nakazem wyjazdu było w Niemczech 280 tys. – z kraju wyrzucono 16 tys. z nich.

Nie dawać paliwa

W 2020 r. znany szwedzki socjolog Göran Adamson opublikował wyniki długotrwałych analiz z lat 2002-2017, z których wynika, że w przypadku 58 proc. wszystkich przestępstw w jego kraju

podejrzaniymi byli imigranci. W przypadku zabójstw lub prób ich dokonania odsetek ten wyniósł 73, a napadów rabunkowych – 70 proc. Co ciekawe, zasada ta dotyczyła szczególnie ludzi z Bliskiego Wschodu i Afryki, jeśli zaś chodzi o Wietnamczyków – łamali prawo rzadziej niż autochtoni. Szerokie badania Adamsona były odpowiedzią na atmosferę panującą w Szwecji po ogłoszeniu w 2002 r. raportu Agencji Przeciwdziałania Przestępczości, którego nie chiano rozpowszechniać, gdyż – jak napisał dziennik „Aftonbladet” – może „dawać paliwo rasistowskim uprzedzeniom”.

Dziś Szwecja przeżywa gwałtowne przebudzenie: unikanie dyskusji nie rozwiązało problemu. Choć wokół sytuacji w tym kraju narosło wiele mitów, jak ten,

Internetowe manipulacje

MICHAŁ KOLESOW, autor projektu Kajlo, w korespondencji z innymi oficerami odpowiedzialnymi za wojnę informacyjną z Zachodem napisał, że zależy mu na wzbudzeniu „najsilniejszej emocji, strachu”. Kolesow podkreślał, że „strach o przyszłość, niepewność jutra, niemożność tworzenia długoterminowych planów, niejasny los dzieci i przyszłych pokoleń (...) zalewa podświadomość jednostki paniką i przerażeniem”. Jedną ze strategii było podszywanie się pod grupy proukraińskie i wysuwanie wygórowanych żądań, tak by Europejczycy uznali je za postawę roszczeniową. Władze niemieckie zidentyfikowały kilkadziesiąt witryn i setki tysięcy kont w mediach społecznościowych związanych z Kajlo, z wpisami: „Niemcy pogrążają się w bezdomności”, „Nawet chleb jest luksusem”. Za każdym razem winny wskazany jest ten sam: uchodźcy. W 2023 r. pojawiło się nagranie, na którym tłum



Wiec prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec przed wyborami europejskimi. Mannheim, 7 czerwca 2024 r.

imigrantów z Bliskiego Wschodu w Grecji ma krzyć: „zgwaltimy wszystkie europejskie kobiety, a mężczyznom obetniemy głowy”. W rzeczywistości było to nagranie z 2019 r. pokazujące francuskich Algierczyków świętujących zwycięstwo ich drużyny nad Nigerią, treść zaś śpiewów też była inna. Latem w polskich mediach społecznościowych krążyło nagranie, rzekomo z Ukrainą, który miał zaatakować

przechodniów nożem. Policja potwierdziła, że do ataku doszło, ale sprawcą był Polak. Niemal identyczna seria fake newsów o atakach dokonanych przez uchodźców w Działdowie, Rawie Mazowieckiej, Rudzie Śląskiej i Tucholi pojawiła się pod koniec 2022 r. Za każdym razem zamieszczano link do „strony informacyjnej” zawierającej rzekome nagranie incydentu. W rzeczywistości zostało ono wykonane w 2017 r. w Santa Ana w USA.

Z badań przeprowadzonych przez Migration Policy Institute wynika, że w negatywnych narracjach najczęściej pojawiają się trzy wątki: tożsamości (imigranci stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa i tradycji europejskich lub chrześcijańskich), zamożności (wyłudzają świadczenia, zabierają pracę) oraz zdrowia (roznoszą choroby, wydłużają kolejki).

© AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

że Malmö jest „europejską stolicą gwałtów” (statystyki są rzeczywiście niepokojące, ale liczba takich czynów spada w mieście od 2010 r.), to jednak jeśli chodzi o przestępstwa z użyciem broni palnej, tylko Albania i Czarnogóra są bardziej niebezpiecznymi krajami na kontynencie.

Symbolem obecnej sytuacji jest Rinkeby, dzielnica na północy Sztokholmu, opanowana przez gangi młodych ludzi, których rodzice przyjechali z Somalii. W porachunkach, często z użyciem przemocy broni maszynowej, zginęły już setki osób, a liczba ataków z użyciem ładunków wybuchowych sięgnęła w ubiegłym roku 133. Sprawcy są coraz młodszy, a wychowuje ich ulica, na której zarabiają, handlując narkotykami. Wielu szybko przestaje się uczyć i ma problem z porozumiewaniem się po szwedzku, także dlatego, że szkoły na przedmieściach są fatalne, a nauczyciele nie chcą w nich pracować. Jak wyliczył liberalny dziennik „Dagens Nyheter”, osoby aresztowane w latach 2017-2021 za udział w strzelaninach w 97 proc. miały imigranckie korzenie, a 56 proc. nie skończyło podstawówki.

Szwedzka Erytrea

Problem nie dotyczy tylko Somalijszyków. W Szwecji walczą między sobą Kurdowie, a rok temu na festiwalu mniejszości erytrejskiej w Sztokholmie doszło do krwawego starcia zwolenników i przeciwników tamtejszego rządu. 52 osoby zostały ranne, zatrzymano 180 uczestników zająć (do podobnych scen doszło też podczas niemieckiej edycji festiwalu). To paradoks – ludzie uciekający przed biedą i prześladowaniami w północnej Afryce *de facto* przenoszą swe konflikty na północ Europy.

Centroprawicowy rząd Szwecji zaczął ostatnio zaostrzać politykę azylową – w efekcie po raz pierwszy od 50 lat kraj ten notuje mniej wjazdów niż wyjazdów na stałe. Imigranci są zniechęceni długotrwałymi procedurami, nie mogą też, nawet po uzyskaniu stałego pobytu, sprowdzać rodzin, jeśli nie mają odpowiednich warunków mieszkaniowych i dobrej płatnej pracy.

Ostatni pomysł przyszedł z Danii, która od lat prowadzi surową politykę. Jeśli wniosek przybyśza zostanie tam odrzucony, trafia on do ośrodka deportacyj-

nego, gdzie warunki są kiepskie, a procedurę wydalenia z kraju można przeprowadzać nawet nocą. Ponadto Dania wypowiedziała wojnę tzw. społeczeństwom równoległym i nie pozwala na tworzenie gett. Co ciekawe, zasady te wprowadził rząd socjaldemokratyczny, dzięki czemu skutecznie wytrącił oręż z rąk populistów.

Niemiecka rozpacz

W efekcie o azyl w Danii wystąpiło w ub. roku niecałe 2,5 tys. osób, w Szwecji ponad 12,5 tys., podczas gdy w przyjaźniejszych dla imigrantów Niemczech 352 tys. (w rekordowym roku 2016 było to 745 tys.). Dziś ok. 18 proc. (15 mln) społeczeństwa niemieckiego to ludzie, którzy przybyli tam z innych krajów i uzyskali prawo pobytu. 6 mln trafiło tam w latach 2013-2022, z czego ponad milion to Ukraińcy, a pozostali w zdecydowanej większości pochodzą z Azji (głównie z Bliskiego Wschodu) i Afryki.

Jednak Niemcy też zaczęli zmieniać mocno swoją strategię. Na granicach tego państwa pojawiają się właśnie punkty kontrolne, które mają wyrównać sprawdzić przejeżdżające samochody i zwracać imigrantów. Działania Berlina, bardzo radykalne i „rozpaczliwe” (tak je ocenił Jan Grabiec, szef Kancelarii Premiera RP), mogą zaważyć na stosunkach z sąsiadami. Władze Polski i Austrii już uznały je za złamanie zasad wspólnotowych oraz praktyczną likwidację strefy Schengen na skutek wieloletniej, błędnej polityki „otwartych drzwi”.

Działania Niemców to skutek presji – 77 proc. społeczeństwa uważa, że konieczna jest szybka zmiana polityki migracyjnej, która wymknęła się spod kontroli w czasach Angeli Merkel, gdy niemal każdy, kto chciał, dostawał azyl, a potem była kontynuowana przez Olafa Scholza (cieszącego się dziś poparciem ledwie 18 proc. społeczeństwa).

W skrócie wyglądało to tak, że przybysze opowiadali historie o czekających ich w ojczyźnie prześladowaniach, ale nikt tych twierdzeń nie weryfikował, choć wiele z nich było bliźniaczo podobnych i skonstruowanych według scenariuszy z internetu. Nie przypadkiem to w Niemczech biura podróży zarabiają fortuny na organizowaniu turystycznych wyjazdów do Afganistanu. Korzystają z nich imigranci – choć we wnioskach azylowych

twierdzili, że grozi im śmierć z rąk talibów. Ze zdjęć zamieszczanych w mediach społecznościowych wynika, że odwiedzają krewnych i dobrze się bawią. Kiedy sprawę ujawniła telewizja RTL, niemieckie MSW zaczęło się przetrząsać oskarżeniami z władzami lokalnymi. Okazało się, że nikt nie czuje się do końca odpowiedzialny za tych „uchodźców”.

W niemieckim społeczeństwie panuje coraz większa zgoda, by przyjmowanie imigrantów ograniczyć do wyjątkowych przypadków i zająć się patologiami systemu oraz integracją już przybyłych. Takie nastroje bez wątpienia podsycają publikowane w mediach społecznościowych filmy kręcone przez młode Niemki, wysłuchujące na ulicach negatywnych komentarzy na temat swojego ubioru, kierowanych przez imigrantów z krajów arabskich i twierdzących, że mówią w imieniu Allaha. To mogą być oczywiście mocno nagłaśniane jednostkowe zdarzenia, trudniej jednak przejść do porządku dziennego nad podawanym przez niemieckie MSW faktem, że 41 proc. osób podejrzanych o przestępstwa to cudzoziemcy bez niemieckiego paszportu. To wzrost o 18 proc. w stosunku do 2022 r.

Ucieczka od nędzy

Stojąca na czele włoskiego rządu Giorgia Meloni gościła pod koniec stycznia delegację 46 państw afrykańskich. Usłyszeli oni założenia planu, który ma być alternatywą dla masowej migracji – to szkolenia zawodowe, tworzenie miejsc pracy w Afryce (głównie w rolnictwie) oraz zwiększenie nakładów na system weryfikujący prawo do ubiegania się o status uchodźcy. W skrócie chodzi o to, by młodzi Afrykańczycy znaleźli godne życie u siebie. Pod tymi założeniami prawicowej premier z Rzymu mogliby się dziś podpisać niemal wszyscy przywódcy europejscy.

Włochy są jednym z najbardziej dotkniętych nielegalną imigracją krajów Europy. Co prawda apogeum miało miejsce w 2016 r., kiedy to tylko łodziami przybyło do tego kraju (poprzez Lampedusę) 181 tys. ludzi, ale dziś sytuacja znowu się pogarsza. W 2019 r. u brzegów tego kraju pojawiło się 11,5 tys. imigrantów, ale przed rokiem było ich już prawie 158 tys. – najwięcej z Gwinei, Tunezji, Wybrzeża Kości Słoniowej, →

→ Bangladeszu, Egiptu, Syrii i Burkina Faso. Większość skorzystała z portów w Libii, gdzie wciąż nie istnieje silny rząd centralny, oraz Tunezji. Co prawda UE podpisała z tym ostatnim krajem umowę o ograniczeniu migracji (wcześniej podobne porozumienia zawarto z Turcją, Marokiem i Libią) oraz zgodziła się przekazać na ten cel miliard euro, jednak wielu ekspertów uważa, że Tunezyjczycy wzięli pieniądze, ale niewiele zrobili.

Czas goni, bo o ile prognozy demograficzne dla świata zakładają znaczący spadek liczby ludności, to nie dotyczy on Afryki Subsaharyjskiej, gdzie do 2100 r. ma się rodzić co drugie dziecko na naszej planecie. Według ONZ do 2050 r. ludność Ziemi zbliży się do 10 mld, a jedna czwarta z tej sumy przypadnie na Afrykę. Biorąc pod uwagę, że kraje te są w większości bardzo biedne, a najbliższe bogate społeczeństwa żyją w Europie, ten kierunek migracji wydaje się najprostszy. Np. 200-milionowa Nigeria w 2100 r. będzie liczyć już niemal 800 mln mieszkańców, co oznacza, że obywateli tego państwa będzie o wiele więcej niż wszystkich Europejczyków.

Tylko Indie będą wówczas ludniejszym krajem na świecie (Chiny mają liczyć ok. 730 mln). W pierwszej dekadzie oprócz Nigerii znajdują się też trzy inne państwa afrykańskie: Kongo, Etiopia i Tanzania. Oczywiście bieda, brak wody oraz idące za tym choroby mogą wiele zmienić w prognozach, ale bardzo znaczący wzrost ludności jest i tak niemal pewny. Duża liczba dzieci to w krajach Afryki wciąż najlepsze zabezpieczenie rodzin na starość, przy braku powszechnych systemów emerytalnych. To zaś oznacza ogromną siłę roboczą, która będzie musiała jakoś przetrwać. Wielu z tych ludzi ruszy w stronę Europy – i raczej nie będą wykształceni tak dobrze, jak np. Irańczycy zmagający się od lat ze zjawiskiem *brain drain* (drenażu mózgów), czyli emigracją elit. Według danych nigeryjskich władz dziewczynki urodzone w najbiedniejszych rodzinach, stanowiących 20 proc. społeczeństwa, spędzają w szkole średnio jeden rok, a 7,6 mln nigdy w niej nie było.



JULIEN MATTIA / ANADOLU AGENCY / EAST NEWS

*Zamieszki wywołane przez imigrantów
po próbie likwidacji nielegalnego koczowiska.
Paryż, 17 listopada 2020 r.*

Casus Francji

We Francji żyje dziś 7,3 mln imigrantów, czyli 10,7 proc. wszystkich mieszkańców (największy odsetek w historii). Patrząc na ostatnią dekadę, trudno mówić o szczególnym „zalewie imigrantów”. Liczba kart pobytu wydawanych nowym przybyszom jest raczej stabilna – dostaje je rocznie około 300 tys. osób, w tym aż jedna trzecia to studenci.

Zmieniła się natomiast struktura imigracji: jeszcze pod koniec XX w. przeważali nad Sekwaną przybysze z Europy. Dzisiaj (według danych instytutu INSEE) 48 proc. imigrantów żyjących we Francji urodziło się w Afryce (najwięcej, prawie 30 proc. – w Algierii, Maroku i Tunezji), 32 proc. pochodzi z Europy, 14 proc. z Azji, a ponad 6 proc. – z obu Ameryk i Oceanii. Do tego dodać należy imigrację nielegalną, szacowaną na co najmniej 300 tys. ludzi. I związany z tym problem: tylko co dziesiąta osoba, która dostała nakaz wyjazdu z kraju, faktycznie go opuszcza.

Według oficjalnych statystyk Ministerstwa Sprawiedliwości obcokrajowcy stanowią prawie jedną czwartą wszystkich więźniów we Francji. Można więc mówić o „nadreprezentacji” tej grupy. Jednak francuscy socjologowie podkreślają, że te liczby można interpretować w rozmaity sposób. Osoby o innym kolorze skóry są pod większym nadzorem policji, pochodzą z ubogich krajów i trafiają na ubogie przedmieścia.

Cykliczne walki band młodych ludzi z policją na osiedlach (ostatnie – bardzo gwałtowne – latem ub. roku) nazywa się u nas „zamieszkami imigrantów”. To jednak mit – w zdecydowanej większości są to osoby urodzone we Francji, często dzieci imigrantów z Maghrebu i Afryki Subsaharyjskiej. Socjologiczne badania wskazują, że źródłem ich przemocy jest nie tyle nienawiść do Francji, co poczucie braku perspektyw i upokorzenia ze strony policji.

© SZYMON ŁUCYK

Jak zmienił się Londyn

Tylko 18 czerwca do wybrzeży Wysp Brytyjskich dobiło 882 imigrantów na 15 małych łodziach. Krzywa obrazująca to zjawisko skłania do wniosku, że pod koniec roku ogólna liczba może przewyższyć o ok. 15 proc. rekordowy rok 2022, kiedy to przez kanał La Manche na Wyspy dotarło 46 tys. uchodźców (85 proc. wszystkich tam przybywających), głównie z Afryki i Bliskiego Wschodu, ale też z Albanii.

Brytyjczycy są tą sytuacją przytłoczeni, mimo że proces zmian etnicznych trwa tam od dziesięcioleci. Ostatnio wszystko dzieje się jednak zbyt szybko, co widać na przykładzie Londynu. Jeszcze w 1961 r. mieszkało tam 97,7 proc. białych, tymczasem w 2021 r. było ich już tylko 53,8 proc., z czego brytyjskie korzenie miało ledwie 36,8 proc. To fundamentalna zmiana społeczna, do której doszło w sześć dekad. Zmieniła się też cała Wielka Brytania, w której w 1961 r. biali stanowili 98,2 proc., a w 2021 r. – 76,8 proc. Jeśli aktualne procesy się utrzymają, przed 2070 r. etniczni Brytyjczycy staną się mniejszością. Czy musi się to wszystkim podobać? Czy lęk przed nagłą zmianą reguł kulturowych w kraju o tak długiej historii jest irracjonalny?

W kwietniu brytyjski parlament przegłosował ustawę, na mocy której miało wejść w życie porozumienie z rządem Rwandy, dokąd mieli być kierowani imigranci, którzy nielegalnie dostali się do Wielkiej Brytanii. Rząd w Londynie twierdził, że zdecydowana większość (70 do 90 proc.) to młodzi mężczyźni, i nie są oni uchodźcami, ale migrantami ekonomicznymi. W rwandyjskich ośrodkach miały być rozpatrywane ich wnioski o azyl – tyle że w razie jego udzielenia imigrant dostawałby godziwy „socjal”, ale miałby prawo pobytu nie na Wyspach, lecz w Rwandzie, co miało zniechęcać ryzykantów. Mimo że władze tego kraju już otrzymały 220 mln funtów na organizację systemu, a do Rwandy posłano pierwszych imigrantów, to nowy lewicowy premier Keir Star-

mer już na pierwszej konferencji prasowej zapowiedział, że jego rząd wycofa się z porozumienia.

Na tym tle w sierpniu w kilku angielskich miastach wybuchły gwałtowne zamieszki, podczas których zaatakowano meczety oraz ośrodki dla uchodźców. Choć na ich czele znaleźli się znani politycy chuligani (i tak sprawę rozruchów komentowały władze oraz główne media), problemu nie da się sprowadzić do wybuchu gniewu garstki frustratów, którzy wedle zapowiedzi zostaną surowo ukarani. Coraz częściej w społeczeństwie i niektórych gazetach podnosi się problem standardów walki z antyimigrancko nastawionymi Anglikami, odmiennych wobec tych stosowanych wobec muzułmańskich mniejszości. Policja działa w ich dzielnicach wedle dyrektyw mających unikać nadmiernego zaogniania konfliktów, w efekcie zamieszki nie tyle są pacyfikowane (policja nie chce zarzutów o rasizm), co „negocjowane” ze starszą, którą funkcjonariusze proszą o zaprowadzenie porządku i nadzór nad radykalizującą się młodzieżą. Nie zawsze się to udaje. Podczas rozruchów 18 lipca w Leeds (służby cywilne odebrały tam dzieci jednej z rodzin pod zarzutem domowej przemocy) radiowozu policji została wręcz przegnana z całej dzielnicy, gdzie doszło do wielogodzinnego niszczenia mienia publicznego i budowania barykad.

Na koniec 2023 r.
osób z orzeczoną
nakazem wyjazdu
było w Niemczech 280 tys.
– z kraju wyrzucono
zaledwie 16 tys. z nich.

Oko na Maroko

Wśród państw Unii o największym odsetku osób urodzonych poza granicami oraz takich, których choć jeden rodzic jest imigrantem, są – według OECD – Szwecja (31 proc.), Austria (30 proc.), Francja (27 proc.) Belgia (25 proc.), Niemcy (24 proc.) oraz Wielka Brytania (23 proc.). Dawne imperium na Wyspach nie jest więc jedynym krajem zmagającym się z integracyjnymi problemami, a Londyn nie jest jedyną postkolonialną stolicą, w której przybysze stanowią znaczący odsetek ludności. Dane na temat całej Francji mówią co innego (patrz ramka na str. 16), ale co piąty mieszkaniec Paryża urodził się poza granicami Francji lub przynajmniej jeden z jego rodziców był obcokrajowcem, a w całym regionie otaczającym stolicę – co drugi.

Niemal co piąte dziecko poniżej czwartego roku życia we Francji pochodzi z rodzin przybyłych z północnej Afryki, czyli z krajów Maghrebu (Algieria, Tunezja

i Maroko, rzadziej Libia). Według rządowej agencji INSEE ludzie o korzeniach marokańskich wyznają w 65 proc. islam (jedna czwarta to ateści), jednak już wśród członków tej samej społeczności osoby urodzone bezpośrednio we Francji identyfikują się z islamem w aż 89 proc. Można więc powiedzieć, że w najstarszym świeckim państwie na świecie dzieci imigrantów raczej wracają do islamu, niż od niego odchodzą.

Marokańczycy są najliczniej reprezentowanym narodem w UE, jeśli chodzi o miejsce urodzenia inne niż unijne – jest ich 2,3 mln. Jakie wartości tak naprawdę uznają za „swoje”, których zasad gotowi byłiby bronić? Te pytania stawiane są najczęściej poza głównym nurtem polityki europejskiej.

Frontex, unijna agencja straży granicznej i przybrzeżnej, zanotowała w ubiegłym roku niemal 400 tys. nielegalnych przekroczeń granicy. To najwyższa liczba od 2016 r. Ten rok ma być jeszcze trudniejszy. Europę czeka więc gruntowne prześmyślenie polityki migracyjnej. Obecna nie działa i napędza popularność ruchom, dla których wartości europejskie sprowadzają się do kwestii bezpieczeństwa i zamiany naszego kontynentu w niezdobytą, ale wydłużającą się i starzejącą w tempie ekspresowym twierdzą.

© MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalewski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński,
Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/1U 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: 400 g mięsa i 0,5 l wina



„PRZEZ TRZY LATA SZKOŁA SZAMAJA NIE ZGA-
dzała się ze szkołą Hilela. Ci twierdzili:
»Prawo jest zgodne z naszym stanowi-
skiem«, zaś tamci utrzymywali: »Prawo
jest zgodne z naszym stanowiskiem«.
Ozwał się głos z nieba: »Zarówno te, jak
i tamte są słowami Boga żywego« [hebr. *elu wa-elu diwrej Elo-
him chajim*]. Proto-rabini Hilel i Szamaj wielokrotnie wiedli ze
sobą dysputy – nigdy po to, by bić pianę, lecz by możliwie dojść
do prawdy na chwałę Nieba.

Nieważne, co akurat w tym momencie roztrząsali ani jaki był
koniuszek tej opowieści – prawo musi być wszak jednoznaczne.
Z przytoczonego fragmentu Talmudu zaczerpnięte zostało wy-
rażenie używane do poświadczania wartości różnych interpre-
tacji tego samego fragmentu nauczania Tory. Wprawdzie zwy-
czajowo tłumaczy się „słowa Boga żywego”, jednak z punktu
widzenia języka równie uprawniony wydaje mi się przekład:
„Zarówno te, jak i tamte są żywymi słowami Boga”.

Świetnym przykładem żywych słów Boga wydaje mi się kwe-
stia ochrzczona w Biblii Tysiąclecia mianem „syn nieposłuszny
i krnąbrny”: „Jeżeliby miał kto syna rozpustnego i krnąbrnego,
któryby nie słuchał głosu ojca swego, i głosu matki swojej, a kar-
cili go, ale nie słucha ich, [rodzice przyprowadzą go do starszych
miasta i powiedzą im]: »ten syn nasz rozpustny jest i krnąbrny,
nie słucha głosu naszego, żarłok jest i opójl!«. I ukamionują
go wszyscy mieszkańcy miasta jego kamieniami, na śmierć”
(Pwt 21, 18-21; Cyilkow).

Wprawdzie i wśród młodocianych przestępców zdarzają się po-
twory, ale tu widzimy raptem jeden – w porywach do dwóch,
zależnie od przekładu – grzechów głównych. Ukamienować
dziecko? Rabini w Talmudzie dookreślają, co takiego ten syn
zmalował: otóż zjadł na raz tartemar mięsa (200 g) i wypił pół
logu wina (250 ml). Trzynastolatek? Ale rabin Josi, na wszelki
wypadek, podbija stawkę do 400 g i pół litra. Następnie mamy
całą serię warunków, czyniących zastosowanie tego prawa nie-
możliwym. Dla przykładu: „nie słucha głosu naszego” – matka
i ojciec muszą mieć taki sam głos (a nie: mówić w tej sprawie jed-
nym głosem). Niezmiennie zachwyca mnie ten wyimek z Tal-
mudu: „Jednakże nigdy nie było i nigdy nie będzie [takiego syna].
To dlaczego zostało [o nim w Torze] napisane? Znajdź znaczenie
homiletyczne i otrzymaj [za roztrząsanie tej kwestii] nagrodę”. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie
Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała
m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Wykrzykniki i pytajniki



„JEŚLI KTOŚ CHCE BYĆ PIERWSZY, NIECH BĘ-
dzie ostatni ze wszystkich i sługą wszyst-
kich!” – powiedział Jezus apostołom kló-
cym się o to, kto z nich jest najważniejszy.
Na czym to bycie ostatnim polega, aposto-
łowie dowiedzą się dopiero po śmierci Je-
zusa. Najpierw jednak Jezusową śmierć przeżyją jako Jego i ich
klęskę, i dopiero z czasem zrozumieją, że Jezus, ulegając śmierci,
odsłonił jej prawdziwe oblicze. I nie jest to trupia czaszka.

Paweł Apostoł mówi: „Nikt z nas nie żyje dla siebie i nie umiera
dla siebie. Bo jeśli żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli umieramy,
umieramy dla Pana. Czy więc żyjemy, czy umieramy, należymy
do Pana”. To znaczy, że Pan jest gwarantem naszego życia. Dla-
tego Paweł mówi, że „nie było możliwe, aby (śmierć) nad (Jezu-
sem) panowała”. Dlatego niektórzy nasi uczeni w Piśmie wierzą
i głoszą, że zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Jezusa doko-
nało się w chwili Jego umierania na krzyżu, stąd również nasza
śmierć będzie naszym zmartwychwstaniem i wniebowzięciem.
Mówią też, że Triduum Paschalne należy traktować jako jeden
dzień, jedno wydarzenie.

Zaistnieliśmy w czasie i przestrzeni, ale też nieskończenie
wcześniej. Anioł Ślżak mówi: „Jak Bóg ja jestem wielki, On
mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim
wszak”. Czyżby Anioł Ślżak grzeszył pychą? Nie, tego zarzu-
cić mu nie można. W wierszu „Trzeba ponad Boga” mówi:
„Ach, gdzie jest moja przystań? / Gdzie mnie nie ciebie nie ma. /
Gdzie mój kres ostatni, jakże mam doń zmierzać? / Tam, gdzie
go nie ma wcale. Gdzie więc mam się zwrócić? / Już muszę
ponad Boga na pustynię ruszyć”. W wierszu „Nad-Boskość”
poeta dopowiada: „Co się o Bogu mniema, to mi nie starcza
wcale: / Nad-Boskość jest dopiero życiem mym i światłem”
(tłum. Andrzej Lam).

Słowem, gdy zabieramy się za mówienie o Bogu, jako że „jeste-
śmy z Jego rodu”, to i mówiąc o życiu i śmierci człowieka, nie
przesadzajmy, że to czy tamto jest niemożliwe. Pomijając nawet
religię, nauka podpowiada, żebyśmy zachowali ostrożność w sza-
fowaniu wykrzyknikami, bardziej ufajmy pytajnikom. Raz już
„zdarzyło się (...), że synowie Boży przybyli, aby się stawić przed
Panem. Przybył także szatan i stanął pośród nich”. Synowie Boga
i szatan w jednym szeregu? A czemuż by nie: „Dla Boga przecież
nie ma rzeczy niemożliwych”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem.
Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej
Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Otwarte drzwi

*Grzechem gnostyka jest
fałszywe poznanie przez to,
że nie podejmuje poszukiwań
ze względu na samo dobro.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Chciwość wiedzy
jest zasłoną.*

POWIEDZENIE SUFICKIE



PISZĘ TEN „OKRUCH” z pielgrzymki łódzkiej Ekumenicznej Szkoły Biblijnej do siedmiu Kościołów Apokalipsy. Dziś kończyliśmy swą trasę w starożytnej Filadelfii i chcę na gorąco podzielić się świeżą (jak ufam) refleksją nad tekstem Jezusowego / Janowego listu skierowanego do jej mieszkańców (zob. Ap 3, 7-13): „To mówi (...) Ten, co ma klucz Dawida, Ten, kto otwiera, a nikt nie zamknie, i Ten, co zamyka, a nikt nie otwiera (...). Oto pozostawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte, których nikt nie może zamknąć, bo ty chociaż masz moc znikomą, zachowałeś moje słowo”.

O jakich drzwiach Jezus mówi? Jakie drzwi właśnie otwiera przed małym, uciemiężonym Kościołem w Filadelfii? W wielu miejscach Nowego Testamentu otwarcie drzwi przez Pana oznacza otwarcie możliwości owocnego ewangelizacyjnego działania. W Pierwszym Liście do Koryntian Paweł mówi, że zostanie w Efezie „aż do Pięćdziesiątnicy”, gdyż „otwarła się” tam przed nim „wielka i obiecująca brama” misji (zob. 1 Kor 16, 8-9). W Liście do Kolosan z kolei prosi: „Módlcie się za nas, aby Bóg otworzył nam podwoje dla słowa, dla wypowiedzenia tajemnicy – Chrystusa, za co też jestem do tej pory więźniem, abym ją obwieścił tak, jak winienem ją wypowiedzieć” (Kol 4, 3-4).

W tym ostatnim tekście widać wyraźnie, że owo „otwarcie drzwi” przez Boga ku ewangelizacji ma dwa wymiary. Oznacza ono najpierw stworzenie ku niej choćby minimalnych warunków zewnętrznych – by Paweł mógł podjąć misję, Bóg „musi” najpierw otworzyć kraty jego więzienia. Z drugiej strony, samo otwarcie więzienia nie oznacza jeszcze pełnego „otwarcia podwoi dla słowa” – Pan potrzebuje również otworzyć usta Pawła, by umiał głosić Tajemnicę tak, jak ona się tego domaga.

„Pozostawiłem przed tobą drzwi otwarte” w tym kontekście oznacza: wyznaczyłem ci przestrzeń ewangelizacji. Otwieram ci ku niej zewnętrzne możliwości, ale również uzdalniam cię ku temu, byś ową misję mógł podjąć.

Czy to nie piękne, że Kościołowi o „znikomej mocy”, w cierpieniu i prześladowaniu, Pan nakazuje popatrzeć poza siebie? Odczytać posłanie na zewnątrz! A więc nie dać się zamknąć w swoich problemach i w swoim bólu. Właśnie teraz może on z odwagą wyjść ku ewangelizacji. Właśnie teraz będzie ona owocna. Byleby tylko nie koncentrował się na sobie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 IX)

25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20; Ps 54;
Jk 3, 16 – 4, 3; Mk 9, 30-37;

Poniedziałek: Prz 3, 27-35; Ps 15; Łk 8, 16-18;

Wtorek: Prz 21, 1-6. 10-13; Ps 119; Łk 8, 19-21;

Środa: Prz 30, 5-9; Ps 119; Łk 9, 1-6;

Czwartek: Koh 1, 2-11; Ps 90; Łk 9, 7-9;

Piątek: Koh 3, 1-11; Ps 144; Łk 9, 18-22;

Sobota: Koh 11, 9 – 12, 8; Ps 90; Łk 9, 43b-45;

26. niedziela zwykła: Lb 11, 15-29; Ps 19; Jk 5,
1-6; Mk 9, 38-43. 45. 47-48.

Wybrał PIOTR SIKORA

TO NIC, ŻE INNI TRACĄ

Przed wyborami prezydenckimi główne obozy polityczne nie przebiegają w środkach. Chodzi o ciągle podsycanie konfliktu.

PIOTR ŚMIŁOWICZ



NA POCZĄTKU UBIEGŁO-go tygodnia premier Donald Tusk poinformował, że wycofuje kontrasygnatę pod nominacją sędziego Krzysztofa Wesołowskiego na przewodniczącego zgromadzenia sędziów Izby Cywilnej, które miało wybrać prezesa tejże izby. Tę decyzję uznali za bezprawie nawet tak wyrozumiali dla rządzącej koalicji prawnicy, jak Andrzej Zoll czy Marek Chmaj. Sam premier skomentował te wątpliwości dzień później, na naradzie poświęconej planowanym zmianom w wymiarze sprawiedliwości i Trybunale Konstytucyjnym. – Jeśli chcemy przywrócić ład konstytucyjny oraz fundamenty liberalnej demokracji, musimy działać w kategoriach demokracji walczącej. Oznacza to, że prawdopodobnie nieraz popełnimy błędy lub podejmiemy działania, które według niektórych autoritetów prawnych mogą być nie do końca zgodne z literą prawa. Ale nic nie zwalnia nas z obowiązku działania – oświadczył.

Ta deklaracja Tuska wywołała jeszcze większe zdziwienie niż wycofanie kontrasygnaty, bo zapowiadała łamanie prawa w imię „przyzwoitości”. – Dodanie do demokracji jakiegoś przymiotnika powoduje, że nie mamy demokracji – komentował w mediach Marek Sawicki z PSL.

Afera wokół kontrasygnaty była kolejnym etapem konfliktu premiera z prezydentem. Andrzej Duda nie omieszkiał złośliwie skomentować postępowania szefa rządu, przyznając, że cała sytuacja jest „śmieszno-straszna”.

To była już kolejna wypowiedź prezydenta, która wywołała wzburzenie w obozie władzy. W poprzedniej Duda sugerował, że najwyraźniej nadal trwa współpraca polskich służb ze służbami rosyjskimi, komentując przedstawienie przez prokuraturę Pablo Gonzalezowi/Rubcowowi akt jego sprawy na kilka dni przed odesłaniem tego rosyjskiego szpiega do Moskwy w ramach wymiany.

Spór kompetencyjny

Wojna prezydenta z premierem to tak naprawdę oboczność konfliktu, który na polskiej scenie trwa między PiS a PO. Podsycają go obie strony, zainteresowane eskalacją, na której zyskują oba obozy. I na której cierpi interes państwa, a przede wszystkim wizerunek Polski za granicą, bo to właśnie kwestie międzynarodowe należą do konstytucyjnych kompetencji zarówno prezydenta, jak i premiera.

Mechanizm konfliktu najlepiej widać na przykładzie sporu o ambasadorów, bodaj najostrejszego między oboma antagonistami. Szef MSZ Radosław Sikorski, a także politycy Koalicji Obywatelskiej ostro krytykują prezydenta, że nie podpisał dotąd żadnej nominacji ambasadorskiej obecnej władzy.

– Jeśli rząd nie konsultuje kandydatów z prezydentem, co było zawsze dobrym obyczajem, to co ma zrobić prezydent? – pyta Paweł Szrot, obecnie poseł PiS, a wcześniej szef gabinetu Dudy. A obecny szef gabinetu i, według kuluarowych spekulacji, główny architekt obecnej linii politycznej prezydenta Marcin

Mastalerek zwraca uwagę, że zgodnie z prawem ambasadora mianuje i odwołuje prezydent. Dodaje, że Andrzej Duda nie zgadza się też na hurtowe odwoływanie ambasadorów, bez konkretnych przesłanek i podawania przyczyn, co chce robić rząd.

Rząd replikuje, że to on odpowiada za politykę zagraniczną, ma więc prawo dobierać ambasadorów. – Nominacje ambasadorskie są przeprowadzane zgodnie z ustawową procedurą. Poza tym wszyscy ci kandydaci, którzy zostali przedstawieni prezydentowi, uzyskali tzw. *agrément*, czyli zgodę państwa przyjmującego. Nie ma powodu, aby tych nominacji nie podpisywać – mówi wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna z Lewicy.

Kto zaczął?

Politycy koalicji rządzącej przypominają też, że cała procedura odbywa się według ustawy przyjętej w czasach PiS, zgodnie z którą kandydatów na ambasadorów typuje tzw. konwent, w którym zasiada przedstawiciel prezydenta. Ten ostatni początkowo na takich posiedzeniach nie był przeciw kandydatom, tylko się wstrzymywał. Teraz jednak Andrzej Duda odmawia swoich podpisów pod jakimikolwiek decyzjami personalnymi, dotyczącymi ambasadorów, zarówno pod odwołaniami, jak i powołaniami, niezależnie od kompetencji kandydatów. A niektórzy – np. zarekomendowany niedawno przez sejmową komisję spraw zagranicznych kandydat na ambasadora w Austrii Zenon Kosiniak-Kamysz – są doświadczonymi dyplomatami.

Politycy KO mówią, że prezydent początkowo był otwarty na zmiany ambasadorów, zastrzegł tylko, że chciałby pozostawić na placówkach swoich byłych bliskich współpracowników – przede wszystkim ambasadora przy ONZ Krzysztofa Szczerskiego, ambasadora w Rumunii Pawła Słochę i ambasadora w Waszyngtonie Marka Magierowskiego. Jednak potem, pod wpływem zaostrenia się sytuacji politycznej w kraju i być może pod wpływem Mastalera, usztywnił stanowisko. – Duda najwyraźniej stwierdził, że nie ma szans na żadne stanowisko międzynarodowe, więc swoją przyszłość polityczną zamierza związać z PiS. Działa więc jak polityk tej partii – komentuje polityk KO.

Sprawa ambasadorów nie jest jednak jednoznaczna. Zdaniem Marcina Przydacza, posła PiS i byłego ministra w Kancelarii Prezydenta, a także byłego wiceszefa MSZ,

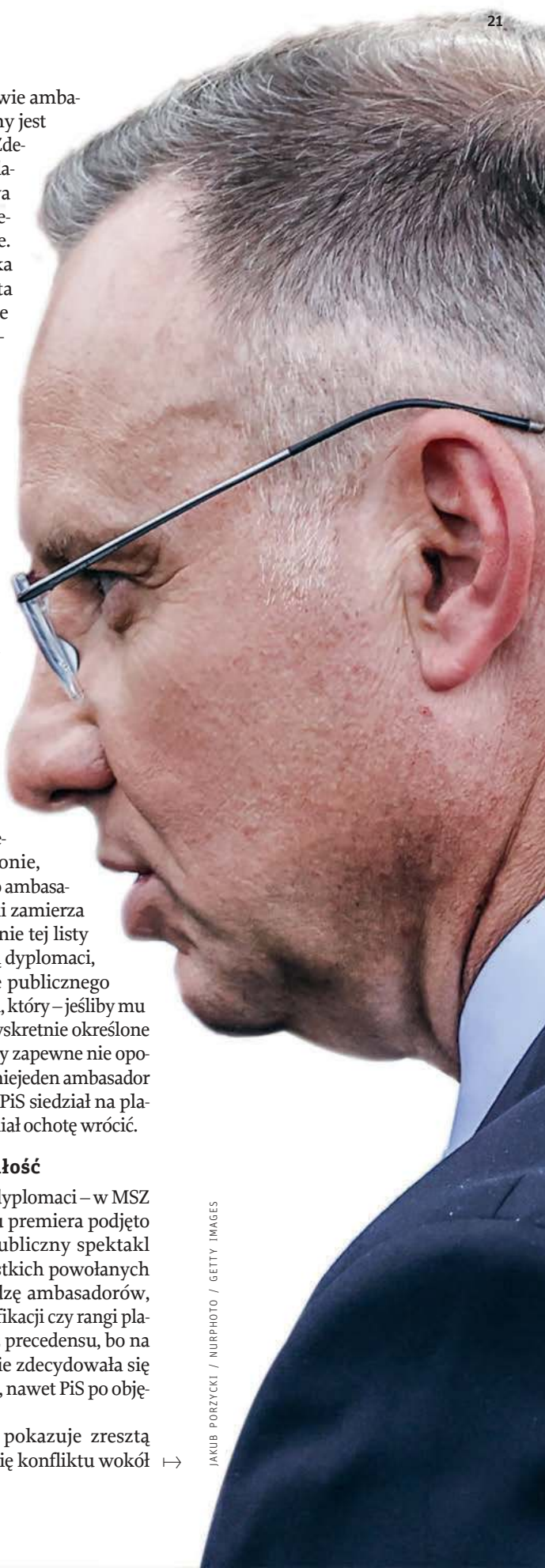
za konfrontację w sprawie ambasadorów odpowiedzialny jest przede wszystkim rząd. Zdecydowała o tym, jego zdaniem, wspólna marcowa wizyta prezydenta i premiera w Waszyngtonie. – W elektoracie PO taka współpraca prezydenta z premierem została źle przyjęta, więc zdecydowano się zaostrzyć linię – ocenia Przydacz.

Potwierdzają to niektórzy dyplomaci, którzy przyznają, że początkowo szef MSZ Radosław Sikorski był gotów do informowania prezydenta o zamiarze odwołania określonego ambasadora. Tak właśnie została przeprowadzona jeszcze w grudniu wymiana szefa przedstawicielstwa przy UE i Andrzeja Sadosia zastąpił Piotr Serafin. Natomiast w marcu, krótko po wspólnej wizycie prezydenta z premierem w Waszyngtonie, ogłoszono listę ponad 50 ambasadorów, których Sikorski zamierza odwołać. Już nagłośnienie tej listy pokazywało, jak mówią dyplomaci, że chodzi o wywołanie publicznego konfliktu z prezydentem, który – jeśli mu przedstawiać po kolei dyskretnie określone nazwiska – przy wielu by zapewne nie opowiadał. Tym bardziej że niejeden ambasador mianowany w czasach PiS siedział na placówce już 6-7 lat i sam miał ochotę wrócić.

Iść na całość

Jednak – jak spekulują dyplomaci – w MSZ albo wręcz w otoczeniu premiera podjęto decyzję, żeby zrobić publiczny spektakl i odwołać niemal wszystkich powołanych przez poprzednią władzę ambasadorów, niezależnie od ich kwalifikacji czy rangi placówki. Była to akcja bez precedensu, bo na czystkę o takiej skali nie zdecydowała się żadna poprzednia ekipa, nawet PiS po objęciu władzy w 2015 r.

Sekwencja zdarzeń pokazuje zresztą stopniowe zaostrzanie się konfliktu wokół



MIKUL PORYCKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

→ ambasadorów na linii rząd–prezydent. W marcu ambasadorowie dostali jedynie informację o woli odwoływania ich z placówki jeszcze w 2024 r. Po upływie kilku tygodni otrzymali z MSZ pismo o zakończeniu misji i odwołaniu do kraju. W międzyczasie doszło do zaostrzenia konfliktu na tle zamiaru odwołania ambasadora przy NATO Tomasza Szatkowskiego. Rząd za wszelką cenę usiłował go ściągnąć do kraju i zastąpić Jackiem Najderem jeszcze przed lipcowym szczytem Paktu, mimo że Szatkowski na dniach miał zakończyć misję. Rząd powoływał się na zastrzeżenia wojskowych służb wobec dotychczasowego przedstawiciela, sformułowane jeszcze w czasach PiS. Duda, który znał ich treść, oświadczył jednak, że nie podpisze wniosku w tej sprawie.

Sytuacja, w której odwołań nie chce podpisywać prezydent, rodzi konsekwencje: niektórzy dotychczasowi ambasadorowie uważają, że nadal stoją na czele placówek. Jak bardzo takie sytuacje mogą szkodzić wizerunkowi Polski, pokazuje przypadek ambasadora na Ukrainie Jarosława Guzego, pełniącego swoją funkcję zaledwie od jesieni 2023 r. Nie zaakceptował on decyzji o odwołaniu, przesłanej z MSZ, i nie zdał placówki. Wrócił, co prawda, do Polski pod pretekstem urlopu, ale doprowadził do tego, że prezydent zabrał go ze sobą do Kijowa na sierpniowe uroczystości z okazji Dnia Niepodległości Ukrainy. Ponieważ MSZ robił wszystko, by Guzego oficjalnie nie było w składzie delegacji, na początkowe spotkania nie został on wpuszczony. Potem skonfundowani Ukraińcy pod silnym naciskiem urzędników kancelarii Dudy zaczęli go jednak wpuszczać.

Jak to wygasić?

Sam Duda kilka razy wypowiedział się na temat kandydatów na ambasadorów i też nie były to najszcześliwsze wypowiedzi. Wypomniął np. stalinowską działalność rodziców Ryszardowi Schnepfowi – doświadczonemu dyplomacie, a nawet sekretarzowi stanu w KPRM w czasie rządów PiS. Otwarcie sprzeciwił się też kandydatowi na ambasadora w Waszyngtonie Bogdanowi Klichowi, obecnemu senatorowi, zresztą w minionym tygodniu pozytywnie zaopiniowanemu przez sejmową komisję. Argumentował, że był szefem MON w czasach katastrofy smoleńskiej. Politycy KO przyznają, że Klich,



JAKUB PORZYCKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Jeśli nie dojdzie do zgody,
Duda do końca kadencji
nie podpisze żadnego wniosku
**o odwołanie lub powołanie
ambasadora.**

co prawda, podał się do dymisji w 2011 r. po ogłoszeniu raportu komisji Jerzego Millera na temat katastrofy, ale to był gest honorowy, niemający nic wspólnego z jego kwalifikacjami jako potencjalnego ambasadora w USA.

Przedstawiciele obu zwaśnionych obozów uważają, że spór zaszedł tak daleko, iż jeśli nie dojdzie do jakiegos spektakularnego aktu zgody, Andrzej Duda do końca kadencji nie podpisze żadnego wniosku o odwołanie lub powołanie ambasadora. Placówkami będą więc kierować *chargés d'affaires*. – Taka polityka nam nie służy, bo w wielu krajach jeśli kierownik placówki ma niższą rangę niż ambasador, utrudnia mu to działanie – mówi wiceminister Szejna.

A na sprawie ambasadorów spory się nie skończą. Wielu polityków wskazuje na tzw. ustawę kompetencyjną, uchwaloną tuż przed końcem rządów PiS, która daje prezydentowi nadzwyczajne uprawnienia w perspektywie przypadającej na pierwsze półrocze 2025 r. polskiej prezydencji w UE. W myśl tej ustawy prezydent m.in. ma prawo opiniować kandydata na polskiego komisarza, a także mieć wpływ na priorytety polskiej prezydencji.

W sprawie kandydata na komisarza – Piotra Serafina – premier zastosował się do litery tej ustawy, co zresztą Duda przyjął z wyraźnym zadowoleniem, od razu kandydata aprobując. Jednak podczas

niedawnego spotkania ambasadorów Tusk przyznał, że fakt, iż polska prezydencja będzie przebiegała w warunkach obowiązywania ustawy kompetencyjnej (naruszającej, jego zdaniem, ład ustrojowy), może mieć negatywny wpływ na jej przebieg.

Zdaniem Andrzeja Szejny to, że premier oparł się na ustawie w sprawie nominacji dla Serafina, „było propaństwem i służącym wizerunkowi Polski posunięciem”. Teraz jednak szef rządu będzie musiał zdecydować, czy nadal tę ustawę honorować, skoro są wobec niej wątpliwości konstytucyjne. – Choć jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B i C – przyznaje wiceszef MSZ.

Prezydencja pod znakiem kłótni

Inny polityk KO nieoficjalnie mówi, że premier raczej już nie będzie z prezydentem niczego konsultował, a nominacja dla Serafina była pierwszym i ostatnim zastosowaniem ustawy kompetencyjnej. Zresztą, dodaje ten polityk, znaczenie Dudy będzie malało wprost proporcjonalnie do tego, jak upływał będzie czas do końca jego kadencji, a jeszcze dodatkowo zapewne zaangażuje się on po stronie prezydenckiego kandydata PiS, którokolwiek nim będzie, więc nikt nie będzie go traktował jako prezydenta ponad podziałami.

Czy to nie zakłóci polskiej prezydencji? Andrzej Grzyb z PSL-TD, szef komisji obrony i członek komisji ds. Unii Europejskiej, przekonuje, że mimo wszystko może nie być wielkich konfliktów, bo do obsadzenia pozostają stanowiska mało polityczne, np. członek Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, gdzie wymagane jest doświadczenie w organach kontrolnych państwa, natomiast priorytety naszej prezydencji w dużym stopniu wynikają z priorytetów przyjętych na trzy kolejne prezydencje – Węgier, Polski i Hiszpanii.

W tej ostatniej sprawie jakieś spory, przyznaje poseł PSL, mogą się jednak pojawić w związku z rozpoczęciem pracy przez nową Komisję Europejską w końcu tego roku, co się będzie zbiegać z polską prezydencją.

Wojenny konsensus

Stosunkowo najlepiej współpraca wygląda w kwestiach obronności, choć tu znaczenie ma osoba wicepremiera i szefa

MON Władysława Kosiniaka-Kamysza, który stara się być buforem między rządem i prezydentem. Andrzej Grzyb przekonuje, że w sprawach bezpieczeństwa i obronności nie można pomijać prezydenta i Kosiniak-Kamysz to rozumie. Jednym z efektów jest przeprowadzenie ograniczonych zmian personalnych w dowództwie armii, w czym szef MON poszedł na rękę prezydentowi, choć było wielu takich, którzy domagali się głębszych przetasowań. Podobnie z przeprowadzonymi przez rząd PiS zakupami obronnymi, które nie zostały zakwestionowane, choć przyjęte procedury, zdaniem obecnego rządu, nie zawsze były właściwe.

Sprawa współpracy obronnej jest jednak wyjątkiem, bo, jak przyznaje wielu naszych rozmówców, konflikt z Dudą służy Tuskowi do mobilizacji elektoratu. Jest to ważne przed wyborami prezydenckimi, a przy okazji pozbawia pola manewru koalicjantów, którzy, jak mówi jeden z naszych rozmówców, stają się „wspólnikiem w zbrodni”.

Rzeczywiście, koalicjanci na razie nie bardzo mają pole manewru wobec ofensywy Tuska. Kosiniak-Kamysz, jak przyznają nawet niektórzy przedstawiciele Trzeciej Drogi, nie wychodzi poza obowiązki wynikające z kierowania MON. W przeciwieństwie do outsidersa Sawickiego nie odniósł się np. do kontrowersyjnych słów Tuska o „demokracji walczącej” i prymacie przywoitości nad prawem. Podobnie zresztą jak marszałek Szymon Hołownia, który był nawet świadkiem tej wypowiedzi. Jedynym, który się delikatnie odciął, był lider lewicy Włodzimierz Czarzasty. – Jest granica, której nigdy nie przekroczymy, nie będziemy łamali prawa – zapewnił.

W samej Koalicji Obywatelskiej Donald Tusk ma pełne poparcie dla twardej linii. – Obawiam się, że potrzebne są ruchy rewolucyjne. Węzła gordyjskiego nie rozplątuje się paluszkami. Potrzebne jest cięcie – powiedział „Tygodnikowi” jeden z prominentnych polityków PO, pytany o skomplikowaną sytuację w wymiarze sprawiedliwości.

Na szczytach władzy nie będzie zatem w najbliższych miesiącach spokoju. A państwo polskie na tym nie zyska. © P. PIOTR ŚMIŁOWICZ

Prawo a sprawiedliwość

MAREK RABI

Burzę, w jaką przeistoczył się spór z frankowiczami, banki w Polsce mogą niebawem wspominać jako nieszkodliwy zefirek. Na horyzoncie mający kolejny konflikt – o tak zwaną sankcję kredytu darmowego.

Za dużo ochrony

W oficjalnej narracji banków problem nie istnieje, a już na pewno nie powinno się go porównywać z kryzysem frankowym, który zaowocował dotąd ponad 190 tysiącami spraw w sądzie i blisko 50 tysiącami ugód. Na sądowe rozstrzygnięcie czeka obecnie ok. 10 tysięcy pozwów o sankcję kredytu darmowego, a ryzyko przegranej banki oceniają na tak niskie, że nie widzą konieczności tworzenia rezerw na ten cel. Ale jeśli jest tak dobrze, to dlaczego za pośrednictwem Związku Banków Polskich branża apeluje do rządu o pilną nowelizację ustawy o kredycie konsumenckim, idącej jej zdaniem za daleko w ochronie interesów klientów?

Odpowiedź na to pytanie może zawierać ostatni raport półroczny banku Millenium, w którym można przeczytać, że w 33 sprawach o sankcję kredytu darmowego prawomocnie zakończonych w pierwszym kwartale br. Millenium odniósł 32 zwycięstwa. Sytuacja nagle zmieniła się w kolejnym kwartale: z 22 spraw aż siedem zakończyło się wygraną klientów.

Millenium wyłamał się z branżowej omerty i jako jedyny upublicznił takie dane, z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak założyć, że podobną tendencję widać w innych bankach. A to z kolei dowodzi, że sądy w Polsce, które dotychczas traktowały tego typu postępowania jako rezultat pieniactwa konsumentów, coraz częściej zaczynają stawiać jednak po ich stronie. Na dodatek pod koniec lipca sąd w Łodzi skierował do Trybunału Sprawiedliwości UE prośbę o wykładnię, która może sprawić, że w polu rażenia sankcji kredytu darmowego znajdzie się większość z ok. 18 mln spłacanych kredytów konsumentów. I to nie z tak błahego powodu, jak „brak

TRUDNO MÓWIĆ O ZASKOCZENIU. Przepisy, które w określonych sytuacjach pozwalają klientowi banku oddać tylko tyle, ile od niego pożyczył, obowiązują od grudnia 2011 r. Po kryzysie finansowym, który na całym świecie zachwiał zaufaniem do sektora bankowego, ówczesny gabinet Donalda Tuska postanowił skodyfikować prawa i obowiązki stron zawierających umowę kredytu konsumpcyjnego – czyli sytuację, gdy po pożyczkę zgłasza się klient indywidualny. Ustawodawca doszedł do wniosku, że to na zatrudniającym sztaby rozmaitych specjalistów banku spoczywa obowiązek sporządzenia umowy, która wyczerpująco opisze warunki kredytu – tak aby klient mógł łatwo oszacować pełny koszt i porównać oferty.

Ustawa z 2011 r. wymienia więc, czego w takiej umowie nie może zabraknąć, i stanowi, że jeśli kredyt nie przekroczył 255,5 tys. zł, niedotrzymanie choćby jednego z wymienionych warunków daje klientowi prawo do tzw. sankcji kredytu darmowego. Czyli do oddania tylko pożyczonej sumy, bez odsetek i prowizji. Jeśli klient kredyt już spłacił, może zażądać zwrotu każdej złotówki ponad pożyczony kapitał – o ile od ostatniej spłaty nie minął rok. Prawo do sankcji kredytu darmowego przysługuje także konsumentowi, który miał problemy ze spłatą zobowiązania i jego sprawa trafiła do sądu – a nawet została już skierowana do windykacji komornej.

Słuchając ostatnich wypowiedzi bankowców o sankcji i jej potencjalnym wpływie na całą branżę trudno jednak nie odnieść wrażenia, że banki są zaskoczone. Tym, że klienci zaczęli korzystać z przysługujących im uprawnień.

→ przecinka”, o którym z emfazą opowiadał dziennikarzom na wrześniowej konferencji prezes ZBP Tadeusz Białek.

I ty możesz wygrać z bankiem

Lista błędów i niedopatrzeń, które zgodnie z prawem pozwalają klientowi powołać się na sankcję kredytu darmowego, liczy 29 pozycji, ale zdaniem bankowców problemem nie jest ich liczba. Bardziej niepokoi ich konstrukcja artykułu 45. ustawy o kredycie konsumenckim, który sankcję kredytu darmowego pozwala uruchomić klientowi jednostronnie, nawet bez konsultacji z prawnikiem; wystarczy, że poinformuje o tej decyzji wierzyciela. Bank niemal na pewno skieruje sprawę do sądu, ale sam niski próg wejścia w spór z instytucją finansową bardzo bankowcom nie odpowiada.

Dziwi ich również to, że prawo do sankcji przysługuje klientowi nawet wtedy, gdy uchybienie kredytobiorcy „nie wpływa negatywnie na sytuację ekonomiczną konsumenta”. Zdaniem szefa ZBP ustawa w aktualnym brzmieniu uzasadnia skrajne interpretacje, które rozciągają takie prawo na sytuację, gdy w umowie bank nie poda adresu mailowego do doręczeń elektronicznych. Albo gdy wymieniając organ nadzoru, pomyli się i wskaże jedynie UOKiK, a nie prezesa UOKiK. Pretensje bankowców nie płyną przy tym pod adresem klientów, lecz w stronę kancelarii odszkodowawczych, które mają dziś na masową skalę kusić Polaków iluzją łatwej wygranej w sądzie i darmowego kredytu. Wiele z nich skupuje nawet takie roszczenia, co zmusiło jeden z polskich sądów do zapytania TSUE, czy klient może odsprzedać prawo do sankcji darmowego kredytu.

W rzeczywistości sen z powiek spędza jednak polskim bankowcom nie to zapytanie. Z przerażeniem czekają na odpo-

wiedź TSUE na pytanie łódzkiego składu, którego uwagę przykuła nagminnie stosowana przez banki praktyka kredytowania prowizji.

Granice zysku

Od 2006 r. klientów polskich instytucji finansowych chronią przepisy, które określają maksymalną wysokość odsetek kapitałowych. Innymi słowy – najwyższą stawkę, jakiej można zażądać od klienta za pożyczone pieniądze. Odsetki maksymalne są powiązane z wysokością stóp procentowych, które ustala NBP.

Banki i inne instytucje finansowe znalazły jednak sposób, by to ograniczenie obejść. Na niemal każdy kredyt konsumencki, prócz udostępnionego kapitału i odsetek, składa się dziś także prowizja, czyli jednorazowa opłata, która teoretycznie ma pokryć bankowi koszt obsługi wniosku. W epoce cyfrowej, gdy nawet oceną zdolności kredytowej klienta zajmują się algorytmy, koszty oczywiście są bliskie zeru, ale to nie przeszkadza bankom windować prowizje. Instytucje finansowe nie są oczywiście organizacjami non profit i mają prawo do zarobku, chodzi jednak o to, by robiły to w granicach prawa. Większość polskich banków wspałałomyślnie rozbija tymczasem klientowi prowizję na raty, po czym traktuje ją jak udostępniony klientowi kapitał i od niej również nalicza mu odsetki.

Prowadzi to do kuriozalnych sytuacji, gdy bank wypłaca klientowi 99,2 tys. zł w zamian za prowizję, która wraz z odsetkami kosztuje klienta przez cały okres kredytowania aż 59 tys. zł. Zdaniem części prawników takie działania stoją nie tylko w sprzeczności z ustawą o kredycie konsumenckim, która każe oddzielać prowizję od odsetek. Kłóć się także z innymi zapisami prawa bankowego, które pozwalają naliczać odsetki jedynie

od sumy, którą bank udostępnił klientowi. Łódzki sąd, do którego trafiła jedna ze spraw o sankcję darmowego kredytu, ma wątpliwości, czy „udostępnieniem kapitału” jest także niepobranie od klienta należnej prowizji i następnie obciążenie tej sumy odsetkami – i właśnie o to pyta TSUE. Odpowiedź może okazać się zgodna z interpretacją prawników bankowców, nie da się jednak wykluczyć, że Trybunał dopatry się w tej praktyce działań na szkodę klienta.

– A wtedy zbudzimy się w rzeczywistości, w której bliskie prawdy okazać się opowieści kancelarii odszkodowawczych, wciskających klientom, że siedem na dziesięć umów kredytu konsumpcyjnego zawiera błędy – zauważa były prezes dużego polskiego banku, prosząc o niepodawanie nazwiska i nazwy niedawnego pracodawcy.

Tylko w 2023 r., podaje Biuro Informacji Kredytowej, w Polsce zaciągnięto kredyty ratalne i gotówkowe na 83,5 mld zł. Spłata tego typu zobowiązania statystycznie trwa w Polsce 24 miesiące, a potem klientowi przysługuje jeszcze rok na złożenie roszczenia – to oznacza, że w polu rażenia sankcji darmowego kredytu znajduje się obecnie kapitał rzędu 250 mld zł. Gdyby tylko co trzecia taka umowa zawierała błędy umożliwiające jej zerwanie, banki ryzykowałyby rokrocznie zarobkiem od 75 mld zł – aż do momentu, kiedy sprzedawni się ostatnia z felernych umów. I oczywiście przy założeniu, że nowe nie zawierałyby już prawnych defektów.

– Ale jeśli nawet w tej sprawie TSUE opowie się po stronie banków, problem nie zniknie – ciągnie cytowany wyżej prezes. – Proszę odpalić YouTube’a, wpisać hasło „sankcja kredytu darmowego”. Znajdzie pan dziesiątki filmów wyliczających błędy i nadużycia w umowach bankowych. Wiele z nich jest prawdziwych.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK SPECJALNY

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

a w nim:

- Najciekawsze premiery teatralne jesieni. Nie ma rady: trzeba brać do ręki kalendarz i zapisywać daty kolejnych świetnych spektakli w Gdyni, Kielcach, Rzeszowie czy Warszawie
- Warsaw Gallery Weekend oraz rynek sztuki współczesnej w Polsce
- Rozmowa z Joanną Mytkowską, krytyczką i historyczką sztuki, dyrektorką Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 25 WRZEŚNIA



JACEK WAJSZAK / REPORTER

Trupy w sejfach

Lista jest rzeczywiście długa. Na porządku dziennym są żądania od klientów zakupu ubezpieczenia na wypadek utraty pracy, nawet w sytuacji, gdy o kredyt ubiega się osoba prowadząca jednoosobową działalność gospodarczą. Wymagane często ubezpieczenie niskiego wkładu własnego zabezpiecza z kolei jedynie interes banku, mimo że płatnikiem jest klient. W umowach kredytu o zmiennej stopie procentowej (w Polsce stanowią one nadal miażdżącą większość) regularnie pojawia się zaś wzmianka o tym, że zmiana oprocentowania może – a więc nie musi – nastąpić po zmianie któregoś ze wskaźników referencyjnych, najczęściej stóp procentowych NBP. To z pozoru niewinne sformułowanie pozwala bankom dokładać odsetek nazajutrz po każdej podwyżce stóp – i nie zmieniać oprocentowania po obniżce. Klient może się zresztą jedynie domyślać, do którego wskaźnika referencyjnego odniósł się bank, bo część umów milczy nawet o tym.

Jeśli obawy przed nadchodzącym tsunami pozwów o sankcję darmowego kredytu okazały się przesadzone, będą i tak wiarygodnym miernikiem nastrojów w bankowości. Branża, która przez pierwsze dwie dekady po zmianie ustroju gospodarczego mogła robić z polskimi klientami, co tylko chciała. Jej przywiłeje, pochodzące z czasów, gdy wszystkie

banki w kraju były państwowe i jako takie były traktowane przez prawo jako instytucje publiczne, zapewniały bankowcom gigantyczną przewagę w sporach z klientami.

Dość przypomnieć funkcjonujące aż do sierpnia 2016 r. kuriozum, jakim był bankowy tytuł egzekucyjny, który pozwalał bankowi skierować do komornika sprawę każdego wierzyciela, bez postępowania sądowego, wyłącznie w oparciu o własne wyliczenia skali zadłużenia. W oparciu o BTE bank mógł w każdej chwili przystąpić do windykacji dowolnego kredytu, także spłacanego bez opóźnień. W praktyce takie przypadki były bardzo rzadkie, ale sam fakt, że prawo je dopuszczało, oddziaływał trzeźwiąco na klientów, którym zamarzyłyby się procesy z grającym nieczysto kredytodawcą. Przez lata banki w Polsce cieszyły się jednak powszechną opinią instytucji zaufania publicznego, która z definicji nie może działać na niekorzyść petenta, co z kolei sprawiało, że mało kto wczytywał się w treść umów.

Kraina paradoksu

Otrzeźwienie przyniósł dopiero kryzys frankowy, który pokazał, że w grze o zyski rzekome instytucje zaufania publicznego mogą posunąć się do zagrań, jakich można by się spodziewać raczej po paserze. Ale nawet dziś – po wizerunkowej ka-

tastrofie z frankami, po wcześniejszych aferach z polislo-lokatami i po skandalu z opcjami walutowymi, które prawie 20 lat temu odesłały w niebyt dziesiątki prężnie działających firm – odsetek Polaków ufających branży nie spada poniżej 60 proc. W porównaniu z rokiem 2017 zaufanie do banków zmalało o 12 punktów procentowych, ale ta żółta kartka w niewielkim stopniu przekłada się na ich codzienność. Pomimo starań kancelarii prawnych, które zapewniają, że kredyt to taki sam produkt jak żelazko czy worek ziemniaków, przekonanie, że dług jest zobowiązaniem honorowym, nadal ma się w Polsce relatywnie dobrze.

W najnowszym raporcie o stanie branży Związek Banków Polskich z satysfakcją odnotowuje, że w 2023 r. odsetek kredytów konsumpcyjnych zagrożonych brakiem regularnych spłat spadł w porównaniu do roku 2022 z 8,6 do 8 proc. Pożyczki hipoteczne – wyłączone ustawą spod sankcji kredytu darmowego – od lat spłacane są z jeszcze większą skrupulatnością i nie zmieniają tego nawet statystyki Europejskiego Banku Centralnego, z których wynika, że banki nad Wisłą pożyczają na mieszkania najdrożej w UE.

Polski rynek finansowy po 35 latach wolnego rynku jest więc nadal krainą skrajności. Dobrych klientów obsługują tu złe banki.

© MAREK RABII

Na słuchawce

MATEUSZ MACIERAKOWSKI

Niektórzy przyszedli na chwilę, a zostali 8 lat, zgodnie z zasadą, że jak przetrwasz w call center pierwsze trzy miesiące, to zostaniesz na długo. Twoje życie zaprogramuje system, aż staniesz się jednowymiarowy.

CO PIĄTA OSOBA Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCeniem pracuje w Polsce poniżej swoich kwalifikacji, tak wynika z danych Eurostatu. Sam w to wpadłem łądząc „na słuchawce” – może na własne życzenie, a może przez patologiczny rynek pracy. To jednak nie będzie opowieść o absolwentach studiów łądzących często w nudnych korporacjach czy w gastronomii, gdzie pracuje się po 12 godzin na dobę (ale za to można dobrze zarobić). Napiszę raczej o roli trybika w trudnej do zrozumienia maszynie oraz o byciu nadzorowanym do tego stopnia, że do toalety można chodzić tylko w konkretnych godzinach.

Pamiętam maila w przedostatni dzień pracy podczas mojej prawie 10-miesięcznej kariery konsultanta telefonicznego: „Proszę nie wykorzystywać przerwy dłuższej niż 5 minut na zmianie porannej – w pierwszej godzinie, a na zmianie popołudniowej w ostatniej godzinie”. Chodzenie na przerwę miało zaburzać wydajność i ograniczać maksymalną liczbę połączeń, a przecież im więcej połączeń, tym większa sprzedaż.

Logika sprowadzania wszystkiego do statystyki była na porządku dziennym. Na własnej skórze przekonałem się, czym jest imperatyw „wskaźnikowania” współczesnych pracowników korporacji, nieustannego ich porównywania, oceniania wydajności i czynienia ze złożonych jednostek jednowymiarowych bytów, o czym pisała kiedyś między innymi socjolożka prof. Magdalena Szpunar. Miałem tam co prawda etat i pieniądze na chleb, ale uświadomiłem sobie też, jak we współczesnym kapitalizmie efektywność człowieka mierzy się za pomocą pa-

rametrów i zmiennych, które wyplukują wszystko, co ludzkie, a zostawiają uśrednione wartości.

Niebieski kołnierzyk z taśmy

W Krakowie, gdzie pracowałem, ponad 97 tys. osób jest zatrudnionych w sektorze BPO/SSC, czyli delegowanych usług biznesowych (call centers, outsourcing, w tym IT, i księgowość). To ludzie dobrze wykształceni, a jednak stanowią biznesowy proletariatus (albo „digitarius”). Zwrot ten dobrze definiuje specyfikę pracy konsultanta bankowego, ściągniętego do prostej roboty, któremu na szkoleniach organizowanych w zamkniętych, ciasnych pokojach mówi się, że technik sprzedażowych nauczy się już „na produkcji”. Tam właśnie po raz pierwszy poczułem się jak taśmowy niebieski kołnierzyk w wersji bankowej, w marynarce z krawatem, siedzący w iluzorycznej strefie komfortu, czyli w wielkim biurze z dostępem do klimatyzacji (zagrzybiałej) i darmowej kawy.

Moja praca na słuchawce w banku równała się niemal codziennemu wysłuchiowaniu opowieści o czyjejs śmierci, o tym, że ktoś z rodziny właśnie walczy o życie na oddziale onkologii albo że nie weźmie kredytu, ponieważ niedawno zmarła mu córka i sam ledwo wiąże koniec z końcem. Dla „poprawienia” humoru tego samego dnia słyszałem, średnio przy co piątym połączeniu, że bym spier...ał – a w ogóle jak można pracować w takim miejscu i dzwonić po godz. 20 do klientów. Odbierałem też roszczeniowe telefony, np. od klientów, którzy nie mogą wypłacić gotówki z bankomatu, ponieważ słońce w ciągu dnia pada pod takim kątem, że nie widzą klawiatury.

Poza tym praca telemarketingowców to przede wszystkim monotonne wciskanie klawiszy ludziom po drugiej stronie słuchawki (po wcześniejszych neoliberalnych coachingowych naukach technik sprzedażowych), i to za najniższą krajową – do tego programy motywacyjne, skorelowane z liczbą sprzedanych pożyczek.



LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Nigdy ich nie zaznałem, ponieważ nie spełniłem 20 zmiennych wpływających na ocenę pracownika. Przypomniał mi się za to antropolog David Graeber, który pisząc w 2013 r. o pracownikach call centers stwierdził, że gdyby ich zabrakło w kapitalistycznej rzeczywistości, nic by się nie zmieniło, ponieważ taka praca jest bezużyteczna społecznie, generuje poczucie winy i bazuje na logice stosowania agresji i licznych manipulacji. Nic dziwnego, że pracę tę nazywa się *bullshit jobs*.

Robota synchroniczna

Na trzecim piętrze wielkiego bankowego open space'u poznałem absolwentów budownictwa, youtuberów, prawników, studentów (czasem z niepełnosprawnościami), ale też ludzi po zawodówce lub liceum. Właściwie wszyscy mieli problem z określeniem sensu przebywania w takim miejscu, jednak sytuacja życiowa zmusiła ich do udawania, że nadają się na dobrych sprzedawców. Niektórzy przyszli na chwilę, a zostali 8 lat, zgodnie z zasadą, że jak przetrwasz pierwsze trzy miesiące, to zostaniesz na długo. Inni nie wytrzymywali presji, w której każda ich minuta w pracy była idealnie zaprogramowana przez system i zautomatyzowana pod kątem jak największej liczby połączeń.

Byliśmy przedzieleni dźwiękoszczelnymi ściankami, które nic nie dawały – hałas był jak w galerii handlowej. Dzień pracy zaczynał się w zależności od działu, najczęściej o godz. 9, a biuro zamykano o 21. Mielśmy też nocne zmiany; grafik w banku dostawaliśmy z miesięcznym wyprzedzeniem. Były w nim dwie soboty w miesiącu, za które płacono normalną stawkę oraz dawano tzw. wybitki, pozwalające na odebranie sobie dwóch dni wolnego w ciągu kolejnego tygodnia roboczego. Tyle że to nie ty, ale korporacyjna maszyna losująca decydowała, które to będą dni.

Do moich obowiązków należały tzw. leady – rozmowy telefoniczne, po których można było sądzić, że klient weźmie pożyczkę. Z nich nasi nadzorcy wyciągali średnią – liczbę leadów na godzinę. Jak miałeś dobrą średnią, to lider nie brał cię na dywanik i „prywatny coaching”.

Premiowana była również optymalna obsługa skryptera, czyli dobre wykorzystanie czasu pomiędzy kolejnymi połączeniami. Musiałem wypełniać tabelki i jak najszybciej umawiać kolejne spotka-

nia. Miałem wrażenie, że wzorem byłoby, gdybym to wszystko robił synchronicznie. Kłopot w tym, że komputery były stare i regularnie się zawieszały, co wywoływało w nas frustrację. Na dodatek, pomimo pracy w tak trudnych warunkach, otrzymywaliśmy liczne reprimendy od znerwicowanych liderów lub kierowników, zwłaszcza jeśli notatki nie były wypełnione jak trzeba i odpowiednio szybko.

Do licznych frustracji można też dorzucić dewastujące psychikę poczucie wykonywania pracy o bardzo niskim prestiżu społecznym oraz świadomość, że przez 8 godzin znaczyłem dla pracodawcy tyle, ile zdołałem sprzedać kredytów. Ludzie odchodzili z mojego komfortowego open space'u do „gastro” lub Bolta, widząc w tym głębszy sens i szansę na wyższe zarobki.

W Polsce działa w sumie ponad 800 centrów obsługi, w których pracuje ok. 200 tysięcy młodych Polek i Polaków. W 2016 r. myślano nawet o wprowadzaniu w szkołach klas o profilu call center, tacy absolwenci mieliby kończyć szkołę z tytułem „technika marketingu bezpośredniego”. Na szczęście pomysł upadł tak szybko, jak został wniesiony do debaty publicznej przez Marcina Sosnowskiego z Polskiego Stowarzyszenia Marketingu SMB. Pomysł był mało przekonujący pod kątem rozwoju intelektualnego ucznia. Rola konsultanta sprowadza się przecież do kilku czynności, więc nie bardzo wiadomo, czego można byłoby się uczyć przez kilka lat. Może coraz sprawniejszego: „Dzień dobry, w czym mogę pomóc?”. W dobie niebezpiecznie szybko rozwijającej się sztucznej inteligencji, która kanibalizuje wciąż nowe sektory na rynku i spycha pracowników na margines, pomysł z dzisiejszej perspektywy wydaje się kompletnie przestrzelony.

Rumuńska socjolożka Elena Chiorean analizowała kilka lat temu pracę zatrudnionych „na słuchawce” i doszła do wniosku, że choć iluzorycznie reprezentują klasę średnią, to gdyby ocenić ich położenie w relacji do środków produkcji, nie różnią się wiele od robotników fabrycznych. Można dodać: robotnicy produkują coś konkretnego i namacalnego.

Brak pracy w miejscu pracy

Powinienem być przyzwyczajony do parametryzowania, przecież przez całe życie w szkole byłem oceniany. Ale praca na

słuchawce poprowadziła oceny w stronę kuriozum. Za branie chorobowego system bankowy dawał mi mniej punktów w ciągu miesiąca za tzw. wydajność. Punkciki te wpływały na comiesięczną ocenę pracownika. Jeśli się spóźniłem do pracy, choćby raz – dostawałem minusowe punkty. Trzeba było z tym uważać, żeby mieć szansę na premię sprzedażową.

Codziennie przed pracą ok. godz. 7 system bankowy losował mi stanowisko pracy, które zajmę danego dnia. Czasem jednak bywało tak, że nie miałem gdzie usiąść, patrzyłem na pracę konsultanta obok, obserwowałem, jak inni wypruwają sobie żyły, a sam pozostawałem beczynny, choć miałem do wyrobienia tzw. cel sprzedażowy. Jego realizacja decydowała, czy podpiszą ze mną kolejną umowę.

Stanowisk było za mało, a pracowników za dużo. Czasem na ponad 100 osób na sali, 20 nie miało gdzie siedzieć. Mielśmy wielu nowych ludzi z rekrutacji, ale niski prestiż operatora słuchawki sprawiał, że „żywołność” w tym zawodzie była krótka, a ludzie odchodzili nagle. Czasem oba wskaźniki się nie zgrywały i na sali tworzył się zator.

Psycholog Augustyn Bańka w swojej „Psychopatologii pracy” tak pisał o automatyzacji zawodów w XXI wieku: „Komputeryzacja intensyfikuje i wzbogaca wewnętrzną treść pracy jedynie w bezpośredniej styczności z komputerami, natomiast gdzie indziej doprowadza do drastycznego zubożenia czynności, czego wymownym symbolem jest »naciskanie guzika«”. I tak naciskałem ten guzik przez kolejne miesiące. Obserwowałem też, jak konsultanci, znudzeni powtarzaniem schematycznych komunikatów i w kółko tych samych zwrotów, popadali w manię szukania silnych bodźców na TikToku oraz w innych aplikacjach. Oglądanie reelsów czy shortsów było →



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Grzegorza Chlasty
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

→ idealnym pomysłem na aktywowanie ośrodka nagrody, dzięki wyładowaniom dopaminy generowanym przez oglądanie emocjonalnych filmików. Psycholożka dr Sheryl Ziegler nazwała TikToka „maszynką do mielenia mózgu”. Na słuchawce to była nasza jedyna ucieczka.

Awansować do roli lidera

Pierwszy etap rekrutacji to rozmowa kwalifikacyjna przez telefon z działem pracownika HR: typowe pytania i *small talk*. Według klucza: gdzie widzę siebie za kilka lat etc. Pani rekruterka obiecywała mi złote góry, czyli pracę w młodym i dynamicznym zespole oraz możliwość szybkiego rozwoju i awansu. Potem się dowiedziałem, że sama do biura nie przychodzi, pracuje wyłącznie zdalnie...

Następnie zostałem wprowadzony do świata kultury korporacyjnej podczas dwutygodniowych szkoleń prowadzonych przez osoby w moim wieku, czyli dwudziestoparolatków, którzy awansowali na stanowisko „buddiego” – czyli kumpla. To kategoria opisująca w hierarchii osobę będącą wyżej niż młodszy specjalista sprzedaży detalicznej, mającą za zadanie skracać dystans pomiędzy nowymi adeptami sztuki pożyczkowej i w międzyczasie szkolić ich z oferty promocyjnej oraz podstaw bankowego skryptu. W rzeczywistości taki „kumpel” to osoba, która rozmawia z tobą o życiu prywatnym, sam nie zna dobrze oferty, zabiera cię na fajkę, buduje relację, mówi o wypaleniu zawodowym lub że jest w trakcie terapii, ale na szczęście nie musi za nic płacić, bo bank daje darmową kartę medyczną.

Świeżymi pracownikami łatwo manipulować; najczęściej nie mają żadnego doświadczenia. Nie raz słyszałem od tzw. liderów – to z kolei kategoria osób mających ponad dwa lata doświadczenia w branży i będących o jedno oczko wyżej w hierarchii od „buddiego”, znających na pamięć i potrafiących w płynny sposób wyrecytować aktualną ofertę i historię banku – że: „głosem mogę z czarować klienta”. Albo: „trzeba być ciągle uśmiechniętym”, „nie odpuszczaj za pierwszym razem”.

Jednak ci „team liderzy” sami wydawali się przygnębieni obowiązkami, odsłuchiwaniami rozmów swoich podopiecznych czy schematycznymi technikami sprzedażowymi jak „reguła niedostępności” (tworzenie pozorów ekskluzywności oferty, by klient czuł się wyjątkowo) czy „metoda kanapki” (wplatanie niekorzystnych cech oferty w zestaw jej pozytywów). Byli wkurzeni, że przychodzą ludzie z przypadku, a oni muszą ich trenować, zatem brali pracę *online*, bo można było wtedy rzadziej konfrontować się z kierownikami, którzy od góry przykręcali śrubę.

Bank oferował oczywiście awanse i zmianę stanowisk. Mogłem zostać mistrzem w sprzedaży detalicznej, mogłem pracować na infolinii, w centrum obsługi kart kredytowych lub kredytów hipotecznych. Awans zależał od liczby sprzedanych pożyczek. Finalnie mogłem zostać nawet project managerem.

Jednak u mnie w dziale sprzedaży miałem na starcie niełatwe zadanie. Nowi nie byli równo traktowani, w wewnętrznym slangu mówiono na nas: „bejbiki”.

W pierwszym miesiącu pracy musiałem sprzedać per saldo kredytu na 100 tys. zł, czyli „wyrobić wolumen”. Jeśli tyle nie zrobisz w pierwszym miesiącu, to albo rezygnujesz z pracy, albo możesz spędzić całe życie sfrustrowany – na tzw. trzeciej linii sprzedażowej z najgorszymi „bazami”. Te „trójki sprzedażowe” otrzymywały bazę numerów ludzi z przypadku, których wyczuł algorytm, bo ktoś akurat wykonał przelew. Niestety, pracownicy z najniższego szczebla łańcucha „pożyczkowego” odbijali się od takich odściany.

Bezproduktywna słuchawka

Nieustanny wysiłek ludzi w zespołach, praca pod presją, rywalizacja o to, kto wciśnię klientom więcej pożyczek, ciągle porównywanie się z innymi. To wszystko generowała odgórnie polityka banku. Nagrody materialne, „złote” grafiki (bez weekendów w pracy), telewizory, wakacje pod gruszą. System norm sprzedażowych nakręcał wielu ludzi, a głównym tematem w kuchni było: ile dziś sprzedałeś kredytów. Tworzyła się nieformalna hierarchia pomiędzy ludźmi dopiero co zatrudnionymi lub osiągniętymi słabsze wyniki a starymi wyjadaczami. Konkursy mające za zadanie zachęcać ludzi do jak największej efektywności sprzedażowej generowały niezdrowe współzawodnictwo i mikroagresje, przy okazji zwiększając wzajemny poziom kontroli i nadzoru. Ludzie o większym stażu mieli żal, że sprzedawałem za mało i w ten sposób nie robiłem nic dla zespołu. Przy okazji sprawdzali mnie w komputerowym systemie: „Poszła ci w końcu sprzedaż w tym miesiącu?”. Pośrednio sugerowali, że nie nadawałem się do tej pracy. Bierną presję na maksymalną wydajność czułem ze strony koleżanek i kolegów, czynną zaś ze strony przełożonych.

Według danych OECD Polacy należą do najbardziej przepracowanych narodów w Europie, ale jednocześnie najmniej wydajnych. Ten problem dobrze odzwierciedla specyfikę zatrudnienia „na słuchawce”. Pracodawca w takich miejscach nie planuje inwestować w twój indywidualny rozwój, skoro wie, że prawdopodobnie i tak szybko z jego szklanego wieżowca znikniesz, a na twoje miejsce przyjdzie kolejna osoba.

Ja już w tej callcenterowej kwadraturze koła roli nie odegram.

© MATEUSZ MACIERAKOWSKI

Księdzu Adamowi Bonieckiemu

składamy wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

Siostry

Ś.†P.

Marii Dąbrowskiej z d. Fredro-Bonieckiej

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA I MIESIĘCZNIKA ZNAK

POŻEGNANIE

TOMASZ

Stawiszyński: Odrodzenie



„ODKĄD DOSTAŁEM DIAGNOZĘ, WSZYSTKO się zmieniło. Pojąłem, że to, co się ze mną działo, miało zupełnie inny sens, niż myślałem. Zaczynam nowe życie” – napisał na Facebooku pewien mój znajomy (to parafraza, a nie dokładny cytat, żeby nie dało się dotrzeć

do źródła). Dodajmy, że diagnoza, którą otrzymał, nie jest uznawana przez medycynę. Czy raczej: nie jest uznawana przez medycynę opartą na dowodach, lecz przez rozmaite tzw. medycyny alternatywne, którymi niekiedy, tak bywa, parają się również oficjalnie wykształceni lekarze.

Co i rusz czytamy w mediach społecznościowych, że ktoś narodził się na nowo. Wcześniej żył pogrążony w ciemności i rozproszeniu. W mgławicy niepokoju, lęków, trudności i strata – przekonany wszakże, że mu się żyje w miarę normalnie i zdrowo. Tymczasem płatanina symptomów, o których nie wiedział nawet, że są symptomami, zacieśniała się coraz bardziej. Zdawało się, że nie ma z tych wyników żadnej ucieczki, że nie ma ratunku. Jednak w pewnym momencie nastąpił zwrot, wielopoziomowa metanoia. Za sprawą – różnie – takiej czy innej diagnozy, najdoskonalszej diety, ezoterycznych warsztatów, wizyty u homeopaty, specja od „totalnej biologii” albo „programowania przeznaczenia”. Od tego punktu sprawy nagłe skreśliły w przeciwną stronę. Ciemność się rozświetliła. Gdzie był chaos, nastał kosmos. Byłem ślepy, a teraz widzę – zdaje się mówić ów ktoś – byłem martwy, lecz powróciłem do życia.

Żeby było jasne, w żadnym razie nie ironizuję, a nade wszystko – nie neguję realności tego doświadczenia. Nie mówię także o przypadkach ewidentnych. O ludziach, którzy wyszli z wieloletniego nałogu, dźwignęli się z paraliżującej depresji albo dowiedzieli się, że cierpią na jakąś uprzednio niezidentyfikowaną chorobę – co oczywiście wiąże się nierzadko z wielką (i zrozumiałą) ulgą. Chodzi mi o historie, w których czuć pewien – mniej lub bardziej subtelny – naddatek. O posty, które czasami po kilku lub kilkunastu miesiącach niepostrzeżenie znikają. O entuzjazm wygasający nieraz szybciej, aniżeli kaskada pojawiających się pod nimi komentarzy. Wreszcie – o pewną obecną we współczesnej kulturze opowieść, na którą nieustannie się natykamy, także w swoim własnym życiu. A może raczej o tęsknotę, dojmującą tęsknotę, na której ukojenie rynek, rzecz jasna, ochoczo dostarcza bezlik rzekomych sposobności.

Co to za tęsknota? Wydaje się, że najbardziej adekwatne jest tutaj właśnie pojęcie „odrodzenia”. Rozpoczynania na nowo, z siłami w pełni zregenerowanymi, od zera. Niczym po jakimś

resecie albo powrocie do punktu startowego – wraz ze stuprocentową kasacją tego, co było wcześniej.

W świecie, w którym, z jednej strony mamy z pozoru (podkreślam: z pozoru) nieskończone możliwości wyboru ścieżki życiowej, kariery, tożsamości czy partnera, z drugiej natomiast przyniata nas poczucie związanych z tym presji, fantazja rozpoczynania na nowo wydaje się szczególnie atrakcyjna. Nie sie ze sobą pokusę: możesz się cofnąć do tej cudownej chwili, kiedy jeszcze nie zamknęły się za tobą żadne drzwi, nie runęły jeszcze za tobą żadne mosty. Możesz zatem unieważnić fatalne skutki tych wszystkich wyborów prowadzących cię do miejsca, w którym przecież wcale nie chciałeś się znaleźć. I w którym nigdy byś nie pomyślał, że się znajdziesz.

Uwier mi – podszeptuje fantazja – nic nie jest nieodwołalne, żadna twoja księga na zawsze się nie zamknęła. Przeszłość – jak szczerze wierzył wielki Jay Gatsby, bohater wyjątkowo aktualnej powieści Scotta Fitzgeralda – da się przeżyć jeszcze raz. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby sięgnąć po alternatywną wersję losu. Ona wciąż gdzieś istnieje, wciąż więc da się ją jeszcze rozpostrzeć, a tamtą, już rozpostartą, zrolować i schować do piwnicy, gdzie od początku było jej miejsce.

Pobrzmiwa w tym jakiś znajomy ton, nieprawdaż? Powiedziałbym: nadzieja na (świeckie) odkupienie, (świeckie) rozgrzeszenie, (świeckie) odpuszczenie win. Bo przecież, skoro się rodzę na nowo, skoro zaczynam od początku, to także moje dotychczasowe grzechy – czyli te złe wybory: miłosne, zawodowe i inne – zostają definitywnie wymazane.

Jest to oczywiście ton stary jak sama ludzkość. Dziś – podobnie jak wiele innych pierwotnych potrzeb – doskonale zmonetyzowany. Wystarczy się rozejrzeć – w sieci i nie tylko. Na każdym kroku, na każdym rogu ktoś obiecuje odrodzenie. Ustawienia rodzinne, które niezawodnie wywołują nas spod bezwzględnej władzy strasznych klątw – do dziesięciu pokoleń wstecz. Wspomniana pseudodiagnostyka, wykrywająca mniemane syndromy, zespoły albo utajone choroby (o których medycyna twierdzi często, że ich wcale nie ma). Odczynianie traum, regulowanie deregulacji, harmonizowanie tego, co uporczywie nieharmonijne...

Nie da się ukryć, lista tych ofert jest tak długa, że spokojnie wypełniłaby cały numer „TP”. A każda zwiastuje nowy początek, absolicję, czystą kartę, otwarcie na przyszłość. Tyle że – oczywiście – po ich zastosowaniu i krótkotrwałej euforii szybko się zazwyczaj okazuje, że problemy wciąż się piętrzą, przeszłość pozostaje na swoim miejscu, a ciężar win nieodmiennie przytłacza. Co wtedy zrobić? W każdym razie – wytrzymać w kontinuum i nie zastosować kolejnej cudownej metody, dzięki której, tym razem już na pewno, będzie można wreszcie zacząć wszystko od nowa.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.



Rave w obronie budki z zapiekankami Lussi, Aleje Jerozolimskie, 9 marca 2024 r.

DZIEWUCHA

Otwarta, dynamiczna, aktywizująca – mówią teraz o Warszawie mieszkańcy. Jediną jej stałą cechą jest zmiana. To nigdy nie będzie miasto mieszczańskie, osiadłe, lecz tygiel.

BEATA CHOMĄTOWSKA Z WARSZAWY

MIJA DWADZIEŚCIA LAT OD MOJEJ PRZEPROWADZKI Z KRAKOWA do Warszawy. Pretekst dobry jak każdy inny, by przyjrzeć się, jak wygląda teraz największe polskie miasto (według oficjalnych statystyk 1,8-milionowe), które oglądałam przez ten czas jako mieszkanka, a czasem – przewodniczka, która pokazuje Warszawę przyjezdnym.

W warszawskich początkach (pierwsze mieszkanie na Mirowie, praca na Muranowie), prócz mapy towarzyszyły mi trzy świeżo wydane wówczas książki ze słowem „przewodnik” w nazwie: monografia „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście” Barbary Engelking i Jacka Leociaka, zbiór rozmów o Warszawie z warszawiakami „WAW. W poszukiwaniu centrum. Miejski przewodnik” oraz konwencjonalny bedeker „Warszawa i okolice” Adama

Dylewskiego. Kupiłam ze względu na zdanie otwierające książkę. Brzmiało: „Warszawa jest kobietą”.

Kto dyktuje warunki?

Taką personifikację narzuca nie tylko żeńska forma nazwy i symbol stolicy, jakim jest widniejąca w jej herbie syrena, lecz i demografia – na 100 mieszkańców przypada tu 117 mieszkańek. Jednak gdyby nadal trzymać się tego hasła, to z pewnością nie przez pryzmat rzekomo „typowych” dla kobiet cech, co sugerował dwadzieścia lat temu autor przewodnika. Warszawa jako kobieta miała być nieprzewidywalna, zmienna, chimeryczna w nastrojach, przyciągająca i odpychająca zarazem.

Sama ujęłabym rzecz inaczej: Warszawa, jaką poznawałam wtedy, była jeszcze niepewna własnej atrakcyjności, zer-

kająca co chwila do luster, sycąca się każdym komplemtem, zwłaszcza porównaniami z Berlinem, co z tego, że mało trafnymi. Pokutowała bowiem opinia o niej jako mieście zimnym i smutnym, odbudowanym w duchu stalinowskim. Niegościnnym, przejezdnym i anonimowym. Oceniano ją bezlitośnie, a punktem odniesienia do tych ocen, bagatelizujących historyczne uwarunkowania, były miasta piękne klasyczną urodą, pozbawione kompleksów.

Dzisiejsza Warszawa-kobieta to taka, która czuje się pewnie, świadoma, że daleko jej do stereotypowo pojmowanej kobiecości. Okrzepla, wie, czego chce, na nowo dyktuje warunki. Od tamtego czasu nauczyła się czerpać siłę z braków i stworzyła własne mity, utrwalając je w powszechnej świadomości: miasto zgruzowstałe, miasto dwóch powstań, miasto nieoczywiste, najlepsze miasto świata.

Pomagała jej w tym przede wszystkim kultura, zarówno oddolna, jak i oficjalna. To za sprawą artystów nowe pokolenia przybyszy zapalały wolą i ochotą do swoistej warszawskiej archeologii, rozkodowywania znaczeń wpisanych w chaotyczne na pozór warstwy budynków i ulic. Zachęcano do tego oddolnie, spontanicznie, prowokując i zarazem dowartościowując miasto poprzez grę z tymi elementami miejskiego krajobrazu, które uchodziły za nieciekawe, a wręcz niechciane.

Nowo otwierane instytucje kulturalne odwoływały się do tożsamości stolicy, opartej w dużej mierze na wciąż obecnych w niej śladach II wojny światowej – podziurawionych kulami murach kamienic, wszechobecnych tablicach pamiątkowych sygnalizujących miejsca straceń, pojedynczych pogettowych ostańcach, ale nawet całej modernistycznej siatce ulic nałożonej na starą, zniszczoną tkanę.

W Muzeum Powstania Warszawskiego nawet sceptycy nie nastawieni do decyzji AK-owskich dowódców robili sobie zdjęcia pod Liberatorem; niedługo potem zaczęło działać Muzeum Polin. Fascynacja trudną historią przełożyła się z kolei na odkrywanie międzywojnia i modernizmu jako klucza do chaotycznej urbanistyki współczesnej Warszawy.

Przy okazji oswoić dał się nawet socrealizm wraz ze swym najefektowniejszym ucieleśnieniem, Pałacem Kultury i Nauki, długo budzącym kontrowersje.

Zdaniem samych mieszkańców, Warszawę odróżnia od innych miast połączenie zainteresowania przeszłością z otwarciem się na przyszłość. Dominująca w pierwszej dekadzie XXI wieku opowieść o wojennej apokalipsie, odmierzana obchodami kolejnych rocznic, schodzi już stopniowo na dalszy plan, być może też wskutek zmęczenia nadreprezentacją tych wątków w oficjalnym wydaniu za czasów poprzedniego rządu.

Ta pamięć musiała skonfrontować się z wojną za wschodnią granicą, choć tłumy uchodźców z Ukrainy na warszawskich dworcach przywołały znów dobrze znane obrazy z historii. Za to etos racjonalnej odbudowy trzyma się mocno, nawet w kontekście rosyjskiej agresji zyskał nowy wymiar. Daje nadzieję na przyszłość mieszkańcom z ukraińskim paszportem.

Co ciekawe, warszawiacy rozróżniają dziś trzy różne centra: funkcjonalne (Śródmieście), społeczno-rozrywkowe (Pałac Kultury i Nauki oraz „patelnia” – plac przed wejściem na

stację metra Centrum) oraz symboliczne (Starówka). Pałac, wygrywający dziś w konkursach na symbol miasta, obrósł patyną i na tle otaczających go wieżowców zdaje się nobliwym zabytkiem, muzeum historii powojennej Polski. Otaczający go Plac Defilad, który mógłby posłużyć za studyjny przykład największych warszawskich wyzwań, też zmienia się, zielenieje. Na pierwszy plan w tym umownym centrum, którego tak naprawdę stolica wciąż nie ma, wysuwa się zaś już nie „Pekin”, a nowa siedziba Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Funkcje niby podobne, a jednak znaczące przesunięcie akcentów w przestrzeni i świadomości.

Aspiracje i ambicje

Najlepszą ilustracją drogi, jaką przeszła Warszawa przez ostatnie dwie dekady, jest Dworzec Centralny. Kto pamięta, jak jeszcze niedawno w jego podziemiach można było kupić nielegalnie mięso, zaś warszawiacy z wyboru żartowali, że gdy już nie przeszkadza ci smród Centralnego i nie gubisz się w jego czeluściach, stałeś się warszawiakiem prawdziwym?

Jeśli bramą do miasta są dworce, odpowiedzialne za pierwsze wrażenie, tu zmianę widać najwyraźniej. Za moment, po czterech latach budowy, rolę najnowocześniejszego dworca w Polsce przejmie nowy Zachodni, z wyglądu krewny przestronnych lotniczych terminali, zacierając niechlubne wspomnienie poprzednika i jego ciasnoty, podziemnych przejść budzących klaustrofobię i smaganych wiatrem peronów.

Za Centralnym czy Zachodnim z przeszłości trudno tęsknić, ale tamta pierwsza dekada XXI wieku budzi sentyment. Miasto, na którego wizerunku w pierwszych latach po transformacji ciążyło zrazu niechętnie wyobrażenie o pieszczoszku władz i siedzibie PRL-owskiej burżuazji, strząsało z siebie własnie kolejne, nośne medialnie wcielenie centrum szybkich karier i pieniędzy, jakim stało się wówczas, na fali marzeń o stolicy polskiego kapitalizmu.

Okazuje się, że to był świetny czas, szczególnie jeśli było się świeżo przyjezdnym, miało po 20-40 lat i naturę eksploratora. Wokół aż buzowało, co rusz otwierano jakieś nowe, alternatywne miejsce (bogactwo ówczesnej warszawskiej sceny klubowej przypomina wystawę „Euforia” w Muzeum Woli). Przybywało też nieodłącznie związanych z miejskim życiem przyczółków w postaci klubokawiarni, barów, sklepów i restauracji, odbierając pod tym względem krakusom pretekst do prawienia Warszawie złośliwości. Bywało dziko, chaotycznie, po omacku, ale tkwiły w tym entuzjazm i gorliwość. Stąd może tak częste i wyświechtane odwołania do berlińskiej rzeczywistości tuż po upadku muru.

Teraz dochodzi do przesunięcia akcentów. Jest bardziej estetycznie, miejscami nawet światowo, podobnie jak w innych stolicach, które upodabniają się do siebie szybciej w czasach globalnych przepływów. O niebo dogodniej dla rowerzystów, którzy zyskali kilometry nowych ścieżek, i coraz przyjaźniej dla pieszych, choć z początku internet rozgrzewał się do czerwoności po każdym tekście postulującym ograniczenie ruchu samochodowego czy dostosowanie ulic do potrzeb słabszych użytkowników. Doszła druga linia metra, a rozbudowana sieć stołecznej komunikacji działa bez większych zarzutów, co zauważają sami mieszkańcy w badaniach.

→

Pęd za elegancją, porządkiem, nowoczesnością, a nawet normalnością w wydaniu zachodnioeuropejskim sprawił też, że znikają miejsca uważane za mało reprezentacyjne, bałaganiarskie, postrzegane jako wstydlive, choć jakoś dla Warszawy, rozpiętej między Zachodem i Wschodem, charakterystyczne: zakamarki, nieużytki, knajpy na każdą kieszeń, targowiska, warsztaty, a nawet tradycyjne księgarnie.

Przykładem może być „Szlak Orlich Gniazd”, czyli barów piwnych nad Wisłą, zastąpionych modniejszymi lokalami. Zdążyło też zniknąć trochę modernistycznych zabytków, nim powszechnie uznano ich wartość. Połacie ziemi niczyjej, dzikie chaszcze, pawilony i nieużytki ustępują miejsca placom budowy i starannie zaprojektowanym łąkom kwietnym.

Powisłe, które miało ambicje bycia warszawską dzielnicą uniwersytecką i enklawą, zmienia się częściowo w odgrozione bastiony nowej deweloperki, stawiane ciasno, byle z widokiem na Wisłę. Ci, których stać na czynsz tutaj, niekoniecznie poszukują kaletnika czy magla.

A już kompletne czary-mary odchodzą na Woli, w części nazywanej Dzikim Zachodem, gdzie całkiem niedawno przecież można było jeszcze odnaleźć miejsca akcji „Złego” Tyrmanda. Ostańce i fabryczki znikają wśród szklanych wieżowców i bloków-gigantów w stylu azjatyckim, mieszczących biura i mikrokawalerki na wynajem, sieciowych supermarketów i barów.

W 2007 r. cena metra kwadratowego mieszkania w Śródmieściu wynosiła 7-9 tysięcy złotych za metr, dziś w niektórych rejonach centrum jest już trzykrotnie wyższa. Na rynku wtórnym bariera 18 tys. zł za metr pękła już kilka lat temu. Widać coraz więcej osób w krzysie bezdomności, mieszkających w parkach, przenoszących swój dobytek z miejsca na miejsce, śpiących na kartonach.

Miasto rozlewa się coraz bardziej na peryferia, usługi drożę, coraz dłuższe stają się kolejki do służby zdrowia, przedszkoli, a nawet restauracji w weekendy. Niektórzy nie wytrzymują tempa tych zmian i przenoszą się, choćby do Łodzi, z której dojazd koleją zajmuje mniej więcej tyle samo, co z duszących się w korkach i smogu niektórych warszawskich przedmieść.

Niespodzianki i niekonsekwencje

Otwarta, dynamiczna, aktywizująca – mówią teraz o Warszawie sami mieszkańcy (w badaniach zrealizowanych przed dziesięciu laty przez stołeczny ratusz i Muzeum Warszawy). Jedyną stałą cechą Warszawy jest zmiana – powtarzali rozmówcy przewodnika „WAW. W poszukiwaniu centrum”. To nie jest i nigdy nie będzie miasto mieszczańskie, osiadłe, lecz tygiel. Mieszą się różne zwyczaje, wzorce i języki, dlatego medialnie chwytliwy obraz stolicy jako pola walki między „warszawiakami” a „słóikami” nigdy nie będzie prawdziwy, co też potwierdzają badania. Zwłaszcza że pojęcia takie jak „moje miasto” we współczesnym świecie straciły na

Pęd za elegancją i nowoczesnością sprawił, że znikają miejsca uważane za mało reprezentacyjne, bałaganiarskie. Ale dla Warszawy to one są charakterystyczne:

zakamarki, nieużytki, targowiska i knajpy na każdą kieszeń.

znaczeniu, ziałała plemienność, szczególnie w klasie społecznej, która decyduje o wizerunku stolicy. Mogą mieszkać w kilku miejscach naraz, przemieszczać się nieustannie, brać dla siebie trochę z tego, trochę z tamtego.

Różnorodna, otwarta, liberalna – cechy typowe dla większości europejskich stolic. Tuż po transformacji najczęściej przywoływanymi w tym kontekście przykładami były targowisko na

Stadionie Dziesięciolecia i osiedle Za Żelazną Bramą, zdominowane przez wietnamską społeczność. Dziś w tym tyglu coraz częściej słyhać języki ukraiński i białoruski, a wśród Azjatów widać przybyszów z Indii, Bangladeszu, Bliskiego Wschodu.

Nie ma też jednej Warszawy, każdy widzi ją i doświadcza po swojemu, zależnie od wieku, płci, stażu zamieszkania, społecznego statusu, wykonywanego zajęcia, trybu życia, dzielnicy, a nawet sposobu poruszania się – by wymienić tylko kilka najbardziej oczywistych czynników. Perspektywa kogoś takiego jak ja – osoby bezdzietnej, wolnego zawodu, która całe warszawskie życie spędziła w różnych częściach Śródmieścia i bez prawa jazdy – może mieć tylko trochę wspólnego z miastem oglądanym z perspektywy pracownika kancelarii prawnej, rodziny z szeregowca na Tarchominie, zasiedziały mieszkanców praskich kamienic, lokatorów mieszkań komunalnych na zasiłku czy studenta wynajmującego kawalerkę w Ursusie.

Nieoczywista, zaskakująca na każdym kroku, pełna kontrastów – to inne powtarzające się od lat przymiotniki określające Warszawę. Charakterna z niej dziewczucha, jak bohaterki opowiadań Sylwii Chutnik. To też przyciągnęło mnie do niej przed laty. I nadal nie wyobrażam sobie w Polsce lepszego miejsca dla siebie niż stolica. Zgodni pod tym względem są zarówno mieszkańcy Białołęki, peryferyjnej i kiepsko skomunikowanej z centrum dzielnicy uchodzącej za sypialnię dla nowo przybyłych, których nie stać na lokum w lepszej lokalizacji; jak i ci z Woli, małej ojczyzny pierwszej fali migrantów, przybyłych do stolicy w latach 50. XX w., i postrzeganej jako bardziej zasiedziała, choć z robotniczej przeobraża się z wolna w dzielnicę nowego przemysłu. Związek z Warszawą nie jest już czymś, czego można się wstydzić.

Charakterność Warszawy i przywiązanie do niej najbardziej widać w poszczególnych dzielnicach, a nawet w poszczególnych kwartałach, bo w mieście bez wyraźnego centrum lokalność to słowo klucz. Miejską tożsamość definiuje związek z najbliższym otoczeniem – najczęściej osiedlem lub dzielnicą.

Niewykluczone więc, że pozytywny odbiór okolicy, którą po przeprowadzce do Warszawy wybrało się jako miejsce do życia, zmiekcza perspektywę spojrzenia na miasto jako całość. Choć sporo też w tych wynikach niekonsekwencji: według Barometru Warszawskiego od paru lat sukcesywnie maleje zainteresowanie bieżącymi sprawami miasta. A przecież nowe ruchy miejskie, oddolne inicjatywy, które eksplo-



Zachód słońca nad centrum Warszawy, sierpień 2024 r.

dowały dekadę temu w całej Polsce, najbardziej widoczne były właśnie w stolicy.

Mieszkańcy i mieszkanki nauczyli się brać sprawy we własne ręce, pokazując urzędnikom, co jest dla nich najważniejsze, choćby poprzez spektakularną obronę osiedla Jazdów przed zabudową. Dzięki temu turyści z zachodnioeuropejskich stolic odwiedzający Warszawę nie kryją podziwu, że udało się ocalić wart miliony złotych teren w reprezentacyjnej części Śródmieścia jako enklawę drewnianych fińskich domków otoczonych zielenią.

Gra w zielone

Oprowadzając po Warszawie gości, zamiast pokazywać im budynki i place, teraz ciągnę ich w chaszcze i powtarzam za Haliną Skibniewską, że Skarpa Warszawska, a ściślej jej zielone zbocza o historii sięgającej dawnych epok, chronione przed zabudową, to najlepsze, co się przydarzyło miastu po wojnie i fenomen na skalę europejską.

Pokazuję im Jazdów, rozległe warszawskie parki, tworzące plan klinów napowietrzających, dzikie plaże po praskiej stronie Wisły i jej naturalny krajobraz w samym środku miasta, budzący zazdrość w przybyszach, świadomych, jaka to wartość w dobie kryzysu klimatycznego, gdy inne stolicy wydają teraz miliony na przywrócenie wcześniejszego stanu pochopnie ucywilizowanych rzek. Chwałę podejmowane coraz częściej pod naciskiem społecznym wysiłki urzędników, by na nowo zazielenić warszawskie ulice i stopniowo przywracać licznym parkingom w centrum ich pierwotną, niemal niewidoczną już funkcję – placów.

„Uważam, że zieloność jest wręcz warszawską cechą charakterystyczną” – mówił w przewodniku „WAW. W poszukiwaniu centrum” architekt Marek Budzyński, przestrzegając przed pochopną zabudową pustych terenów. Jego diagnoza to hołd dla mądrości biologów współpracujących z Biurem Odbudowy Stolicy, którzy obserwowali roślinność radzącą sobie w wojennych warunkach, by zastosować później pozyskaną wiedzę w praktyce.

Alina Scholtz i małżeństwo Kobendzów to najbardziej rozpoznawalni przedstawiciele tamtej ich generacji, traktującej przyrodę jako rzecz w mieście nadrzędną, o której ciągłość warto dbać, chroniąc przed wycinką nawet stare drzewa i wykorzystując zieleni również w warstwie symbolicznej. Powszechnie stosowali terenoplastykę, czyli modelowanie krajobrazu powojennym rumoszem i upierali się, że 40 procent powojennych osiedli ma stanowić zieleni. Pandemia i kryzys klimatyczny pokazują, jak bardzo mieli rację.

Zieleni, spokój i historia – tak dwie dekady temu identyfikowali najważniejsze dla siebie wartości mieszkańcy Muranowa, warszawskiego osiedla-pomnika wzniesionego na gruzach śródmiejskiej Dzielnicy Północnej. Zaś autorzy pierwszego przewodnika po tym terenie, Barbara Engelking i Jacek Leociak, wskazywali, że „mocne gettowe korzenie pamięci” tkwią „pod obrosniętymi trawą skarpami usypanymi z gruzów, pod wyjątkowo w tej dzielnicy wybujałymi topolami, lipami, klonami”.

Tę prawdę można odnieść do całej stolicy. Oby grała w zielone jak najdłużej.

© BEATA CHOMĄTOWSKA



WIARA

SPOWIEDŹ

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI, DOMINIKANIN:

Wybierałem tak, jak umiałem. Porwało mnie duszpasterstwo.
Niczego w swoim życiu, prócz grzechów, nie żałuję.

ARTUR SPORNIAK: Gdzie Ojciec jest teraz?

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP: Walczę z PO-CHP, czyli z przewlekłą obturacyjną chorobą płuc. Moją opiekunką, której wiele zawdzięczam, jest pani prof. Barbara Mackiewicz. Już kilka razy przychodziły kryzysy. Trafiałem do szpitala. Z przyjaciółmi zacząłem szukać miejsca, które przyniosłoby pewną stabilizację ze względu na dostępność fachowej pomocy. Wojtek Samoliński znalazł ten dom – DPS „Betania”. Jest mi tu bardzo dobrze. Rano jest gimnastyka i inne zabiegi. Dwa razy w tygodniu przychodzi lekarz. Zawsze jest dostępna pielęgniarka. I panuje tu wręcz rodzinna atmosfera. Gdy niedawno wróciłem ze szpitala, jak oni mnie serdecznie witali! Na stare lata otrzymałem podarek. Spotkało mnie dobro.

Czy Ojciec odprawia msze w tutejszej kaplicy?

W dni powszednie w swoim pokoju, bo trudno mi schodzić do kaplicy. Tylko w niedzielę uczestniczę w koncelebrze mszy odprawianej przez kapelana.

Klasztor lubelski nie bardzo nadawał się już do życia?

Wiesz, to takie dziwne miejsce, w którym żeby zejść do refektarza na posiłek, trzeba pokonać 53 schody. Ponadto tutaj mam lecznicze zabiegi, które są mi obecnie niezbędne. Ale bracia mnie odwiedzają – zwłaszcza nowy przeor Arnold Pawlina.

A gdzie Ojciec jest w swoim życiu?

Końcówka. Na przykład dzisiaj rano miałem bardzo kiepski czas – nie mogłem się pozbierać. Myślałem, że to znowu kryzys. Bo to jest tak, że jestem, jestem, jestem i któregoś dnia wali mnie: nie mogę oddychać, umieram i nie ma innego wyjścia, tylko jechać do szpitala. Tak już było kilka razy. Ile to jeszcze będzie trwało? Nie wiem. Przychodzi różni ludzie i mówią: „Ojciec świetnie wygląda”. Ja odpowiadam, że na szczęście przytomność zachowuję. Ale jak to będzie dalej? Zobaczymy.

A gdy Ojciec patrzy na swoje życie z perspektywy 88 lat, czy chciałby Ojciec coś w nim zmienić?

Nic! Wybierałem tak, jak umiałem. Ufam, że zawsze zgodnie z moim sumieniem. Gdyby okoliczności były inne, to pewnie moje wybory byłyby także inne. Miałem robić doktorat i zajmować się nauką. Ale porwało mnie duszpasterstwo. Niczego w swoim życiu, prócz grzechów, nie żałuję.

Czy Ojciec jest zadowolony ze swojego życia?

Nie całkiem. Wiele razy okazywałem się po prostu głupi. Moi współbracia i także uczestnicy duszpasterstwa akademickiego doznawali ode mnie przykrości.

A czy czegoś Ojciec żałuje?

Wielu rzeczy. Trudno o tym wszystkim powiedzieć. Ale choć o jednym wspomnę: kiedy dostrzegłem nieprawidłowości w Kościele i pisałem na ich temat, nie wybierałem się do biskupów na

rozmowę. W tamtych dniach uważałem, że jestem zbyt mały, aby napominać hierarchów, ale dzisiaj wiem, że chrześcijanin powinien być odważny, licząc na pomoc Jezusa.

A jak było z Ojca powołaniem?

Wiesz, przez całe życie miałem świadomość, że jestem prowadzony. To dotyczy i tego, co w życiu robiłem, i też tego, co pisałem. Ja to jakby z musu robiłem. Męczyłem się, żeby to jakoś wyszło, ale miałem przekonanie, że „zadanie” jest mi dane. Teraz na stare lata ludzie mi dziękują, a mnie jest aż trudno słuchać tych podziękowań. Prawie od dziecka wiedziałem, że będę księdzem, ale nikomu o tym nie mówiłem. Miałem szesnaście lat, gdy trafiłem do nowicjatu dominikanów. W okresie komunizmu przyjmowali do zakonu po dziewiętej klasie.

Nie każdy ma dar pocucia bycia prowadzonym. Skąd to się wie?

Zwyczajnie. Człowiek wie, co ma robić, i wie, że tego nie wymyślił. Nie wszystko, co czyniłem, podobało się niektórym moim braciom w zakonie, ale trudno. Wiedziałem, że nie powinienem dezerterować.

Na przykład zaangażowanie Ojca w duszpasterstwo ówczesnej opozycji politycznej.

Tak. Nigdy nie prowadziłem działalności ściśle politycznej, ale wiedziałem, że mam być przy tych, którzy taką działalność prowadzą. I to niezależnie od tego, jak to inni oceniają.



→ Takie prorockie powołanie.

Ojciec się uważa za proroka?

Wolne żarty. To ty tak mnie nazwałeś w recenzji mojej książki – ku memu zawstydyleniu.

A w jakim miejscu jest Ojciec w swojej wierze?

Od czasu do czasu przeżywam ciemność – nic nie wiem i nic nie rozumiem. Takie przeżycie dopadło mnie na szpitalnym łóżku. Jak się było dzieckiem, a potem młodym człowiekiem, to przyjmowało się katechezę i wszystko było jasne – czy wydarzenia biblijne, czy sakramenty. Ale przychodzi taki czas, że człowiek czyta tekst – np. św. Pawła – i zastanawia się: skąd on to wszystko wiedział? Bywa, że zauważa się sprzeczności w Piśmie Świętym. Stawia sobie człowiek pytanie: czym kierowali się biskupi na pierwszych soborach, gdy ustalali Credo? Ale to wszystko nie niweczy blasku bijącego od Jezusa, więc ostatecznie mówię: wierzę, choć przez cały czas szukam światła.

Czy te wątpliwości dotyczą też istnienia Boga?

Przecież nigdy nie widziałem Boga wprost. Dlatego pragnienie zobaczenia Go związane jest z pytaniem: a gdybym Go nie zobaczył? Czy jest to wątpliwość? Chyba nie. Ale ja karmię się Ewangelią, rozumem i tym, czego doświadczyłem we własnym życiu. Po pierwsze, nie ma żadnego powodu, abym odrzucił to, co przekazują ewangelisci. Po drugie: gdyby Boga nie było, to cały świat i wszystko byłoby absurdem. I po trzecie: w swoim życiu miałem takie momenty, kiedy patrzyłem na piękny świat tak, że niemal widziałem twarz Boga. Kto mi da coś więcej, czemu warto służyć?

A takie pytania: dlaczego Bóg nie reaguje na bezsensowne cierpienie np. dzieci? – nie budzą Ojca wątpliwości?

To są najtrudniejsze chwile, kiedy dostrzegam bezsensowne cierpienie – dzieci, żołnierzy... Ja sobie odpowiadam, że ci, którzy na ziemi nie doznali radości, u Pana Boga tę radość otrzymają. Natomiast nie lubię, gdy różni teologowie-znawcy mówią, jak w szczegółach będzie wyglądać niebo. Wydaje mi się, że o sprawach przyszłego życia trzeba bardzo oszczędnie mówić. Nie trzeba się mą-

drzyć. Jedną z średniowiecznych legend mówi, że tam będzie *totaliter aliter* – całkowicie inaczej!

Czegoś jednak musimy się trzymać.

Niedawno dotarły do mnie słowa św. Jana: „Kto kocha, widzi Boga”. Stały się one dla mnie otwarciem drzwi do Pana Boga. W nich nie chodzi o uczucie miłości, ale o miłość, która jest ofiarowaniem siebie, wszystkiego, co mam, drugiej osobie – dać życie, to znaczy kochać. Przez wiele lat byłem duszpasterzem akademickim i to, czego moich młodych przyjaciół chciałem nauczyć, to kochać. Kto naprawdę kocha, to – często nie zdając sobie sprawy – widzi Boga.

Prowadziłem pogrzeby także ateuszów, bo dla mnie istotną sprawą było to, czy to był dobry człowiek, który dbał o innych.

Można zmusić się do kochania?

To nie chodzi o mus! Kochanie jest rzeczą naturalną. Chodzi o słuzenie drugiemu. Ono może być trudne, gdy znajdziemy się w jakichś trudnych sytuacjach. Ja mam poczucie, że służyłem ludziom, ale czy zawsze zrobiłem to, co należało zrobić, tego nie wiem. Natomiast wiem, że ważną rzeczą jest powiedzieć drugiemu człowiekowi: „kocham cię”.

Po wyborach nastąpiła polityczna zmiana. Gdzie jesteście jako społeczeństwo?

Porozbijane zostały fundamenty państwa. Zapanował chaos i nieład. Trzeba zabrać się do rzetelnej naprawy. Niepokoi mnie postawa: trzeba najpierw „wyrąbać zło”, ukarać winnych, urwać łeb Hydrze. Jeśli to uczynimy, później będziemy potrafili zbudować kraj ludzi żyjących w braterstwie – bez nienawiści i niesprawiedliwości. Inaczej się nie da!

A ja myślę, że taka postawa to są manowce. Od lat, jeśli tylko mam okazję, powtarzam, że niczego dobrego nie zbudujemy bez szacunku dla drugiego człowieka, nawet przestępcy. Bez zaufania, którym powinniśmy obdarzyć rozmówcę, także naszego przeciwnika. I bez rozmowy, a nie pokrzykiwania. Od tego trzeba zacząć. Przyjdzie czas na ukaranie winnych, ale nie może to być odwet, bo odwet pogłębia niesprawiedliwość. Ucieczka od rozmowy jest katastrofą.

Jednak w czasach PiS na taką skalę i tak bezwstydnie łamano prawo, że ze sprawiedliwą karą nie można czekać. Nie da się budować ładu, zawieszając sprawiedliwość. Poza tym z czasem coraz trudniej będzie ją wymierzyć.

Oczywiście, że trzeba to próbować naprawiać. Tylko z szacunkiem dla człowieka i dla sprawiedliwości. Czym jest sąd, nauczył mnie wspaniały adwokat Władysław Siła-Nowicki. Uczestniczyłem w kilku rozprawach sądowych, w których mecenas bronił opozycjonistów. Sędzia i prokurator zachowywali się jak pajace, a Siła-Nowicki wstawał i mówił: „Wielce szanowny panie prokuratorze...”. Siła-Nowicki uważał, że nawet w PRL sąd należy traktować jak świątynię sprawiedliwości. A dzisiaj nie trzeba zawieszać sprawiedliwości – przeciwnie, trzeba sądzić i wymierzać karę w takim klimacie szacunku do sprawiedliwości, jaki próbował w tamtych ciemnych czasach tworzyć Siła-Nowicki. A czy trzeba się spieszyć? A może „co nagle, to po diable”?

Martwi Ojca wojna o religię w szkole?

Po ostatnim politycznym przełomie jest mnóstwo problemów do rozwiązania, ale najważniejszym, według mnie, jest problem szkoły i katechezy w szkole. Donald Tusk zdecydował, że ministrem szkolnictwa będzie lewicowy polityk, Barbara Nowacka. Pomyślałem sobie: może to i dobrze, wokół religii w szkole narosło tyle problemów, i nikt dotąd nie zdobył się na „przeoranie” tych problemów, że, gdyby ministrem szkolnictwa został człowiek Kościoła, to byłoby mu trudno działać. Wcześniej powiedziałem, że w trudnych sytuacjach potrzebna jest rozmowa prowadzona z szacunkiem i zaufaniem. Czy na taką rozmowę zdobyła się Barbara Nowacka, a z drugiej strony biskupi? Czy rozmówcy obdarzyli się wzajemnym zaufaniem? Czy byli lojalni? Czy chodzi im o dobro młodzieży, szkoły i Polski, a nie partii, a nawet nie Kościoła? Jest chyba po prostu źle, skoro doszło do publicznej „wojny”.

A jakie Ojciec widzi rozwiązanie?

Nie mogę mówić o konkretach, bo nie mam wystarczającej w tym zakresie wiedzy. Chciałbym, aby episkopat zdecydo-

wał – co od lat postuluje ks. prof. Andrzej Kobyliński – czy szkolna religia ma być religią, czy katechezą. W ciągu ostatnich lat na temat katechezy i religijnego wychowania – ukazując braki i postulując rzetelną debatę – zabierali głos kompetentni i związani z Kościołem myśliciele. Chciałbym, aby takie głosy były wysłuchiwanie. Ja sam wielokrotnie postulo- wałem, aby w szkołach średnich wpro- wadzić religioznawstwo – obowiązkowe i uwidocznione na świadectwach. Dzisiaj świat stoi dla wszystkich otworem i zna- jomość kultury oraz religii różnych naro- dów jest niezbędna. Zresztą, na tle innych religii chrześcijaństwo nabiera blasku. Słysząc głosy, że nowe porządki zniszczą chrześcijaństwo, Kościół i chrześcijańskie wartości. Przypomnę, że Kościół zniszczy- liśmy sami. Mało tego, słyszę, że episko- pat oddał do rozstrzygnięcia problem reli- gii w szkole sądowym instancjom niecie- szącym się w społeczeństwie pełną wiary- godnością. Wstyd mi.

Napisał Ojciec do nas, że „Tygodnik” jest dla Ojca „jak brat, nauczyciel, mistrz, przyjaciel”.

Bo to prawda. Zwłaszcza ks. Adam Bo- niecki jest dla mnie kimś bardzo waż- nym. Dzięki niemu w Kościele polskim wydarzyło się wiele dobra. Niedawno obchodził 90. urodziny. Ja mam 88 lat. W ostatnich latach moje relacje z „Tygo- dnikiem” były zamrożone. Wiedziałem, że muszę powrócić. Chwilami bałem się, że może nie zdązę.

Poszło o Strajk Kobiet. Na początku listopada 2020 r. wydrukował Ojciec na naszych łamach odważną analizę

błędów, jakie popełnił w tej sprawie Kościół. Po kilkunastu dniach otrzymaliśmy drugi tekst, w którym Ojciec pouczał organizatorki.

To, co Arturze powiedziałeś, jest wa- szym widzeniem. Moje jest inne. Drugi tekst, o którym mowa, nie jest tekstem o Strajku Kobiet, ani powtórką pierw- szego. Można to sprawdzić, bo był wy- drukowany w „Plusie Minusie”. W żaden tekst w życiu nie włożyłem tyle serca. To miało być pełne powiedzenie, czym jest aborcja. Pisałem go jako testament mego życia. Może to jest śmieszne, ale to jest prawda. Tymczasem „Tygodnik”, który mnie wielokrotnie wychwalał, który jest moim bratem i przyjacielem, nie zdobył się na propozycję, abym to czy owo popra- wił, ale po prostu artykuł odrzucił. Było w tej mojej decyzji trochę także zasko- czenia, jakie przeżyłem, kiedy na okładce wydrukowaliście zniekształconą postać o. Rydzyka i tekst, jakoby tytuł mego ar- tykułu: „Kto niszczy Kościół?”.

Byliśmy pewni, że ten tytuł oddawał Ojca intencje. A jaki Ojciec ma teraz pogląd na sprawę aborcji i sytuację kobiet?

Temat aborcji jest tak splątany z uprze- dzeniami, że się właściwie nie da spokoj- nie o nim rozmawiać. W całym moim życiu jest on obecny, ale też w całym ży- ciu jest ściana i nie ma zrozumienia. Sen- sowne rozwiązanie problemu aborcji to sensowny program ochrony nienarodzo- nych wraz z pomocą rodzinom borykają- cym się z trudnościami. Tymczasem de- бата dotyczy przede wszystkim zapisu prawnego, kiedy dopuszczalne jest prze- rwanie ciąży. Daliśmy się omotać jedno-

stronną wizją – myślenie o ochronie nie- narodzonych zostało zredukowane do sprawy prawa do aborcji do 12. tygodnia. Człowiek ma prawo do grzechu. Państwo nie może zakwestionować tego prawa, ma natomiast obowiązek stworzyć za- bezpieczenia tak, aby grzech nie znisz- czył społecznego ładu. Osobiście nama- wiałbym premiera Tuska i wicepremiera Kosiniaka-Kamysza do zawarcia w spo- rze o aborcję kompromisu: premier obie- cuje zorganizować i prawnie usankcjono- wać całociową pomoc nienarodzonym i rodzinom z kłopotami, a wicepremier ustępuje z blokowania znanej propozy- cji w sprawie dostępu do aborcji. Powiem na koniec: ludzie „bezkompromisowi” są nieszczęściem.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI (ur. 1936) jest dominikaninem, wieloletnim duszpasterzem akademickim oraz duszpasterzem opozycji antykomunistycznej w PRL. W 2013 r. otrzymał nagrodę Grand Press w kategorii „publicystyka” za opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” cykl „Gdzie my jesteśmy”, poświęcony szkodliwemu wpływowi Radia Maryja na polski Kościół i życie społeczne. Swoje tezy rozwijał w kolejnych głośnych tekstach publikowanych w „TP”, m.in. w „Oskarżam” z 2018 r., w którym ostrzegał: „W Polsce umiera chrześcijaństwo. Wykorzeniają je gorliwi członkowie Kościoła. Biskupi milczą, niestety”. Z jego artykułami można zapoznać się pod adresem powszech.net/owisniewski.

REKLAMA

**Poczuj żar ich pasji
– rozmowy,
które płoną**

TYGODNIK
POWSZECHNY

WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE



ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

Więzień bez wyroku

PIOTR SOŁOWIJ

Czy kontrowersje związane z tymczasowym aresztem dla ks. Michała Olszewskiego to w polskich realiach wyjątek, czy reguła?

A BW ZATRZYMAŁA W MARCU 5 OSÓB w związku ze śledztwem dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości i dotacji wypłaconej Fundacji Profeto, której prezesem jest ks. Michał Olszewski. Zarzuty dotyczą dotacji na budowę ośrodka dla ofiar przestępstw „Archipelag”, który powstaje na warszawskim Wilanowie. Prokuratura zarzuca, że zatrzymani, działając w porozumieniu, wpłynęli na wyniki konkursu organizowanego w ramach Funduszu Sprawiedliwości, dzięki czemu fundacja miała otrzymać ponad 98 mln zł. W czerwcu prokuratura uzupełniła zarzuty kierowane pod adresem ks. Olszewskiego o „pranie pieniędzy” poprzez transakcję pomiędzy głównym wykonawcą „Archipelagu” a fundacją.

W lipcu do opinii publicznej trafił list, w którym ks. Olszewski opisywał okoliczności swojego zatrzymania: utrudniony kontakt z obrońcą, szikany ze strony funkcjonariuszy, brak dostępu do wody i jedzenia, trudności w skorzystaniu z toalety, a także warunki panujące w areszcie. Obecnie, równolegle do toczącego się śledztwa, sąd rozpoznaje zażalenie księdza na sposób przeprowadzenia jego zatrzymania. Niezależnie sytuację bada także Rzecznik Praw Obywatelskich.

Sprawa ks. Olszewskiego jest ważna nie tylko z punktu widzenia rozliczenia nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości, ale także standardów zatrzymań i tymczasowego aresztowania w Polsce.

Obraz tego, jak zatrzymuje się w Polsce podejrzanych, oraz praktyki stosowania tymczasowych aresztowań pokazuje raport Fundacji Court Watch Polska



JAKUB KACZMARCZYK / PAP

Protest w obronie księdza Michała Olszewskiego, Poznań, 2 lipca 2024 r.

(FCWP). Badanie oparto m.in. na rozmowach z zatrzymywanymi przedsiębiorcami.

Część z nich pozytywnie oceniała postawę służb. Odnutowywali, że funkcjonariusze odnosili się do nich z szacunkiem, a także pozwalali np. spakować się czy zorganizować opiekę nad dziećmi. Z drugiej strony zdarzały się przypadki, gdy funkcjonariusze złośliwie komentowali wyposażenie mieszkania czy podkreślali swoją wyższość w stosunku do zatrzymywanych. W jednym z przypadków przedsiębiorca relacjonował, że zatrzymanie zostało dokonane przy użyciu siły, choć można mieć poważne wątpliwości co do tego, czy było to niezbędne i adekwatne.

Kontrola

Rzecznik Praw Obywatelskich od lat postuluje, by przy zatrzymaniu od samego początku obecny był adwokat lub radca prawny. Takie rozwiązanie zabezpieczałoby prawidłowy przebieg zatrzymania i chroniłoby osoby pozbawiane wolności przed nadużyciami ze strony funkcjonariuszy. O tym, że służbom zdarza się nadużywać przemocy, świadczą zdarzenia, które co jakiś czas trafiają na medialne czołówki. Najgłośniejszym przypadkiem była sprawa śmierci Igora Stachowiaka.

Gdyby przy zatrzymaniu ks. Olszewskiego od początku obecny był profesjonalny pełnomocnik, zapewne uniknęlibyśmy kontrowersji. Chroniłoby to zarówno samego zatrzymanego, jak i służby, którym zdecydowanie trudniej byłoby zarzucić nieprawidłowości.

Sąd, rozpatrujący 6 września zażalenie na sposób zatrzymania, odroczył rozpoznanie sprawy do 18 października. Jak wynika z wypowiedzi medialnych mecenasa Krzysztofa Wąsowskiego, sąd nie dysponuje odpowiednim materiałem dowodowym. Brakuje mu nagrań wideo z zatrzymania. Część służb poinformowała o tym, że nie ma takich nagrań, a część nie odpowiedziała na pytanie sądu. Można mieć poważne obawy, czy w ogóle możliwe będzie rozstrzygnięcie, czy służby w tym przypadku działały zgodnie z przepisami.

Konstytucja przewiduje sztywne terminy oceny tego, czy zatrzymany trafi do tymczasowego aresztu, czy wyjdzie na wolność. Zatrzymany w ciągu 48 godzin musi zostać przekazany do dyspozycji sądu, który ma następnie 24 godziny na podjęcie decyzji o dalszych losach osoby. Jest to jeden z najbardziej szczegółowych przepisów w ustawie zasadniczej. W założeniu ma on chronić obywateli przed tym, żeby nie byli oni zbyt długo pozbawieni wolności bez sądowej weryfikacji. Ten pośpiech zamiast chronić, często szkodzi zatrzymanym.

– Pierwszym problemem jest dostęp do akt sprawy. Najczęściej obrońca dostaje do nich dostęp na mniej niż godzinę przed posiedzeniem aresztowym. W dużej sprawie karnej o charakterze gospodarczym może być to 40 tomów, nie ma możliwości, żeby zapoznać się z aktami w tak krótkim czasie – tłumaczy adwokat dr Marcin Klonowski, specjalizujący się w sprawach karno-gospodarczych. – To problem nie tylko dla obrony, ale również dla sądu, który także ma ograni-

czony czas na zapoznanie się ze sprawą. Dodatkową komplikacją jest fakt, że akta w dalszym ciągu są papierowe. Sprawia to, że w danym momencie może czytać je tylko jedna osoba. Zmienić mogłoby to wprowadzenie akt w wersji cyfrowej – dodaje mecenas Klonowski.

Rozwiązaniem, które proponują badacze FCWP, mogłoby być wprowadzenie możliwości odroczenia przez sąd posiedzenia aresztowego w skomplikowanych sprawach do 7 dni, aby umożliwić zapoznanie się z aktami sprawy zarówno obronie, jak i sądowni. Wyrównywałoby to również szanse pomiędzy prokuraturą i obrońcami, którzy teraz często z braku wiedzy o sprawie z góry stoją na przegranej pozycji.

Decyzja o dalszych losach zatrzymanego nie może być pochopna. O tym, jak chętnie sędziowie przychylają się do wniosków aresztowych prokuratorów, oraz o tym, że tymczasowe aresztowanie bywa tymczasowe tylko z nazwy, pisaliśmy szerzej w numerze 30/2024 „Tygodnika”.

Sprawiedliwość

Tymczasowe aresztowanie stanowi środek, który ma zabezpieczyć prawidłowy tok postępowania karnego. Nie jest karą i nie oznacza automatycznie winy zatrzymanego. Niezależnie od rozwoju śledztwa: wyjścia na wolność czy finalnego skazania, wywiera jednak ogromny wpływ na dalsze życie zatrzymanej osoby.

– Konsekwencje takiej sytuacji są dramatyczne, nie tylko te prawne. Dotykają każdej sfery życia człowieka – podkreśla mecenas Klonowski. – W sprawach gospodarczych ludzie są osadzani razem z osobami ze środowiska kryminalnego. Nierzadko, żeby wpłynąć na ich postawę procesową. Nie każdy wytrzymuje tę próbę. Przyznają się nawet w sytuacji, w której nie czują się winni, ale po prostu chcą już wyjść na wolność.

Żeby powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość, musimy pamiętać, że liczy się nie tylko końcowy wyrok sądu, ale również droga, jaka do niego prowadziła. Ma ona znaczenie zarówno, gdy zatrzymany zostaje finalnie skazany, jak i gdy wychodzi z sądu uniewinniony. Może on w takim przypadku starać się o odszkodowanie za tymczasowe aresztowanie, ale musi wykazać, że było ono niewątpliwie niesłuszne. ©

Ksiądz na ringu

HONORATA ZAPAŚNIK Z MEKSYKU

Z gangu trafił do seminarium, a potem z parafii na ring jako luchador. Historia życia Fraya Tormenty stała się kanwą dwóch filmów.

NA SPOTKANIE Z FRAYEM TORMENTA (Ojcem Burzą) jadę do Ecatepec de Morelos, jednego z najbiedniejszych i najniebezpieczniejszych miast, które zlewa się z miastem Meksyk. Po wyjściu z metra kieruję się do położonego tuż obok centrum handlowego. Mijam opuszczone lokale i bar z głośną muzyką. Wjeżdżam ruchomymi schodami na drugie piętro, po czym wchodzę do dużej sali sportowej, gdzie organizowane są walki zamaskowanych zapaśników: luchadorów. Przy wejściu powieszono plakat, na którym widać Fraya Tormentę w charakterystycznej żółto-czerwonej masce, w szacie liturgicznej i z hostią w dłoni.

Historię ks. Sergia Gutiérreza Beníteza, który zaczął walczyć w *lucha libre* (meksykańska odmiana wrestlingu), żeby zebrać pieniądze na prywatny dom dziecka, opowiedzieli autorzy amerykańskiej komedii „Nacho Libre” z aktorem Jackiem Blackiem w roli głównej. Niewiele osób w Meksyku pamięta, że tę historię zainspirowały prawdziwe wydarzenia, a w ciągu wielu lat „Dom szczeniąt Fray Tormenta” opuściło ponad dwa tysiące dzieci.

Sergio Gutiérrez dzisiaj ma 79 lat i niedawno stracił wzrok. Siedzi na wózku inwalidzkim pośrodku sali w otoczeniu fanów, którzy podchodzą do niego i proszą o autograf lub o wspólne zdjęcie. Wieczorem ma odbyć się charytatywna walka zorganizowana przez luchadorów, z której pieniądze zostaną przeznaczone na leczenie jego wzroku.

Po chwili jeden z mężczyzn w koszulce z napisem „Fray Tormenta” odprowadza wózek z księdzem w głąb sali, żebyśmy mogli na spokojnie po-

rozmawiać. – Czy jesteś jego opiekunem? – pytam. – Nie, księdzem opiekuje się jeden z jego „szczeniąt”, tak nazywa swoich wychowanków – mówi Enrique Guevara. – Fraya Tormentę poznaliśmy z żoną i synem kilka lat temu na inauguracji szkoły dla zawodników *lucha libre*, z tej okazji odprawiał mszę świętą. Słyszałem już o nim w młodości, a potem dowiedziałem się, że jest księdzem. Zaprzyjaźniliśmy się i teraz staramy się z żoną mu pomagać. Robimy dla księdza zakupy, zabieramy go do lekarza. Dzisiaj jestem tutaj, żeby być jego oczami.

El Indio

– Urodziłem się w 1945 r. na małej farmie w stanie Hidalgo, miałem 18 siostr i braci – opowiada Fray Tormenta. – Kiedy byłem dzieckiem, moi rodzice przeprowadzili się do Xalostac, a potem do miasta Meksyk. Zamieszkaliśmy w dzielnicy Tres Estrellas, gdzie było niebezpiecznie. Stałem się częścią miejscowej bandy, należało do niej z 90 chłopaków. Nosiliśmy skórzane kurtki i łańcuchy motocyklowe. Nazywali mnie Indianinem. Musiałem być częścią tej grupy, w tym świecie nie miałem innego wyjścia.

Miałem 11 lub 12 lat, gdy wszedłem w świat alkoholu i narkotyków. Żeby móc kupić towar, kradłem, co mogłem, z domu. Ponieważ umiałem się bić, szybko zostałem jednym z przywódców gangu dowodzonego przez Apache. On był dużo starszy ode mnie. Miał wtedy z 30 lat. Kiedy jednak zabito jednego z moich kolegów, coś we mnie pękło i postanowiłem zmienić moje życie. Odszedłem z gangu, zostawiłem pracę w barze, gdzie dorabiałem, i zacząłem pomagać komikom Viruta y Capulina w cyrku.

→ Najciężej było mi zostawić nałóg. Któregoś dnia wszedłem do kościoła i miałem wrażenie, że to ja odprawiam mszę. Myślałem, że to zwidy spowodowane zażywaniem narkotyków. Poszedłem do konfesjonatu i poprosiłem księdza, żeby mi pomógł, bo jestem uzależniony. Odpowiedział, że to nie jest centrum rehabilitacyjne, i kazał mi opuścić kościół. Wtedy pomyślałem, że gdyby był księdzem, który służy Kościołowi, to wielu z nas by się zmieniło.

Po jakimś czasie poszedłem po pomoc do jednego zakonnika, José Gila, i on zabrał mnie do ośrodka dla osób uzależnionych. Tam mnie związali, zacząłem oblewać się zimnym potem i miałem wrażenie, że żarówka zamienia się w potwora. Prosiłem lekarza o odrobinę marihuany, ale nie reagował. Po trzech dniach lekarz powiedział mi, że mój organizm został odtruty, ale ode mnie zależy, czy zostanę uzdrowiony.

Z pomocą ojca Gila poszedłem do zakonu mercedariuszy, ale miałem problemy, żeby się w nim odnaleźć. Potem ojciec Gil pomógł mi wstąpić do zakonu pijarów. Przedstawił mnie im w samych superlatywach, a ja słysząc, co o mnie mówi, dziwiłem się, że w jego oczach mam tyle zalet.

Mój tata nie był zachwycony tą decyzją, bo sam pracował fizycznie, niewiele zarabiał i widział, że przestanę przynosić do domu pieniądze. Ale mama cieszyła się, bo bała się, że już nic ze mnie nie będzie.

Pod koniec nowicjatu mistrz poprosił mnie, żebym opowiedział mu całe swoje życie i przysiągł na Biblię, że mówię prawdę. Miałem wrażenie, że zaraz wyda się kłamstwo, zakonnicy dowiedzą się, kim naprawdę jestem, i nie zaakceptują mojej przeszłości. Postanowiłem spakować swoje rzeczy i stamtąd uciec. W ostatniej chwili przełożony zatrzymał mnie pytając, dlaczego nie zgodziłem się zrobić tego, o co mnie prosił. Odpowiedziałem, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa. Usłyszałem, że on doskonale zna szczegóły mojego życia i nie mam czego się wstydić. „Kościół potrzebuje takich ludzi jak ty” – dodał.

Ojcowie wysłali mnie do Navarry w Hiszpanii, żebym studiował filozofię. Potem uczyłem się teologii w Rzymie, a po powrocie do Meksyku poszedłem na Uniwersytet Papieski i do Seminarium Palafoxiano w Puebli.



Ks. Sergio Gutiérrez Benítez – Fray Tormenta. Miasto Meksyk, 2024 r.

Jako diakon zostałem wysłany do Veracruz, gdzie zacząłem pomagać uzależnionej młodzieży. Początki nie były łatwe, bo musiałem zasłużyć na ich szacunek. Ale ponieważ sam byłem narkomanem, to mówiłem do nich tym samym językiem. Pierwsi, których spotkałem, chcieli się ze mną bić. Powiedzieli, że jeśli ich pokonam, to będą za mną. Zastanawiałem się, co o mnie będą mówić wierni, gdy dojdzie do bójki? Ale wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, to nie będę mógł im pomóc. Umiałem się tłuc na ulicy, więc stanąłem do walki i wygrałem. „Kto następny?” – zapytałem.

Tak zacząłem pomagać prostytutkom, przestępcom, narkomanom. Zapraszałem ich do kościoła, żeby grali na jakimś instrumencie w orkiestrze. Przychodzili i cały czas ćpali, ale niektórzy się zmieniali.

Córka luchadora

Do Fraya Tormenta podchodzi przywitać się luchador, który będzie dzisiaj występować na ringu. Przedstawia mu swoją żonę, farbowaną blondynkę w mini o śniadej twarzy, która jest też jego promotorką. „Mój tata też był luchadorem, nazywa się Mario Hernandez” – mówi. „Walczyłem z twoim ojcem 40 lat temu – odpowiada kobiecie. – Zapraszałem go

do domu dziecka na *lucha libre*, pomagał mi zebrać pieniądze na dzieci”.

Szczenięta Ojca Burzy

– Nie chciałem przyjąć święceń, ale zmusiła mnie do tego konieczność – kontynuuje opowieść Fray Tormenta. – Niektórzy z moich podopiecznych chcieli się wyświadczyć, a ja nie mogłem tego zrobić. Bardzo mnie to bolało. W końcu zostałem wyświęcony 26 maja 1973 r., nie w katedrze, jak mi sugerowano, a wśród osób, którym pomagałem, w parafii Świętej Rodziny.

Któregoś dnia w atrium kościoła znalazłem bezdomnego chłopca. Pomogłem mu i parę dni później przyszło kilku innych nastolatków. Mieszkali potajemnie w moim biurze. Szybko zostali odkryci przez jednego z ojców, który powiedział mi, że kościół nie jest domem ani sierocińcem. Kiedy zostałem przeniesiony do Puebli, sieroty mnie odnalazły. Chłopcy byli źli, że ich porzuciłem.

Zacząłem szukać pomocy poza zgromadzeniem, bo pijarzy nie chcieli, żebym prowadził ośrodek dla dzieci. Udałem się do miasta Meksyk, aby poprosić biskupa o pozwolenie na założenie domu dziecka w jego diecezji. Biskup zezwolił na to, ale zaznaczył, że nie będzie pomagać mi finansowo.



MATERIAŁ PRASOWY

Jack Black jako Nacho w filmie pt. „Nacho Libre”. 2006 r.

Kiedy byłem wikariuszem, a potem proboszczem w kościołach w Texcoco, liczba dzieci szybko rosła. Najpierw było ich czternaścioro, potem rząd zaczął wysyłać kolejne, aż w pewnym momencie miałem 250 dzieci pod opieką. Ale brakowało nam pieniędzy, bo na rząd nie można było liczyć – urzędnicy uważali, że skoro jestem księdzem, to mam pieniądze.

Pewnej nocy nie mogłem zasnąć i zacząłem oglądać film w telewizji „Pan Burza” o luchadorze. Pomyślałem wtedy, że *lucha libre* może pomóc rozwiązać nasze problemy finansowe. Powalczę z rok, zarobię milion dolarów i zbuduję dom dziecka z prawdziwego zdarzenia.

Udałem się do najlepszych zawodników *lucha libre*, ale nie chcieli mnie uczyć walki. W końcu trafiłem na José Ramireza, który występował na małych ringach. Odtąd wstawałem o godzinie czwartej rano i siedłem na treningu, a potem do kościoła odprawić mszę świętą. Po trzech miesiącach chciałem się poddać, bo byłem cały obolały od upadków, ale wiedziałem, że muszę być wytrwały.

Wybrałem dla siebie pseudonim Fray Tormenta. Jeden rzemieślnik pomógł mi zaprojektować maskę w dwóch kolorach. Żółty był symbolem żywotności, którą powinienem mieć na ringu, a czerwony symbolem krwi, którą będę musiał przełać za dzieci z domu dziecka. Dostałem też rajtuzy i odpowiednie buty. W dniu pierwszej walki zapominałem zapytać, ile mi zapłacą. Po występie dostałem 200 pesos, czyli jakieś 14 dolarów. Zdałem sobie sprawę, że milion to mrzonki.

Przez lata walczyłem jako Fray Tormenta, ale moi koledzy z ringu nie wiedzieli, że jestem po święceniach kapłańskich. Któregoś dnia Huracán Ramírez, jeden z kolegów, zapytał, czy możemy walczyć o piętnastę, a ja odpowiedziałem, że nie dam rady, bo godzinę wcześniej udzielałem ślubu. Tego dnia, gdy państwo młodzi weszli do kościoła, zobaczyłem go wśród gości. Puścił do mnie oczko i uśmiechnął się.

W świecie sportu rozeszła się plotka, że jestem księdzem. Zaczęli szukać mnie promotorzy, a na walki z ważnymi luchadorami przychodziło mnóstwo ludzi. *Lucha libre* to zapasy, ale też wyreżyserowane przedstawienie. W zależności od osobowości zawodnikowi przypisuje się rolę luchadora tecnico, który postępuje zawsze w zgodzie z zasadami, lub rudo – zawsze używa podstępów, żeby wygrać. Może kopnąć przeciwnika w przyrodzenie, próbować zerwać maskę...

W czasie jednej walki mój przeciwnik zapytał, czy naprawdę jestem księdzem. Odpowiedziałem, że tak. „Jeśli ty jesteś księdzem, to ja jestem biskupem” – odpowiedział i zaczął mnie okładać. Pewnie ludzie chcieli zobaczyć, jak biją księdza.

Pewnego dnia biskup wezwał mnie na rozmowę i zapytał, czy wiem, kim jest ksiądz, który walczy w *lucha libre*. Powiedziałem, że ja nim jestem. „To nie jest zgodne z nauczaniem Pisma Świętego” – usłyszałem. Odpowiedziałem, że w Biblii mówią tylko, że jeśli ktoś mnie uderzy w prawy policzek, to mam nadstawić drugi i nic więcej. Jednak stwierdził, że

nie powinienem już walczyć. „Dobrze, posłucham, ale w przyszłym miesiącu przyjdę po pieniądze na dom dziecka, które zarabiam jako luchador”. „Nie, aż tak to nie. Trzymaj się”.

Jak się okazało, usłyszał o mnie nawet Jan Paweł II. W czasie swojej drugiej pielgrzymki do Meksyku poszedłem do zakrystii w bazylice, żeby się z nim przywitać. „Jestem Fray Tormenta” – przedstawiłem się po włosku. „Luchador” – odpowiedział. Położył rękę na mojej głowie mówiąc, że chciałby, żeby było wielu Ojców Tormenta. Odpowiedziałem, że to byłby koniec Kościoła. Zaczął się śmiać.

Tato

Obok ringu ustawiono stoisko z gadżetami, gdzie można znaleźć koszulki, breloczki, maskotki czy czapeczki z daszkiem z podobizną Fraya Tormenty. Sprzedawczyni jest żoną jednego z wychowanków domu dziecka. „Pomagam teściowi, żeby miał pieniądze na lekarza i na życie” – mówi. Do stolika podchodzi Rafael Estrada ze Światowego Związku Lucha Libre i kupuje złotą maskę Fraya Tormenty za dwa tysiące pesos (400 złotych).

– Przyszedłem tutaj, żeby wesprzeć finansowo Fraya Tormentę – mówi. – Poznałem go, gdy był już znany i odprawił mszę z okazji urodzin mojej chrześnicy, córki luchadora. Od tego czasu się przyjaźnimy.

Ze względu na to, co Fray Tormenta zrobił dla dzieci z ulicy, uważa, że jest chodzącą legendą i prawdziwym bohaterem.

– Kiedyś odwiedziłem jego dom dziecka, bo byłem ciekawy, jak wygląda. Stał obok kościoła, w środku były sypialnie, duża jadalnia, siłownia i ring, na którym trenował. Czasem ze swoim kolegą Tigre Mascarado uczył też walczyć dzieci, bo chciał, żeby skupiły się na sporcie i w ten sposób mógł odwrócić ich uwagę od ulicy.

Jaki miał z nimi kontakt? – pytam.

– Kiedyś przyszedł odprawić mszę na prośbę znajomego i zabrał dwoje ze swoich „szczeniąt” do pomocy. Potem chłopcy usiedli z nami do stołu i słyszałem, jak mówili do niego „tato”. Do dzisiaj ma kontakt z tymi dziećmi.

Człowiek w złotej masce

– Dla dzieci z domu dziecka odprawiałem msze, bawiłem się z nimi, grałem w piłkę, uczyłem katechizmu – opowiada →

→ zakonnik. – Na początku nie wiedziały, że walczę jako luchador. Któregoś dnia wróciłem z ringu, zacząłem zdejmować z siebie ubranie i wtedy chłopcy odkryli prawdę. Ucieszyli się i zaczęli mówić całemu światu, że ich tata jest Frayem Tormentą. Czasem prosili, żebym też uczył ich walczyć, ale warunkiem było, że będą chodzić do szkoły.

Kiedyś jedną z walk transmitowali w telewizji. Moi podopieczni zobaczyli, jak zawodnik zdiera mi maskę z głowy. Jedno dziecko szybko pobiegło po ręcznik i zarzuciło go na ekran, żeby nie można było zobaczyć mojej twarzy, bo w tym sporcie ukrywa się tożsamość (*śmieje się*).

Nie wiem, jak wszystko udało mi się pogodzić. Walczyłem po południu, ale miałem msze w kościele rano. W domu dziecka spędzałem z dziećmi czas, a kiedy wyjeżdżałem na walki, obowiązki w sierocińcu przejmowała moja siostra, która mi pomagała. Czasem przychodzili też ludzie z okolicy, przynosili mleko, fasolę, gotowali i zostawiali na obiad.

Byłem rozpoznawalny, niestety nie szły za tym pieniądze. Na szczęście przed lub po walce ludzie podchodzili i przekazywali rzeczy dla domu dziecka. Promotorzy zaczęli mnie zapraszać do Japonii, Stanów Zjednoczonych, Kanady. W ten sposób dowiedzieli się o mnie producenci. Francuzi przyszli z propozycją nakręcenia filmu „Człowiek w złotej masce” z Jeanem Reno. Potem w Hollywood nakręcili film „Nacho Libre” z Jackiem Blackiem. Nie do końca mi się podobają. Francuski film nie opowiada mojej historii, a amerykański też mija się z prawdą, bo główny bohater lata za zakonnicą, a ja tego w życiu nie robiłem!

Do Japonii wracałem kilkadziesiąt razy, stałem się tam idolem, zrobili nawet o mnie grę komputerową. Kiedyś pojechałem tam walczyć przeciwko Aztece, to japoński zawodnik, który uczył się *lu-*

cha libre w Meksyku. Upadłem na ring, zaczął mnie bić i nagle podbiegł do mnie dwunastoletni chłopiec z płaczem i pomógł mi wstać. Tę walkę przegrałem i po powrocie do Meksyku poprosiłem Aztecę o rewanż. Wkrótce odebrałem telefon, że Azteca przyjmuje moje wyzwanie.

Na lotnisku w Tokio mój promotor poprosił mnie, żebym po odprawie celnej założył maskę, bo będzie na mnie czekać telewizja. Faktycznie, dziennikarze podeszli do mnie z kamerą mówiąc, że pewna rodzina z dziećmi chce dać mi prezent. W tym momencie podszedł do mnie jeden chłopiec, uklęknął i złapał mnie za nogi. Od razu go podniosłem z podłogi. Po chwili jego rodzice dali mi kopertę pełną pieniędzy. „To za cud, jaki uczyniłeś” – powiedzieli przez tłumacza. Nie wiedziałem, o co chodzi. Okazało się, że ich syn był moim wielkim fanem, nawet miał plakat ze mną powieszony w swoim pokoju, ale poruszał się na wózk. Kiedy walczyłem z Aztecą i zobaczył, jak on mnie bije, nagle wstał i do mnie podbiegł (*placze*). Bóg z małych rzeczy robi wielkie rzeczy. Pokazałem chłopcu krzyżyk i powiedziałem, że to nie ja, lecz On to uczynił.

Fray Tormenta Junior

Przy wejściu sprawdza bilety Chris, jeden ze „szczeniąt” Fraya Tormenty. Trafił do domu dziecka księdza, kiedy miał trzynaście lat, był wtedy jednym z pięćdziesięciu wychowanków.

– Ojciec znał wszystkie nasze imiona, opowiadał żarty, dawał rady, bawił się z nami – mówi. – Zawsze szukał pieniędzy, żeby móc nam dać jeść. Pomagały nam organizacje, czasem rząd, ale bez niego nie byłoby to możliwe.

Chris na początku nie wiedział, że ksiądz jest luchadorem, ale któregoś dnia Sergio Gutiérrezz zabrał go z innymi dziećmi na walkę.

– Powiedziałem tacie, że chcę się uczyć *lucha libre*, ale on odpowiedział, że najpierw muszę iść do szkoły. Zapłacił za moje wpisowe, a kiedy skończyłem liceum, zaczął mnie trenować.

Dzisiaj Chris ma licencjat z prawa, ale od pewnego czasu zajmuje się głównie swoim dawnym opiekunem.

– Ojciec mieszkał sam, tracił wzrok i nikt nie chciał się nim zająć – przyznaje. – Niektóre szczenięta mają z nim kontakt, ale nie pomagają. Tata nie jest z tego powodu rozczarowany, cieszy się, że dał im szansę na lepsze życie.

W podziękowaniu ksiądz pozwolił Chrisowi występować na ringu jako Fray Tormenta Junior. Za godzinę przywdzieje swój strój i wyjdzie na ring.

Maska, moja żona

– Maską to moja żona, ona się mną opiekuje. Nie dostałem emerytury kościelnej, bo usłyszałem, że nic dla Kościoła nie zrobiłem. A emerytury państwowe w Meksyku księżom nie przysługują. Mogłem jedynie przenieść się do domu dla księży, ale nie zrobiłem tego, bo tam żyłbym odizolowany od świata.

Teraz wynajmuję małe mieszkanie z dwoma moimi „szczeniętami”, żoną jednego z nich i dzieckiem w San Diego w Tescoco. Sprzedaję różne gadzety jako Frey Tormenta, żeby pomóc im w utrzymaniu. Próbowaliśmy otworzyć myjnię samochodową, ale nie udało nam się znaleźć klientów.

Mimo wszystko czuję się spełniony, bo z mojego domu dziecka wyszli lekarze, nauczyciele, adwokaci, informatycy, księgowi, a nawet ksiądz, który też walczy jako El Chacal. Chciałem zresztą oddać mu mój dom dziecka i pozwolić występować pod moim pseudonimem, ale nie zgodził się. Dla niego to byłby za duży obowiązek. Trochę mnie to zabolowało. Bo ja już nie mogłem dalej utrzymywać sierocińca i musiałem go zamknąć.

Żyję spokojnie, bo czuję się kochany. Nikt o mnie źle nie mówi, bo ludzie widzieli, że wszystkie zarobione pieniądze oddałem dzieciom i dzisiaj nawet nie mam swojego mieszkania. Nadal jestem potrzebny. Chociaż nie widzę i nie mam swojego kościoła, to rano pojechałem do domu jednej z rodzin i ochrzciłem dwoje dzieci. W końcu księdzem jest się przez całe życie.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Gminy Nowa Karczma z udziałem Skarbu Państwa repr. przez Starostę Kościerskiego w sprawie sygn. akt I Ns 35/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszku Daleckim, zmarłym dnia 27 lipca 1993 r. w Kościerzynie, ostatnio stale zamieszkałym w Jasiowej Hucie, oraz Annie Daleckiej, zd. Ruc, zmarłej dnia 28 sierpnia 1993 r. w Jasiowej Hucie, ostatnio stale zamieszkałej w Jasiowej Hucie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Franciszka Daleckiego i Anny Daleckiej, aby w terminie 6 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po nich pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

WOJCIECH

Bonowicz:

Kilka uwag o rzeczywistości



CHWILA JEST HISTORYCZNA. Wczorajsza też była historyczna i jutrzejsza także zapewne będzie. W zasadzie współczesność składa się wyłącznie z chwil historycznych, to znaczy takich, w których decyduje się nasza wspólna przy-

szłość. Odkąd wszystko przyspieszyło, nie ma momentów przerwy, pustych przebiegów, okresów cieszenia się tym, co jest. Tego, co jest, bowiem za chwilę może nie być. Kiedyś dawniej też oczywiście mogło tego nie być, ale świadomość zagrożeń była mniejsza, a zmiany powolniejsze. Pod koniec stulecia żyło się mniej więcej podobnie jak na jego początku. Rytm życia zmieniał się nieznacznie, nie naruszały go ani wojny, ani naturalne katastrofy. To nie znaczy, że nie było strachu, niepewności, okresów wzburzenia, a nawet zbiorowej paniki. Ale świadomość, że stajemy przed zbiorowym „być albo nie być”, zjawiała się rzadko.

Taki świat jest dziś trudny do wyobrażenia. Kto urodził się sto lat temu, był świadkiem tylu gwałtownych i zasadniczych zwrotów, że mógłby powiedzieć, iż przeżył pięć czy sześć epok. Mówię naturalnie o naszej części świata, choć z perspektywy innych też może to wyglądać podobnie. Są jeszcze na tym świecie społeczności, które nie doświadczyły tak bardzo skutków technologicznego czy ekonomicznego przyspieszenia, ale jest ich doprawdy niewiele. Globalizacja to przebudzenie ze snu, wytrącenie z błogiej nieświadomości. I jednocześnie wtrącenie w popłoch i winę.

Chwila jest historyczna, ale nie wiadomo, ilu z nas to obchodzi. Słucham naszej klasy politycznej i jeśli jest ona naszą reprezentacją, to biada naszemu – jak powiada Antek Dudek – wiecznie udręczonemu narodowi. Ja tu o polityce nie lubię pisać, robią to znacznie lepiej inni, ale nie mogę pominąć udręki, jaką odczuwa wielu z nas w zderzeniu z tym światem.

Język głównej partii opozycyjnej, jej liderów i (nielicznych) liderów, jest językiem zupełnego odklejenia od rzeczywistości. Jeśli prawdą jest, że tertio ewentualnych kandydatów do walki o prezydenturę jest takie, a nie inne (nie chce mi się nawet wymieniać tych nazwisk), to znaczy, że opozycja nadal zamierza budować dla swoich zwolenniczek i zwo-

lenników świat, który nie istnieje. Owszem, można doskonale się urządzać i odnosić wymierne korzyści z opowiadania o nim, zwłaszcza jeśli odzyskałoby się władzę, ale tego świata po prostu nie ma – nie ma takiego społeczeństwa, takiej Polski, takiej Europy, takiej Ameryki, takiej ekonomii, takich migrantów, takiego klimatu, takiej religii i takiej historii. Zławsza tej ostatniej nie ma, choć stanowi istotną część owej opowieści.

Niestety, kiedy zapytamy, jak się ma do rzeczywistości opowieść, którą snują rządzący, też nie raz i nie dwa musimy złapać się za głowę. Jeden z geniuszów tej strony sceny politycznej wyznał niedawno, że rząd „złodziei” zastąpiony został przez rząd „leni”. Aha, to taką mamy alternatywę? Nie, to tylko opowieść, niestety nie taka niewinna, jak by się owemu geniuszowi wydawało. Może zresztą w tym akurat punkcie opowieść dotknęła rzeczywistości – ale ja nie o tym. Chciałbym bardzo raz wreszcie uwierzyć, że ci, którzy akurat rządzą, rozwiązują „rzeczywiste problemy milionów Polek i Polaków” (ulubione sformułowanie wszystkich aspirujących do władzy). Że mają w miarę aktualną wiedzę o tym, co jest, a co nie jest „rzeczywistym problemem”, i wizję, której istotnym elementem jest hierarchia ważności spraw i hierarchia wartości, których należy bronić. Że kiedy zasiadają za ministerialnym biurkiem czy w poselskiej ławie, to te hierarchie nie zostają odłożone na bok, lecz wpływają na ich decyzje. I że nie chodzi tylko o najbliższe wybory.

Ja wiem, że wizje mogą być różne. To dlatego obok rządu jest parlament, gdzie różne wizje powinny się ścierać – choć na ogół ścierają się popisy retoryczne, a nie wizje. Człowiek czeka na głos rozsądku, na – owszem – efektowną, ale jednocześnie racjonalną argumentację, i doczekać się nie może. A jeszcze obudowa medialna jest na ogół taka, że eksponuje nie to, co racjonalne, ale to, co retoryczne. W rezultacie mamy to, co mamy: w dniach, kiedy cały kraj gotuje się w upale, zbierane są podpisy przeciwko polityce, która mogłaby spowolnić dalsze ocieplanie się klimatu. Itp.

Chwila jest historyczna. Znowu trzeba pisać rzeczy oczywiste, którymi nikt się nie przejmie. To znaczy – wielu pewnie się przejmie, ale akurat nie te i nie ci, którzy przejąć się powinni. Mimo to uważam, że wszyscy powinniśmy pukać do ich głów. I nie, nie tylko dlatego, że tę robotę, którą mają do wykonania, wykonują za nasze pieniądze. Ani nie dlatego nawet, że zbyt wiele mamy do stracenia. Przede wszystkim – naszemu wiecznie udręczonemu narodowi też należy się czasem odrobina wytchnienia. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

ŻYCIE I ŚMIERĆ W CHARKOWIE

Znów huk. Wyją karetki, pędzą na miejsce eksplozji.
Ubrana z fantazją Nadieżda przegląda się w witrynie.
Oto miasto, które walczy
o trochę normalności – w nienormalnym czasie.

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK** Z CHARKOWA

MILION. TYLU ICH JEST. MOŻE NIECO więcej. Tyłu ludzi, według departamentu statystyki obwodu charkowskiego, żyje dziś w Charkowie. Mieście, które od frontu dzieli 20 km. Rakiet balistyczna, wystrzelona z Rosji, dolatuje tu w kilkadziesiąt sekund. Rakiet balistycznych krótkiego zasięgu Rosja ma dużo – właśnie otrzymała ich dostawy z Iranu.

Przez ostatnie dwa i pół roku ta liczba się zmieniała, dynamicznie. Przed 24 lutego 2022 r. żyło tu półtora miliona – Charków był drugim największym miastem kraju, po Kijowie. Wiosną 2022 r. zostało ich może 400 tysięcy – wprawdzie Rosjanie zostali zatrzymani pod miastem, ale znalazło się ono pod ostrzałem. Niektóre dzielnice, jak Sałtiwka (symbol-ikona zniszczeń), opustoszały.

We wrześniu 2022 r. armia ukraińska wyzwoliła cały region charkowski, odrzucając Rosjan na północy poza granicę, a na wschodzie za rzekę Oskoł. Ulżyło miastu, choć nie zapewniło mu pełnego spokoju. Nie było już w zasięgu artylerii, lecz rakiety co jakiś czas spadały. Mimo to ludzie wracali, nawet do miast obwodu donieckiego. Zdawało się, że wojna stała się pozycyjna, statyczna. Wiosną 2024 r. w Charkowie żyło więc znów ponad milion ludzi, w tym 170 tys. ucieki-

nierów (głównie z obwodów donieckiego i ługańskiego).

Potem był maj 2024 r. i nowy rosyjski atak od północy. Wprawdzie znów zatrzymany. Ale odtąd Charków znalazł się znowu na bezpośrednim zapleczu frontu. Odtąd rakiety i teraz także bomby lotnicze, kierowane, spadają regularnie.

Wrzesień. Zaczyna się szkoła

Zaczął się 1 września, jak wszędzie. Wraz z nowym rokiem szkolnym naukę rozpoczęło ok. 56 tys. przebywających w mieście dzieci. Ogromna większość zdalnie. Inaczej byłoby to niebezpieczne, i to ze 184 szkół jest mniej lub bardziej uszkodzonych przez ostrzały (stan na początek września). Trochę ponad dwa tysiące przychodzi do szkoły – do tzw. metro-szkół, w podziemnych stacjach metra.

Wojna odebrała za to miastu studencki charakter. Wcześniej Charków był jednym z głównych ośrodków kultury i edukacji w kraju; był popularny także wśród zagranicznych studentów.

Można by powiedzieć, że studentów zastąpili żołnierze: Charków jest jednym z najważniejszych punktów logistycznych – i dla frontu północnego, i dla tego w Donbasie. Mimo to żołnierzy w mieście nie widać. Od kilku miesięcy obowiązuje zakaz noszenia munduru – ze względów

bezpieczeństwa. Ma utrudnić lokalizowanie obiektów wojskowych i kwater – także miejscowym kolaborantom.

Sierpień. Babie lato

Centrum Charkowa tchnie od kilku dni spokojem. W powietrzu wisi jakby lekkie zdziwienie tą ciszą. Zazwyczaj przerwy między ostrzałami wynoszą parę dni. Czasem ataki mają miejsce kilka dni pod rząd. A teraz – nic. Przechodnie wystawiają twarze do słońca, knajpki są pełne.

Modne tutejsze kawiarnie wyposażone zostały na miejscową modłę. „Pakufuda”, przytulna i z regałem wypełnionym do sufitu grami-planszówkami, ma swój starlink i trzy generatory. Dzięki temu jest popularna jako miejsce pracy w czasie, gdy firmy energetyczne odcinają prąd. Gdy wyje syrena alarmu przeciwlotniczego, goście proszeni są do salki poło-





Charków, koniec sierpnia 2024 r.

żonej w głębi lokalu, z dala od wielkich okien. W razie eksplozji te mogą zamienić się w grad ostrych odłamków.

W „Makers”, na ulicy Hryhoryja Skoworody (wcześniej Puszkina), piękne łukowate okna zasłonięto paździerzem – wszechobecnym i naklejonym jak plaster na zadrapania wszędzie tam, gdzie podmuch eksplozji wybił okna. To ślady zimowego jeszcze nalotu. Wtedy, w trakcie trwającej w pobliżu akcji ratunkowej, personel kawiarni serwował darmową kawę dla służb ratunkowych.

Paździerz, wojenne płótno

Za część wystroju odpowiada przyjaciel kawiarni, Hamlet Zinkowski. W wejściu klientów witają krzesła podpisane charakterystycznymi białymi literami: „Za plecami kosmos, z przodu – wieczność... Żadnych perspektyw”. Hamlet, częsty

gość, wpada szybko po kawę, ubrany z uliczną ekstrawagancją, jak na ikonę charkowskiego street artu przystało, z gładko ogoloną głową i kolczykami. Jego prace, czarno-białe graffiti, wpisane są w śródmiejskie bramy, fasady i ślady po pociskach na chodniku. Niby mapa prowadzą bocznymi ulicami.

Na Sumskiej, głównej ulicy miasta, niepodzielnie rządzą prace Kateriny Kowszar i Kariny Żernowej: giętkie motywy roślinne i rajske ptaki kipią kolorami. Wylewają się poza ramy paździerzy, wstawionych w witryny lokali. Od początku inwazji wszechobecna płyta paździerzowa stała się płótnem dla miejskich artystów.

W ścisłym centrum mało która z płyt nie jest zagospodarowana, na większości rozpościerają skrzydła ptaki Żernowej. Albo: czarną farbą wypisane są, przez

Dianę, młodą charkowiankę, wiersze któregoś ze współczesnych poetów wojennych. Jest więc Maksym „Dali” Krywcow, poległy z początkiem roku. Jest Wiktorina Amelina, zmarła od ran odniesionych w Kramatorsku, podczas ataku rakietowego na pizzerię.

Jest galeria, jest życie

Jeśli i oni są, to przecież musi być (prawie) normalnie. Świadkowie Jehowy w schludnych garsonkach i spodniach w kancik okupują wejścia do stacji metra Architekta Biekietowa. Krisznownicy rozdają ulotki przed parkiem Szewczenki i mantrują, w zgrabnym orszaku, wzdłuż Sumskiej.

Młodzież zaś, widoczna w całym mieście, kolorowa jak rajske ptaki Żernowej, najchętniej obsiada fontannę przed galerią handlową Nikolsky. Galeria kłuje w oczy →



Nadieżda, wokalistka estradowa, na ul. Sumskiej w Charkowie, sierpień 2024 r.

→ kolumnadą i opalizującymi ścianami jak kryształowy okrucieństwo, który wpadł pod powiekę.

Kontrastem dla kolumnady jest „wujek Grisza”. Grigorij Janczenko, weteran, objeżdża Ukrainę, kwestując na rzecz wojńska przed galeriami handlowymi. Wśród ekscentrycznego tłumku widoczny jest z daleka, z racji utraty obu nóg porusza się na wózku. Odziany w charakterystyczną tielniąszkę, pasiasty podkoszulek żołnierzy, a także bordowy beret wojsk desantowych.

Spód galerii płynie zaś strumień stylizacji właściwych subkultur, jakie nie śniły się filozofom, błyska brokat na młodych twarzach. Widać opalone łydki gesto oblepione wzorami, bo ponoć w Charkowie można trafić na najlepszych mistrzów tatuażu. Mieszają się stylizacje jak z nowojorskich ulic na przemian z paramilitarną odzieżą, biodrówkami pełnymi naszywek.

I dyndającymi turniketami, opaskami tamującymi krwawienie po zranieniu. Te są niczym ukłucie szpilki. Przypominają, że chodnik nagle może pokryć się krwią.

Jest prąd, są światełka

Zmierzcha, ale Charków nie idzie spać. Nie dzisiaj. W ten piątek 23 sierpnia, w wigilię ukraińskiego Dnia Niepodległości, przypadają 370. urodziny miasta.

Przed monumentalnym budynkiem Derżpromu – pierwszego wieżowca w Związku Sowieckim, który zbudowano właśnie tutaj, w 1928 r. – uru-

chomiona zostaje wielka fontanna. Jak żabki skaczą po niej charkowskie dzieciaki, z piskiem uciekają przed strugami wody.

Na Sumskiej zaś, wraz ze zmierzchem, sadowi się kapela. Nad ulicą włączono światełka, całe ich sznury kołyszają się, oblewają miodową poświatą chodnik i twarze ludzi. Wszyscy robią zdjęcia, piesi i kierowcy, którzy specjalnie zwalniają, ale nikt się nie denerwuje. Klaksony słyszeć, ale przy okazji braw między piosenkami.

Lecą ukochane przez Ukraińców szlagiery grupy Okean Elzy, „Czerwona Ruta” albo rapowy kawalek „Fajna” Skofki. Tłum rośnie, wdycha ciepły, ciepłutki wieczór. Ludzie świętują urodziny miasta i kolejny tydzień bez nalotów, które ustały jakby przy okazji tego, że rosyjskie siły skupione są na powstrzymaniu ukraińskiej ofensywy na terytorium Rosji. Święto z okazji tego, że można zapomnieć o niebezpieczeństwie gromadzenia się. Bo przecież gromadzić się nie można. Rakietę wystrzeloną z obwodu białgorodzkiego na Sumską będzie lecieć minutę. Ale nie dziś.

Światełka gasną, planowo. Kilkuset charkowian daje upust emocjom: „Putin chujło!”.

Trzy minuty przed dwudziestą trzecią, gdy zaczyna się godzina policyjna, wszystko rozplywa się nagle w powietrzu. Parę ostatnich okrzyków, ostatnie mrugnienia ulicznych lamp i miasto pogrąża się w milczącym mroku nocy.

Nocą uliczne oświetlenie się wyłącza, dla oszczędności.

Powiadomienia

Rankiem następnego dnia oczy jeszcze się kleją po szampańskiej ulicznej uroczystości, gdy pika telefon. To charkowski kanał na Telegramie. Potem pika już nieustannie.

8.02: Tramwaje numer 8 i 27 zmieniają trasę w dniach 26-30 sierpnia ze względu na remont torów. Zobacz tymczasowy rozkład jazdy.

8.04: wybuch w Charkowie.

8.06: jeszcze jeden wybuch w Charkowie.

8.06: trzeci wybuch.

8.08: siły powietrzne ostrzegają, rakietą leci na Charków.

8.08: nowa seria wybuchów w Charkowie.

Kończy się sierpień i kończy się urlop od huku, który rozrywa błonę bębenną. Wracamy do rzeczywistości. Następne dni każą zapomnieć o tym, że istnieje coś takiego jak przerwa od nalotów.

Poczucie bezpieczeństwa

30 sierpnia, popołudnie. Miasto aż trzęsie się od wybuchów kierowanych bomb lotniczych. Taka bomba zrzucona jest z samolotu nawet z odległości 70 km, jeszcze znad Rosji. Potem spada, swobodnie, na cel. Dziś: koło placu zabaw. Pięcioro zabitych, setka rannych. Wśród zabitych 14-latka. Internet obiega zdjęcie chudego dziewczęcego ciała bez głowy, które wciąż siedzi na parkowej ławce.

Tego dnia zginie również 18-letnia Nika Kożuszko. Charkowski pisarz i żołnierz Serhij Żadan, jej znajomy, pisze potem, że niedługo przed śmiercią wysłała mu swój ostatni rysunek. Nika była związana z charkowskim środowiskiem artystycznym. Poprzedniego dnia uczestniczyła w otwarciu wystawy w Yermilov Centre, jednej z nielicznych otwartych tu galerii sztuki. Przyjaciele Niki publikują filmik, na którym Nika skacze na małej trampolinie będącej częścią ekspozycji.

Wystawa „Sense of safety” (Poczucie bezpieczeństwa) powstała w odpowiedzi na stan ducha charkowian, rozedrgany, bezustannie niepokojony, a jednak przekorny, szukający przestrzeni normalności, własnej strefy komfortu, aby nie oszaleć. Nie ma tu ekspozycji ociekającej krwią,



Charkowianie świętują 370. rocznicę założenia miasta, koniec sierpnia 2024 r.

nie ma drastycznych obrazów. Jest delikatność i medytacyjny głos, który instruuje, jak spokojnie oddychać. Jak poczuć się bezpiecznie, jak odzyskać równowagę.

Organizatorzy tłumaczą, że u podstaw ich projektu leży historia: na początku inwazji Yermilov Centre służyło tutejszej wspólnocie artystycznej za schron przeciwniczy, nie zaprzestając jednocześnie działalności.

Nasze codzienne zwycięstwo

Dom kultury Art Area schowany jest w bezpiecznej piwnicy. Także on jest otwarty.

– Uderzenie mniejszej bomby lotniczej powinny wytrzymać – scenicznym szepem ocenia ktoś na widowni. Odruchowo rozglądamy się po betonowych ścianach.

Gaśnie światło, gdzieś miga charakterystyczna łysina. Dziś premiera filmu „Uwaga, życie toczy się dalej”. To dokument o Hamlecie Zinkowskim, który po wyzwoleniu Charkowszczyzny ruszył do zniszczonego miasta Izjum, by tam tworzyć.

Przed projekcją prowadzący proszą o minutę ciszy. Pokaz odbywa się kilka godzin po ostatnim nalocie, który zabił kolejnych kilku mieszkańców. Następ-

nego dnia, jak zawsze w Charkowie po każdym śmiertelnym ataku, ogłoszona zostanie żałoba, a ogromna flaga państwowa powiewająca na maszcie w śródmieściu – opuszczona do jego połowy.

– Dzisiejsze spotkanie to nasza codzienna troska o zdrowie psychiczne, nasze codzienne bycie ze swoimi – mówi prowadząca wieczór. – Naszym zwycięstwem nie musi być żadne dojście do Kremla, tylko nasze codzienne zwycięstwo nad swoim strachem.

Zebrani w Art Area zdecydowanie hołdują pogładowi, że wojna nie powinna ograniczać wydarzeń służących i kulturze, i rozrywce. A nawet że powinno się je promować. Często łącząc z wolontariatem na rzecz armii.

Nadzieja

Nadzieja pojawia się na Sumskiej jak piękny duch – chwilę po tym, jak nad głowami przechodniów rozniósł się huk wybuchów. Wiosną zobaczyłam ją po raz pierwszy w śródmieściu, również w takich okolicznościach. Spojrzała wówczas na niebo i nieco rozkojarzonym głosem zapytała: „Kto tak strzela, na Boga, nasi czy oni? Eh, drogie dziecko, przyjdzie czas, kiedy będziemy znowu śpie-

wać pełną piersią. Będziemy śpiewać, bo przyszedł koniec wojny”.

Nadieżda jest estradową wokalistką lokalnej grupy. Zawsze ubrana z cygańską fantazją, w wymyślną suknię i z mnóstwem dodatków – istny rajski ptak, który sfrunął z paździerzowych płóci.

Huk wybuchów milknie. Wyją syreny karetek, pędzących na miejsce „przyłotów”. Nadieżda przegląda się w witrynie. Tak mogłaby wyglądać dusza tego miasta, gdyby nagle się zmaterializowała.

Megawat

Wtorek, 10 września. Premier Denis Szmyhal podaje, że elektrownia, która zaopatrywała w prąd Charków i jego okolice, została definitywnie zniszczona. Szmyhal zapowiada, że miasto otrzyma od rządu mobilne kotłownie o mocy jednego megawata; mają być jakimś takim remedium na naloty, wymierzone w infrastrukturę energetyczną. Nie tylko w Charkowie.

Za oknem jesień. Myśl biegnie w stronę zimy.

© ANTONINA PALARCZYK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



Granica polsko-niemiecka (Słubice-Frankfurt nad Odrą), 10 września 2024 r.

Migracyjny poker

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU

Rząd Scholza wzmacnia kontrole na granicach. Dla opozycji to za mało: jej politycy chcą radykalnie ograniczyć napływ azylantów. To początek głębokich zmian w polityce migracyjnej Niemiec.

OD POŁOWY WRZEŚNIA PROCEDURA WYGLĄDA tak: po przekroczeniu granicy auta muszą z wolności i przejechać koło punktu kontrolnego. Policjanci przyglądają się, kto w nich siedzi, i wrywkowo decydują o zatrzymaniu. Szczegółowo sprawdzane są tylko wybrane pojazdy. Celem jest wyłapanie osób, które chcą nielegalnie wjechać do Niemiec. Oczywiście spowalnia to ruch graniczny i powoduje tworzenie się korków.

Zaostrzone kontrole na granicach spowodowane są presją społeczeństwa – klimat wokół imigracji się zmienia. Według aktualnego sondażu DeutschlandTrend 77 proc. pytanym uważa, że potrzebna jest pilna korekta dotychczasowej polityki migracyjnej. Masowa i niekontrolowana imigracja jest dziś postrzegana jako główny problem kraju.

RZĄD NA DNIE | Politycy centrolewicowej koalicji, która w Berlinie rządzi od 2021 r., nie mogą dłużej ignorować tych sygnałów. Już teraz koalicja, na czele której stoi Olaf Scholz, a w skład której wchodzi so-

cjaldemokratyczna SPD, Zieloni i liberalowie z FDP, jest skrajnie niepopularna. Aż 84 proc. pytanym jest niezadowolonych z pracy rządu. Jako kanclerz Scholz cieszy się poparciem tylko 18 proc. respondentów.

Takie szorowanie po dnie społecznego poparcia jest w dużej mierze wynikiem braku działań w polityce migracyjnej. Ta nadal sprowadza się do akceptowania *status quo* utworzonego w 2015 r. przez ówczesną kanclerz Angelę Merkel. Niemcy w istocie przyjmują każdego, kto poprosi o azyl. Najwięcej wniosków złożono w 2016 r. (ponad 745 tys.), ale i w 2023 r. zawnioskowało kolejnych 352 tys. osób. To ponad dwa razy więcej niż w tym samym okresie we Francji.

Kontrole wprowadzone jesienią 2023 r. na granicy z Polską, Czechami i Szwajcarią zasadniczo nie zmieniły tej sytuacji. W tym roku liczba nowych wniosków o azyl wprawdzie się zmniejszyła, lecz do sierpnia zarejestrowano ich już ok. 174 tysięcy.

SYSTEM NIE DZIAŁA | Niemiecki system migracyjny jest od lat dysfunkcyjny. Przede wszystkim nie weryfikuje on, kim tak naprawdę są docierający do kraju ludzie. Każdy może udać się w drogę do Niemiec bez dokumentów i z odpowiednią „legendą”, którą opowie urzędnikom. W mediach społecznościowych nie brakuje „azytowych influencerów”, którzy po turecku lub arabsku tłumaczą, jak dostać się do Niemiec, jak złożyć wniosek i dokąd udać się po wsparcie prawne, jeśli wniosek zostanie odrzucony.

Urzędy nie radzą sobie z weryfikowaniem, kto naprawdę ucieka przed prześladowaniem i wojną, a kto chce przede wszystkim poprawić swoją sytuację życiową.

W związku z tym w społeczeństwie powstał dziś konsensus, że należałoby wstrzymać przyjmowanie nowych ludzi. Że samorządy (na nie spada główny ciężar przyjmowania azylantów-immigrantów), landy i politycy na szczeblu federalnym powinni dostać czas, by uporać się z weryfikacją tych już przybyłych oraz z integracją tych, którym udzielono azylu.

Tyle że problem jest także z integracją: brakuje zasobów, by uczyć języka i oferować edukację lub kursy zawodowe. W takich warunkach integracja staje się ekstremalnie trudna.

PRESJA OPOZYCJI | Dla opozycyjnej chadecji (CDU/CSU) kontrole na granicy to za mało. Po islamistycznym zamachu w Solingen lider CDU Friedrich Merz apeluje do rządu, aby w ogóle wstrzymać przyjmowanie nowych azylantów. To postulat efektywny, ale też radykalny w skutkach dla Niemiec, jak i innych państw Unii. Oznaczałby *de facto* wprowadzenie w kraju stanu wyjątkowego, dalsze wzmocnienie kontroli na granicach i zwracanie na nich każdego, kto nie jest obywatelem Unii lub nie ma stosownej wizy.

Reagując na decyzję niemieckiego MSW o wprowadzeniu od 16 września zaostrzonych kontroli granicznych, niemal wszystkie kraje sąsiadujące z Niemcami, włącznie z Polską, zadeklarowały już, że nie będą przyjmować osób zawracanych z niemieckiej granicy.

Nie jest zresztą jasne, jak formalnie takie zawracanie miałyby wyglądać – czy niemieccy policjanci po prostu kazaliby wracać zatrzymanym np. do Polski,

Austrii, Czech czy Szwajcarii? Takie push-backi byłyby wprawdzie zgodne z konwencją genewską – jako że wszystkie te kraje są bezpieczne – ale bez wątpienia oznaczałyby napięcia między Berlinem a tymi stolicami.

KOSMETYCZNE ZMIANY | Rząd Scholza nie przystał na propozycję chadecji. Zresztą trudno nie dostrzec w niej taktycznego ataku i elementu walki o głosy wyborców – także tych, którzy w ostatnich latach przeszli na stronę antyimigracyjnej i populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD).

Rząd zapowiada natomiast, że wraz ze wzmocnieniem kontroli osoby, które będą chciały zgłosić wniosek o azyl, najpierw trafią do przygranicznych ośrodków detencyjnych. Policja będzie miała za zadanie szybko sprawdzić, czy dana osoba nie złożyła już wniosku w innym kraju. Jeśli tak, teoretycznie miałyby być tam deportowane.

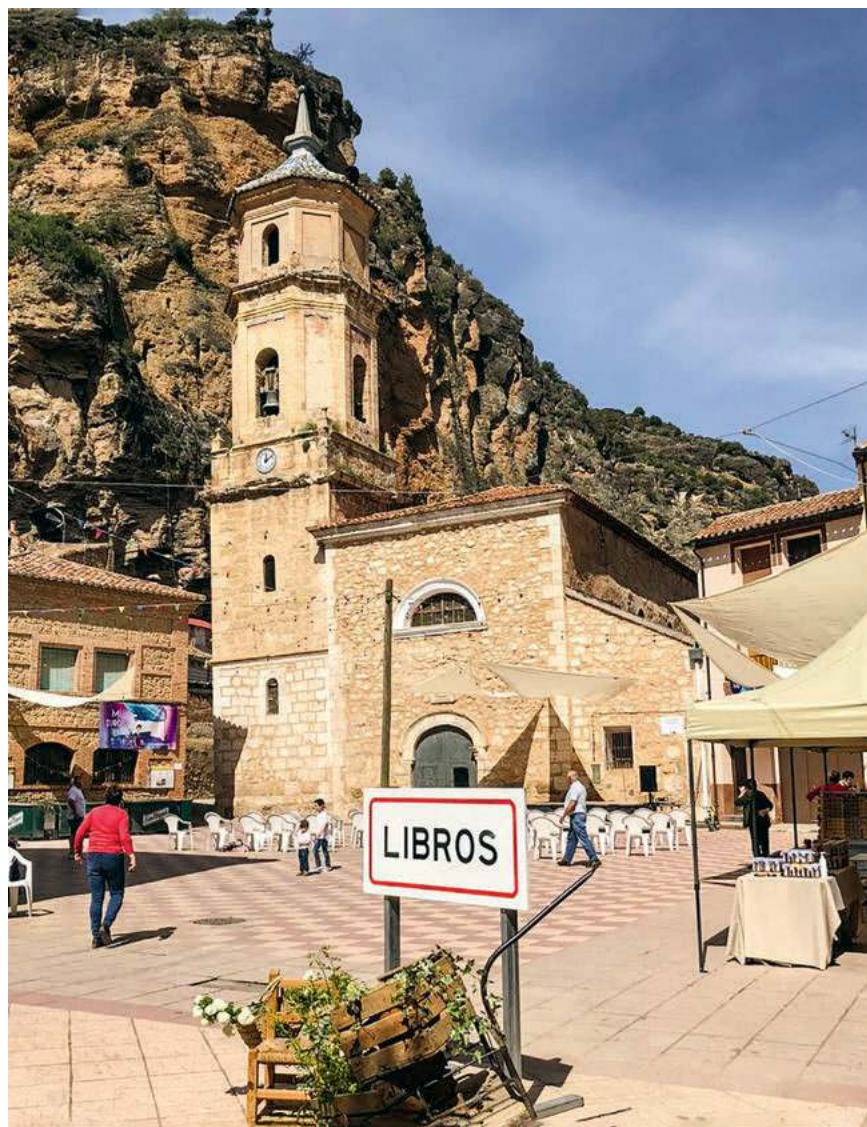
Jednak już na wstępie pojawiają się wątpliwości co do możliwości wdrożenia takich przepisów. Dotychczas inne państwa Unii nie były skore do współpracy z Niemcami w kwestii odbioru osób ubiegających się o azyl. Regulujące te kwestie unijne rozporządzenie, tzw. Dublin III, jest od wielu lat martwe.

Można sądzić, że decyzje podjęte jak dotąd przez rząd Scholza w praktyce zmieniają niewiele.

...

Niemcy stoją więc przed wciąż nierozwiązanym epokowym problemem. Tak jak w 2015 r. kanclerz Merkel wpłynęła swoją decyzją na losy własnego kraju i kontynentu, tak równie ważne będą kolejne kroki Berlina, które będą miały na celu uregulowanie chaosu migracyjnego.

W tym momencie ani w radykalnej propozycji jednostronnego zamknięcia granic, ani w kosmetycznych zmianach rządu Scholza nie widać szansy na uspokojenie sytuacji. ©



Przygotowania do festiwalu „Mi pueblo lee” w Libros, sierpień 2024 r.

Pusty środek

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA ZIELIŃSKA** Z HISPANII

Cztery na dziesięć hiszpańskich gmin są dziś zagrożone wyludnieniem. Miasteczka i wsie pustoszeją, bo nie ma tam pracy, lekarzy, szkół. W prowincji Teruel próbują temu zaradzić.

STOSY KSIĄŻEK ZALEGAJĄ W OPUSZCZONEJ szkole we wsi Libros. Niektóre w kartonach, ledwo odpakowane. Wiele nowych lub z niewielkimi śladami użytkowania.

Każdy karton to inna historia i inny kątek świata. Bo książki pochodzą z Francji, Meksyku, Argentyny, Niemiec. Potrzeba bibliotekarza, które je ułoży, sklasyfikuje. Na razie tylko nazwiska właści-

cieli książek trafiają na specjalną listę. Dla upamiętnienia.

WIEŚ EMERYTÓW | Libros leży przy drodze krajowej nr 330; od stolicy prowincji Teruel, w regionie Aragonia, dzieli ją 27 km. Teorii tłumaczących nazwę wsi (hiszp. Książki) jest kilka. Najbardziej znana wskazuje na specyficzny kształt gór, które otaczają położoną ↗

→ w dolinie wieś: dla wielu to właśnie kształt książki. Mimo nazwy, we wsi nie ma biblioteki.

Niegdyś było tu zagłębie górnicze. W powietrzu czuć jeszcze zapach siarki, krajobraz jest jałowy i niegościnny. Dziś po osiedlu górników, położonym na obrzeżach wsi i kiedyś zamieszkiwanym przez 2 tys. pracowników, pozostały ruiny.

Tutejsze kopalnie były ważnym ośrodkiem wydobywania rud siarki. Ich rozwój przypadł zwłaszcza na czas I wojny światowej: siarka była potrzebna do produkcji prochu. Kopalnia pracowała do połowy lat 50. XX w., a wraz z jej likwidacją teren zaczął się wyludniać. Dziś w Libros zostało 114 mieszkańców, głównie starszych. Poszukują spokoju, by spędzić emeryturę wśród gór.

Choć wsi grozi całkowite wyludnienie – jak wielu w tym regionie – 36-letni burmistrz, elektryk Raúl Arana Calomarde, nie daje za wygraną. Wraz ze stowarzyszeniem „Mi peublo lee” (Moja wieś czyta) i pisarzami od paru lat organizuje tu festiwale filmowe. Podczas jednego z nich zrodził się pomysł, by stworzyć hotel-bibliotekę, literacką wizytówkę Libros.

DWA W JEDNYM | Zaczęło się od tweetu Maribel Mediny, pisarki z Nawarry: napisała o zbiorce książek dla Libros. Jej wpis stał się wiralem, przekazywanym przez innych pisarzy nie tylko w Hiszpanii, ale i na świecie. Tak do Libros w ciągu roku trafiło ponad 50 tys. książek, a nowe wciąż przybywają.

– Od tamtego dnia we wsi i okolicy zaczęli pojawiać się też turyści. Mamy dwa domy gościnne, w których można przenocować. Zainteresowanie jest coraz większe. Zmieniliśmy już nazwy ulic na nazwiska słynnych pisarzy, w planach jest promena literacka z lampami, które będą zdobione cytatami z książek – mówi burmistrz w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Pod koniec 2024 r. ma ruszyć budowa hotelu-biblioteki z 20 pokojami. W czasie, gdy nie będzie turystów, w pokojach mogą mieszkać – w ramach tzw. rezydencji artystycznych – pisarze szukający spokoju w pracy nad książką.

Projekt finansuje subwencja rządu lokalnego Aragonii; wieś zabiega też o pieniądze unijne. Burmistrz wierzy, że dzięki dochodom z hotelu będzie można zatrud-



Festiwal literatury w Libros, wrzesień 2021 r.

nić na stałe bibliotekarza. Mieszkańcy liczą, że hotel i napływ turystów przyczynią się do otwarcia nowych kawiarni i restauracji, a więc do tworzenia miejsc pracy.

Szkoła w Libros, w której dziś przechowywane są nadesłane książki, została zamknięta wiele lat temu. Dwoje dzieci dojeżdża ze wsi autobusem do szkoły w Teruel; ich mama prowadzi w Libros mały bar.

Burmistrz ma więcej pomysłów, jak przywrócić świetność miejscowości. Odnalazł dawnych właścicieli kopalni; chciałby, aby dzielnica górnicza została przebudowana. W Libros potrzebny byłby też ośrodek dla osób starszych.

Burmistrz przyznaje, że nie stanie się to z dnia na dzień. Ale chodzi o to, aby jedynie miasteczko na świecie, które nosi nazwę Książki, przetrwało.

PUSTA | Przez ostatnie pół wieku ludność Hiszpanii wzrosła o 38 proc., ale populacja skupia się na wybrzeżu i w dużych miastach. Środkowa część kraju się wyludnia. Po Estonii, Finlandii i Łotwie, Hiszpania jest czwartym krajem Europy z największą liczbą gmin zagrożonych wyludnieniem (42 proc.). Mieszkańcy niektórych wyludnionych terenów stworzyli nawet partie polityczne, jak Soria iYA! (hiszp. Soria teraz) czy Teruel Existe (Teruel istnieje). Choć nie odgrywają istotnej roli, przypominają o problemie, który nazwano „España vacía” lub

„vaciada”, tj. Hiszpania pusta lub opróżniona.

Walczy z nim także wieś Burbáguena, również w prowincji Teruel. Szansą dla niej okazuje się nie turystyka, lecz ośrodek recepcyjny uchodźców. Burbáguena, oddalona o 90 km od stolicy prowincji, dawniej uchodziła za zamieszkaną tylko przez seniorów.

Dziś na ulicach znów widać młodych ludzi i dzieci na rowerach – widok niespotykany od lat. „W Burbáguena jest etap przed i po zainstalowaniu centrum Accem i przybyciu imigrantów” – mówił burmistrz Joaquín Peribáñez w rozmowie z „Diario de Teruel”. Jego zdaniem ten model nadaje się do powtórzenia w innych wsiach regionu.

WIEŚ ROŚNIE | – Ostatnie trzy lata były intensywne, czasem wyczerpujące. Ale końcowy rezultat jest pozytywny i gdybyśmy mieli jeszcze raz decydować, na pewno otworzylibyśmy to centrum dla uchodźców – mówi mi Sonia Salcedo, pomysłodawczyni ośrodka i szefowa organizacji pozarządowej Accem w prowincji Teruel. – Są tu ludzie o różnym pochodzeniu, religii i rasie. Językiem wspólnym jest uśmiech i szacunek, a my staramy się towarzyszyć każdemu z naszych mieszkańców.

Accem pomaga osobom w trudnej sytuacji, zwłaszcza imigrantom. Podczas gdy państwo prowadzi procedurę administracyjną po przybyciu uchodźcy czy imi-



Burmistrz Raúl Arana Calomarde (z lewej) i pisarz Javier Sierra w Libros, sierpień 2024 r.

granta, Accem integruje ich, uczy języka, pomaga znaleźć pracę. Działa w Hiszpanii od kilkudziesięciu lat.

Ośrodek współpracuje z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Migracji, w porozumieniu z nim do Burbáguena trafiają nowe osoby. Zwykle spędzają w ośrodku kilka miesięcy, maksymalnie osiem. – Gdy przybywa nowy uchodźca, słuchamy jego historii, oceniamy, czego potrzebuje. Pomagamy im się usamodzielniać, aby po kilku miesiącach mogli znaleźć mieszkanie i pracę – mówi mi Elena Orús, dyrektorka ośrodka.

Przez trzy lata istnienia centrum pomogło ponad tysiącu uciekinierów, głównie z Wenezueli, Kolumbii, Peru, Hondurasu, Ukrainy, Mali i Senegalu. Prawie sto osób zostało w regionie i znalazło pracę. Większość w sektorze produkcji wieprzowiny, z czego słynie prowincja (Hiszpania to czwarty na świecie producent wieprzowiny, po Chinach, USA i Niemczech).

Dzięki imigrantom populacja Burbáguena wzrosła z 200 do 357 osób (mogłoby być więcej, ale we wsi brakuje domów na wynajem). Znow otwarto przedszkole, nowe kawiarnie, fryzjera, a centrum seniorów zyskało nowych pracowników.

INTEGRACJA | Niektórzy mieszkańcy ośrodka są wolontariuszami w centrum dla seniorów. Z osobami chorującymi na Alzheimera pracuje 34-letni Néstor z Wenezueli, który w grudniu 2023 r. przybył

do Hiszpanii, a od maja mieszka w Burbáguena.

– Najpierw trafiłem do Saragossy. Chciałem płakać, gdy chodziłem od drzwi do drzwi, prosząc o pomoc, a wszyscy mnie ignorowali. W końcu trafiłem tutaj. W ośrodku ciebie szanują, starają się zapłacić pustkę po rodzinie. Oczywiście wciąż pojawiają się u mnie stany depresyjne i nostalgia, ale zawsze jest ktoś, kto podejdzie i przytuli – mówi mi Néstor.

Dodaje: – Nie rozumiem ukraińskiego, ale jak przechodzą chłopaki z Ukrainy i obdarowują ciebie uśmiechem, to on jest więcej wart niż słowa. Jesteśmy w podobnej sytuacji i razem staramy się przez to przejść.

Néstor pochodzi z miasta Rio Caribe, przez ostatnie 8 lat pracował jako urzędnik w stolicy za 50 dolarów miesięcznie. – Nie chodzi tylko o te nędzne pensje. Niszczyła mnie ciągła presja. Jeśli pracujesz dla rządu, musisz zachowywać się w określony sposób. Trzeba chodzić na wszystkie wydarzenia rządowe. Miałem dość – mówi.

W październiku Néstor dostanie pozwolenie na pracę. Chce skończyć kurs i pracować w turystyce: – Rozpoczynanie wszystkiego od zera budzi strach, tęsknię za rodziną, ale chcę w Hiszpanii zbudować moje życie od nowa.

MARZA O POLSCE | Również María Alejandra, która pod koniec czerwca trafiła do ośrodka wraz z mężem i 13-letnią córką,

jest z Wenezueli. Ma też polskich przodków: jej dziadkowie byli polskimi Żydami, którzy podczas II wojny światowej uciekli do Wenezueli.

Jest prawniczką, podobnie jak znaczna część jej rodziny. Już podczas pierwszych lat rządów dyktatora Hugo Cháveza jej rodzina protestowała. W 2002 r. podpisali manifest przeciw jego władzy, co sprawiło, że trafili na czarną listę opozycjonistów. María Alejandra: – Zabrano nam prawa obywatelskie. Nie mieliśmy co włożyć do garnka. Uniwersytet, na którym mój ojciec był profesorem, przejęli socjaliści, represje stały się nie do zniesienia.

We troje uciekli do Peru. Mówi, że po kilku latach, gdy zaczęli wychodzić na prostą, zaczęły się kradzieże i pogrozki: – Wpadłam w depresję. Policja mówiła, że nam nie pomoże, bo jesteśmy z Wenezueli. Zrozumieliśmy, że znowu musimy uciekać.

Mówi, że w Hiszpanii zakochała się od pierwszego wejrzenia: – Gdy dotarłam do ośrodka, nie wiedziałam, jak się zachować. Po raz pierwszy w życiu widziałam osoby z Afryki, muzułmanów i Ukraińców. Z zewnątrz się różnimy, ale traktujemy się jak rodzina. Mąż lubi gotować wspólnie z chłopakami z Afryki.

Teraz starają się odbudować swoje życie na nowo. Marzą o podróży do Polski, bo chcą poznać swoje korzenie. Wystąpili o polskie obywatelstwo, czekają na decyzję.

KRAJ SIĘ STARZEJE | Już teraz w 48-milionowej Hiszpanii są 3 mln seniorów w wieku ponad 80 lat, a w ciągu kolejnych 15 lat ich liczba wzrośnie do 4,5 mln – prognozuje Krajowy Instytut Statystyczny. Instytut szacuje też, że do 2038 r. przyjdzie na świat 9 proc. mniej dzieci niż w ciągu ostatnich 15 lat. – Kryzys demograficzny w Europie i Hiszpanii, wyludnianie miasteczek i wsi sprawia, że publiczne usługi, jak edukacja, ochrona zdrowia czy wypłata emerytur będą w przyszłości zależeć od imigrantów – uważa Sonia Salcedo.

Takich ludzi jak Néstor i María Alejandra, którzy co roku trafiają do Burbáguena, są setki. Nie wszyscy zostają tu na stałe. Ale każda osoba, która zdecyduje się pozostać w regionie, to szansa na przetrwanie dla tego wyludniającego się regionu Hiszpanii.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Litewscy Młodopolacy

ZBIGNIEW ROKITA Z WILNA I SOLECZNIK

Mniejszość polska na Litwie kojarzyła się dotąd z flirtem z Kremlem. Na czym polega zmiana pokoleniowa i polityczna, która się w niej dokonuje? Zapytaliśmy o to jej przedstawicieli.

CO JEST JEGO PIERWSZĄ, NAJBLIŻSZĄ SERCU ojczyzną: Polska czy Litwa? – pytam 33-letniego Roberta Duchniewicza, Polaka z Litwy, który w 2023 r. wywołał sensację, wygrywając wybory na mera rejonu wileńskiego.

– Moją ojczyzną jest oczywiście Litwa. Tu się urodziłem i wychowałem, tu mam bliskich. Nigdy nie miałem takiego dylematu – mówi Duchniewicz.

Takie odpowiedzi od młodszego i średniego pokolenia litewskich Polaków słyszę od lat. Niektórzy mówią wprost: Polska jest dla nas tym, czym dla Kanadyjczyka czy Nowozelandczyka jest Anglia.

Nigdzie indziej poza Polską Polacy nie stanowią tak dużej części społeczeństwa i nie odgrywają tak znacznej roli politycznej. Według spisu z 2011 r. co piętnasty obywatel Litwy (liczącej dziś 2,8 mln obywateli) był Polakiem. Z tego w Wilnie – co szósty.

Tymczasem wiele wskazuje na to, że będą oni odgrywać w litewskim państwie i społeczeństwie coraz większą rolę.

W sojuszu z Rosjanami

Po tym, jak w 1990 r. kraj odzyskał niepodległość, przez długie lata litewscy Polacy byli aktywni niemal wyłącznie w jednej partii: Akcji Wyborczej Polaków na Litwie (AWPL). To ugrupowanie narodowo-konserwatywne, do niedawna działające w aliansie z partią mniejszości rosyjskiej. Stąd litewskich Polaków często utożsamiano z AWPL. Ta zaś, choć cztery razy wchodziła do koalicji rządowej, budziła wiele kontrowersji.

Po pierwsze, za sprawą swojego konserwatyzmu. Za zbyt radykalizm upominał ją nawet litewski Kościół. Nieprzecznie religijnych Litwinów dziwiło, gdy w 2009 r. samorząd rejonu wileńskiego, zdominowany przez AWPL, przyjął „akt intronizacji Chrystusa Króla”.

Po drugie, chodziło o prorosyjskie poglądy jej polityków. Np. Zbigniewa Je-

dzińskiego, jej „jedyński” w wyborach parlamentarnych jesienią 2020 r. Wzywał on do zrzucenia bomby na Kijów i popierał Łukaszenkę, który dwa miesiące wcześniej sfalszował wybory prezydenckie. Z kolei lider AWPL Waldemar Tomaszewski nosił – zaraz po aneksji Krymu – tzw. wstążkę georgijewską, symbol rosyjskiego neoimperializmu.

Choć nawet w Akcji były granice. Wiosną 2022 r. Tomaszewski wyrzucił Jedzińskiego z partii, gdy ten napisał na Facebooku: „Polska powinna czym prędzej porzucić UE i NATO, i założyć sojusz z Rosją. Będzie to najsilniejszy sojusz państw słowiańskich, oparty na wartościach chrześcijańskich i prorodzinnych, który będzie służył obywatelom Polski, a nie komuś tam zza oceanu”.

Zmiana pokoleniowa

Dlatego taką sensacją – dla społeczności polskiej i dla całego kraju – była wygrana Duchniewicza: w 2023 r. wybrano go na mera rejonu (powiatu) wileńskiego, zamieszkanego w większości przez mniejszości narodowe, głównie Polaków. W ten sposób, po raz pierwszy od reformy administracyjnej z 1994 r., merem nie został tu polityk AWPL.

Duchniewicz ma znaczną władzę, może nawet większą niż premier niemieckiego landu. Jest wykształcony, wygadany i przystojny. Reprezentuje Socjaldemokrację, dziś opozycyjną.

Utracie przez AWPL monopolu na reprezentowanie Polaków towarzyszy zmiana pokoleniowa. Tomaszewski urodził się w 1965 r., a rządzący sąsiednim rejonem sołecznickim Zdzisław Palewicz – w 1961 r. (ten zdążył być jeszcze pierwszym sekretarzem miejscowego Komsołmołu, sowieckiej organizacji młodzieżowej).

Dziś powoli zastępuje ich pokolenie ich dzieci, które wyrosło już w niepodległym kraju. To np. ministra sprawiedliwo-

ści Ewelina Dobrowolska, rocznik 1988. Albo doradczyni Duchniewicza, dziennikarka i społeczniczka Ewelina Mokrzecka, rocznik 1984. Są niewiele starsi od wolnej Litwy. Duchniewicz jest nawet młodszy.

Polacy mają już wybór

Problemy mniejszości narodowych coraz bardziej stają się dziś problemami ogólnonarodowymi, inne partie wciągają je na sztandary. Dzięki temu o polskie sprawy walczyć nie trzeba już tylko w strukturach AWPL. Dla Litwinów Duchniewicz to najpierw polityk Socjaldemokracji, a dopiero później Polak. Podobnie Ewelina Dobrowolska: w pierwszej kolejności jest dla nich polityczką współzrządzającą Partii Wolność i od 2020 r. ministram, a dopiero później Polką.

Sukcesy Duchniewicza i Dobrowolskiej pokazują polskiej społeczności, że możliwy jest awans społeczny bez konieczności lituanizacji. Pokazują też, że Polacy, chcąc głosować na „swoich”, mają wybór – i nie muszą wybierać tylko Akcji. To nowość.

– Mniejszość polska się zmienia – mówi mi 36-letnia Dobrowolska. – W partiach ogólnolitewskich pojawiają się młodzi polscy politycy, a te partie są na nich otwarte. Nie wiem, czy 10 lat temu Polak z partii liberalnej albo lewicowej dostałby się do parlamentu, tak jak ja. Albo czy wygrałby wybory na mera rejonu, jak Robert.

– Ale, z drugiej strony, trudno było sobie też wówczas wyobrazić, by ogólnolitewska partia mogła mieć w programie postulaty mniejszości narodowej – przyznaje Dobrowolska.

Trochę historii (najnowszej)

Dobrowolska ma rację: w ostatniej dekadzie wiele się zmieniło także po stronie litewskiej. Dla relacji litewskiej większości z polską mniejszością coraz mniejszą rolę odgrywa zarówno historia, jak też stan relacji Wilna z Warszawą.

Komunizm na ogół nie rozwiązywał konfliktów narodowościowych, a jedynie ich „zakazywał”. Po upadku Związku Radzieckiego niektóre wybuchły na nowo (np. ormiańsko-azerski). Wprawdzie po 1990 r. konflikt polsko-litewski nie przerodził się w wojnę o Wileńszczyznę, ale też nie zniknął. Między obiema stolicami było wiele punktów spornych, a ofiarą tego stanu rzeczy padali litewscy Polacy.



MATERIAŁY PRASOWE / MONTAŻ „1P”

Od lewej: ministra sprawiedliwości Ewelina Dobrowolska, mer rejonu wileńskiego Robert Duchniewicz i Ewelina Mokrzejka, jego doradczyni.

Przez długi czas wielu Litwinów patrzyło na polską mniejszość właśnie przez pryzmat historii; wspominano aneksję Wilna przez Piłsudskiego w 1920 r. Zaufaniu nie sprzyjała też postawa części litewskich Polaków w chwili, gdy Litwini walczyli o wolność: w 1990 r., gdy w litewskiej Radzie Najwyższej głosowano akt niepodległości, nie poparła go jedynie szóstka polskich posłów. W tym czasie inni Polacy próbowali powołać Polski Kraj Narodowo-Terytorialny (twór odrzucający litewską niepodległość); na szczęście nie stał się on kolejną Abchazją.

Dziś pamięta się o tym coraz mniej, zwłaszcza w pokoleniu Duchniewicza i Dobrowolskiej.

Gdy ogon macha psem

Na lepsze relacje litewskich Polaków z Litwinami wpływa też polepszenie relacji Wilna z Warszawą.

Do 2004 r. Polska była dla Litwy „adwokatką” jej ucieczki ze Wschodu na Zachód. Gdy w 2004 r. także Litwa przystąpiła do UE i NATO, pojawiło się pytanie: jaką treścią wypełnić teraz dwustronne stosunki?

Wcześniej niektóre rządy w Warszawie stawiały na AWPL jako na „polską” partię, ale z czasem ogon zaczął machać psem. W 2011 r. w Ostrej Bramie premier Donald Tusk mówił: „Relacje między Polską a Litwą będą tak dobre, jak dobre są stosunki państwa litewskiego z polską

mniejszością”. Z kolei Radosław Sikorski przekonywał, że noga szefa polskiej dyplomacji nie stanie w Wilnie dopóty, dopóki polskie postulaty nie będą spełnione.

W ten sposób Warszawa stała się zakładniczką wewnątrzlitewskiej polityki i uzależniła się od AWPL. Jeszcze w 2016 r. litewski publicysta Rimvydas Valatka komentował dla litewskiej telewizji: „Relacje polsko-litewskie są jak nigdy dotąd chłodne. (...) Stosunki dyplomatyczne są nawiązane, poczta i inna łączność pomiędzy sąsiednimi państwami działa – i tyle”.

Tę politykę zmieniło – choć nie od razu – Prawo i Sprawiedliwość. Litwa była krajem, z którym PiS prowadziło bodaj najrozsądniejszą politykę zagraniczną. Dziś to, kto rządzi w Warszawie, ma już mniejsze znaczenie dla tego, jak postrzega się tu polską mniejszość.

Co się powiodło

– Na Litwie toczy się spór: czy o prawa Polaków na Litwie walczyć powinno Wilno, czy Warszawa? – mówi mi Dobrowolska. – Ja jestem pewna, że Wilno. Człowiek powinien pamiętać, jakiego państwa jest obywatelem. Ta dyskusja jest szczególnie ważna teraz, w realiach wojny rosyjsko-ukraińskiej. Bo walka o prawa mniejszości to także walka o bezpieczeństwo państwa.

Dobrowolska wymienia, jak wiele spraw dotyczących mniejszości udało się

załatwić przez cztery lata rządów obecnej koalicji konserwatywno-liberalnej: wynik matury z języka polskiego liczy się przy rekrutacji na studia; stworzono fundusz dla mediów mniejszości; po kilku dekadach sporów przyjęto ustawę o oryginalnej pisowni imion i nazwisk. Dzięki niej można zapisać w dokumentach niektóre niewystępujące w litewskim litery (np. „w”; na drzwiach ministery nie wisi już tabliczka „Evelina Dobrovolska”, tylko „Ewelina Dobrowolska”) czy zbitki literowe (dotąd nie można było zapisywać obok siebie dwóch „n”, np. imienia „Anna”). Podczas pierwszego czytania w Sejmie Litwy została przyjęta również ustawa o mniejszościach narodowych.

– Powiodło się to, gdyż udało się przekonać polityków, że sprawy mniejszości polskiej są wewnętrzną odpowiedzialnością Litwy, a nie elementem relacji polsko-litewskich. Poza tym, o ile Polska jest sojuszniczką, o tyle mamy też mniejszości rosyjską i białoruską. A przecież nikt nie chce, aby Moskwa i Mińsk miały wpływ na to, jak Wilno układa sobie relacje z tymi mniejszościami – mówi ministra.

Odrodzić społeczność

Czy sprawy Polaków rzeczywiście są załatwione? Pytam o to przedstawiciela średniego pokolenia litewskich Polaków, 49-letniego Aleksandra Radczenkę. Prawnik, wcześniej był doradcą prezydenta Gitanasa Nausėdy, a dziś doradza ➔

→ przewodniczącej parlamentu Viktorii Čmilytė-Nielsen.

– Trochę udało się załatwić, to prawda. Ale nadal wiele spraw jest zamiecionych pod dywan i one mogą w każdej chwili wybuchnąć. Np. kwestia używania języka polskiego w komunikacji z urzędami została uregulowana rozporządzeniem rządowym, ale nadal nie ma ustawowej gwarancji, a więc rząd może jej zabronić w każdej chwili – uważa Radzenko.

Ale czy załatwienie do końca polskich spraw nie zaszkodziłoby polskiej mniejszości? Czy nie sprawi, że litewscy Polacy stracą cel i zaczną się szybciej lituanizować?

– Mniejszości mają tendencję do rozpyływania się, choć ten proces można odwrócić, pokazują to Walijczycy czy Ślązacy – mówi mi Radzenko. – Musimy więc przetrwać jak najdłużej, aby doczekać momentu, gdy pojawią się ludzie i okoliczności, którzy odrodzą społeczność Polaków na Litwie.

– Jak na razie stoimy przed pytaniem: czy wolimy umacniać Polaków przez atrakcyjność, czy może przez konflikt, zamykając się w getcie? – dodaje prawnik. – Przykłady młodych Polaków idących do ogólnopolskiej polityki są właśnie takim wyjściem z getta.

W cieniu rosyjskiej inwazji

Rolę atrakcyjności podkreśla też 40-letnia Ewelina Mokrzecka, doradczyni Duchniewicza. Wcześniej była szefową redakcji mniejszości narodowych w państwowej telewizji. Pytam ją, czy to przypadek, że akurat teraz tylu Polaków w wieku 30-40 lat zajmuje eksponowane stanowiska?

– Młodzi chcą brać sprawy w swoje ręce. Polacy są bardziej świadomi siebie, swojej wartości. Odchodzimy od opowieści o uciśkanej mniejszości. Bycie Polakiem jest coraz bardziej cool – odpowiada Mokrzecka.

Jednak litewscy Polacy są po Romach najgorzej wykształconą mniejszością, a badania pokazują, że język polski ma niski prestiż – dopytuję.

– To prawda. Ale kluczowy dla postrzegania Polaków był rok 2022 i inwazja Rosji

na Ukrainę – mówi Mokrzecka. – W nie pamięć idą padające wcześniej słowa o polskim zaborze Wilna czy o „polskiej piątej kolumnie”. Teraz Polska jest kluczowym partnerem Litwy, Litwini uświadomili sobie, jak wiele ich z Polakami łączy.

Inaczej mówiąc: po 24 lutego 2022 r. doszło na Litwie do rozłączenia kwestii polskiej i kwestii rosyjskiej. Pomogła temu także Dobrowolska, która wystosowała wniosek do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze w sprawie zbrodni popełnionych przez reżimy Putina i Łukaszenki na terytorium Ukrainy.

Jak żyć bez litewskiego?

Choć czasem te kwestie w głowach Litwinów spotykają się na nowo. Choćby wiosną tego roku, podczas wyborów prezydenckich.

Siedmiotysięczne Soleczniki to nieformalna stolica litewskich Polaków. Leżą 50 km od Wilna, blisko granicy z Białorusią. Miasteczko ma pomnik Mickiewicza (wieszcz wygląda jak Mały Książę) i jedno skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną, na które przyjeżdżają zdający na prawo jazdy z całej okolicy.

Tu, w Solecznikach, podczas wiosennych ogólnokrajowych wyborów prezydenckich blisko 40 proc. otrzymał profesor medycyny Eduardas Vaitkus. Krytykuje on NATO i USA, i wzywa do „pojednania z Rosją”.

– Soleczniki żyją w swojej bańce, traktują Wilno jako coś odległego. Prawie nikt nie przyjeżdża tu z Wilna z warsztatami czy szkoleniami, dzieci mają tu problem z językiem litewskim. Sztab Vaitkusa jako jedyny zainteresował się Solecznikami, przyjechali jego agitatorzy, wszędzie były ulotki – mówi Mokrzecka.

Ale czy da się tu żyć, nie znając litewskiego? – Oczywiście. Mój teść żyje w Wilnie całe życie i nigdy się go nie nauczył w stopniu płynnym – mówi Mokrzecka.

Pytam Roberta Duchniewicza, czy w rejonie wileńskim Polacy są zintegrowani. – Nie, nie są w pełni zintegrowani. Czekają na wiele pracy. Zwłaszcza że część litew-

skich polityków nie jest zainteresowana tym, by Polacy zintegrowali się z resztą społeczeństwa. Widać to zwłaszcza na pograniczu litewsko-białoruskim. Inna sytuacja jest w Wilnie – odpowiada.

Rosyjski na ulicach

Znaczna część Polaków na Wileńszczyźnie nadal ma prorosyjskie poglądy. W miasteczkach, które są uważane za tradycyjnie polskie, na ulicach słychać głównie rosyjski. Choć rosyjska telewizja jest zakazana, to dla ogromnej części Polaków z tych rejonów nadal stanowi główne źródło informacji. Również o Litwie.

Wprawdzie Wileńszczyźnie nie grozi „donbasyzacja”, ale to poważny problem.

Mariusz Antonowicz – 33-letni litewski Polak, politolog i wykładowca – tłumaczył mi niedawno, że w litewskim społeczeństwie istnieje lęk przed Rosją, który przejawia się na dwa różne sposoby: jedni chcą zbroić się, aby móc się przed nią bronić, a inni wolą, aby Wilno się nie wychylało i nie drażniło Putina.

Znajomi litewscy Polacy oceniają, że odsetek osób o poglądach antynatowskich i prorosyjskich wśród Polaków to około 35 proc., a wśród Litwinów 10-15 proc. (i jak wynika z badań, to oni, a nie Polacy, stanowili większość elektoratu Vaitkusa).

Polak na premiera?

W październiku w Litwie odbędą się wybory parlamentarne. Szefem sztabu wyborczego Socjaldemokratów został Robert Duchniewicz.

– Czy litewskie społeczeństwo jest gotowe na to, aby Polak był premierem Litwy? – podpytuję Duchniewicza. Słyszałem tu i ówdzie, że po wyborach mógłby on stanąć na czele rządu.

– To zwycięska partia nominuje kandydata na szefa rządu, więc to w pierwszej kolejności pytanie o myślenie litewskich elit – odpowiada. – I tak, myślę, że poza skrajną prawicą litewscy politycy byliby dziś na to gotowi. Ale nie jestem pewien, czy gotowe byłoby już litewskie społeczeństwo. Ono wciąż ma w głowach wiele negatywnych stereotypów.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i dramaturgiem. Laureat nagrody Nike, autor książek „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” i „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odrzyskanych”. Stały współpracownik „TP”.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



HISTORIA

*Szpital dziecięcy przy ul. Strzeleckiej w Krakowie
na rycinie z 1877 r.*

NA RATUNEK DZIECIOM

Choć był okupacyjnym urzędnikiem – w latach 1942-44 szefem szpitali dziecięcych w Krakowie – pediatra Josef Ströder dobrze zapisał się w pamięci Polaków. Gestapo wszczęło śledztwo.

PIOTR HAPANOWICZ

BYŁ MARZEC 1942 R., APOGEUM NIEMIECKIEJ OKUPACJI. Wśród polskich lekarzy, zebranych w sali Szpitala Dziecięcego imienia św. Ludwika w Krakowie, wyczuwało się napięcie. Wezwano ich, by zapoznali się z nowym dyrektorem. Niemcem, rzecz jasna.

Doświadczenia z dotychczasowym szefem mieli jak najgorsze. Johannes Müller, lekarz i podporucznik SS, kierował szpitalem od 1939 r. tak, że ta placówka dla polskich dzieci (niemieckie leczono osobno) przypominała mały obóz koncentracyjny. Müller stosował represje wobec polskich lekarzy i pielęgniarzek, a małych pacjentów traktował jak więźniów. Oddziały

były przepełnione, racje żywnościowe głodowe.

Jaki będzie jego następcą?

POWITANIE | „Zostaliśmy wszyscy tu obecni, panie i panowie, koleżanki i koledzy, no i ja, skazani na wspólną pracę” – to były jedne z pierwszych słów, które od niego usłyszeli.

Josef Ströder – tak przedstawił się im młody pediatra. Obejmował funkcję komisarzycznego zarządcy (to oficjalny tytuł) Kliniki i Szpitala Dziecięcego imienia św. Ludwika przy ul. Strzeleckiej oraz szpitala dla dzieci niemieckich przy ul. Kopernika.

Można sobie wyobrazić zdumienie polskiego personelu, gdy usłyszeli ko-

lejne słowa Stródera (ten prowadził zapiski, stąd znamy ich treść): „Proponuję Państwu zatem, abyśmy tę klinikę uznali za obszar eksterytorialny, za wyspę pokoju. Niech tu nie będzie polskich i niemieckich pacjentów, tylko chore dzieci; niech nie będzie polskich czy niemieckich lekarzy, niech będą tylko lekarze, którzy tu wspólnie w pokoju działają. Jeśli państwo uznają i przyjmą mój pogląd na nową wspólną pracę, to na pewno w końcu zostaniemy przyjaciółmi”.

KORZENIE | Kim był? I skąd wzięła się taka jego postawa, dla administracji okupacyjnej zupełnie nietypowa?

→ Gdy Ströder obejmował urząd w Krakowie, miał 30 lat. Urodzony w Mömerzheim, wiosce koło Bonn, pochodził z katolickiej rodziny chłopskiej. Wychowywał się w domu przybranych rodziców, jak pisał we wspomnieniach, zgodnie z benedyktyńską zasadą „módl się i pracuj”, która „pozostawała dla mnie wypróbowaną i szczęśliwą wskazówką na całe życie” (do końca życia pozostał praktykującym katolikiem).

Gimnazjum imienia Beethovena w Bonn, do którego trafił w 1921 r., cieszyło się w prowincji reńskiej prestiżem. Wynikał on z wychowywania uczniów w duchu humanizmu, zgodnie z ideałami filozofów antyku i myślicieli chrześcijańskich.

Ströder wspominał, że ta szkoła „nauczyła swoich wychowanków krytycyzmu, co pozwoliło niektórym z nich oprzeć się nierozumnym i niemoralnym wpływom, a więc i narodowosocjalistycznym fanfantom, uwodzeniu, zniewoleniu”. Zarazem jednak, w innym miejscu, z rozgoryczeniem stwierdzał: „Nie czyniono na lekcjach nic, aby ocalić honor łzonej często już wówczas, we wczesnych latach dwudziestych, Republiki Weimarskiej, nic dla popularyzowania naszego demokratycznego ustroju”.

W 1930 r. zaczął studiować medycynę we Fryburgu Bryzgowijskim, potem w Bonn. Miał szczęście, że był uczniem lekarzy światowego formatu, jak anatomopatolog Ludwig Aschoff czy specjalista chorób wewnętrznych Siegfried Thannhauser. We Fryburgu kształcił się zaś w dziedzinie pediatrii u Carla T. Noeggeratha.

ANTYNAZISTA | Na studiach Ströder należał do katolickiej korporacji studen-

kiej Cartellverband, odcinającej się od NSDAP. Podkreślał potem, że „szczęśliwie” czasy studenckie zakończyły się po 30 stycznia 1933 r., po dojściu do władzy Hitlera. Odtąd „społeczność uczących i nauczanych maszerowała w brunatnych koszulach”.

Gdy ustawy norymberskie w 1935 r. pozbawiły żydowskiego profesora Thannhausera jego stanowiska i musiał on opuścić Rzeszę, Ströder był jednym z dwóch studentów, którzy mieli odwagę pożegnać wykładowcę na dworcu kolejowym.

W 1936 r. uzyskał stopień doktora nauk medycznych we Fryburgu. Następnie pracował na Uniwersytecie w Bonn i w Klinice Dziecięcej na Uniwersytecie we Fryburgu. W 1941 r. uzyskał habilitację, został docentem.

Trwała wojna. Zmobilizowany, przez rok służył w Luftwaffe jako lekarz. Jego wypowiedzi krytykujące narodowy socjalizm i przywódców uznano za antypaństwowe. Sąd wojskowy wszczął przeciw niemu dochodzenie, groziła mu karnia.

Z kłopotów wybrał go jego przełożony, dzięki któremu Ströder został przeniesiony do pracy biurowej w Ministerstwie Lotnictwa w Berlinie. Następnie wystarał się dla swego podwładnego o posadę poza Rzeszą.

W ten sposób w 1942 r. Ströder został skierowany do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie Niemcy, coraz liczniej tam przybywający, potrzebowali niemieckiej opieki lekarskiej. Oddelegowanie poza Rzeszę przerwało kompletowanie dowodów przeciw niemu przez Gestapo.

Do Krakowa wyruszał wraz z żoną Luizą, jak pisał, „z lekkim bagażem i ciężkim sercem”.

WYSPA | Obietnicy, którą złożył obejmując 6 marca 1942 r. funkcję szefa dziecięcych szpitali w Krakowie, dotrzymał: zmiana, jaka odtąd nastąpiła, była zasadnicza. Ströder nie robił różnic między dziećmi – tak samo troszczył się o niemieckie, jak i polskie. Wobec braku żywności i lekarstw, aby ratować polskie dzieci, udostępniał leki i odżywki przeznaczone dla dzieci niemieckich. Żeby pozyskać środki dla funkcjonowania szpitala, wykorzystywał znajomości wśród nazistowskich prominentów i esesmanów, których dzieci leczył.

W ten sposób klinika przy Strzeleckiej stała się niemalże oazą spokoju.

Z czasem Ströder wtajemniczany był przez polskich współpracowników w wiele spraw niebezpiecznych. Reszty się domyślał. Za jego wiedzą przyjmowano do leczenia dzieci żydowskie. Wystawiał nocne przepustki ludziom, którzy nie powinni ich mieć, dla celów tylko im wiadomych. Przekazywał wiadomości zasłyszane od niemieckich urzędników. Nie dopuszczał do wywozek na roboty, angażował się w pomoc aresztowanym polskim lekarzom, a nawet, bywało, wyciągał z więzienia.

Polski lekarz Karol Barta wspominał: „Przyjaźń, która związała niemieckiego szefa [Strödera] z jego polskimi asystentami, nie zrodziła się na bankiecie, gdzie ją wyrażają politycy, lecz w obliczu ciągłego zagrożenia życia”.

REALIA | To z rozmów z polskimi współpracownikami dowiadywał się też o realiach okupacji. Wspominał o sobie i żonie: „Byliśmy w podobnej sytuacji jak wielu innych Niemców. Dopóki nie byliśmy w Krakowie, wiedzieliśmy o obozach tyle, co nic. Wydawało nam się, że

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

WROCŁAW, sobota, 21 września, godz. 16.00, Rozmowy w ogrodzie: Koniec wojny pokoleń – spotkanie dyskusyjne wokół tekstu prof. Marcina Napiórkowskiego („TP”, nr 31), ul. Makowa 45.

GLIWICE, środa, 25 września o godzinie 18.00. Stacja Artystyczna Rynek, Rynek 4/5. Spotkanie z Katarzyną Szyngierą i Mirosławem Wleky, współautorami książki: „Rok 1989. Pozytywny mit” oraz jedną z bohaterek, Danutą Kuroń. Prowadzenie: Adam Jasione

BIELSKO-BIAŁA, czwartek 26 września o godz. 17, Willa Sixta, ul. Mickiewicza 24, spotkanie autorskie autorskie z Tomaszem Terlikowskim wokół książki „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski” Prowadzenie Janina Rogolińska-Pieronek.



ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ARCHIWUM SZPITALA DZIECIĘCEGO IM. ŚW. LUDWIKA W KRAKOWIE

Prof. Josef Ströder, okres powojenny

był to rodzaj zakładu poprawczego, najprawdopodobniej z bardzo surowymi przepisami i twardym reżimem. (...) Nie wiedzieliśmy dokładnie, kogo i za co wysyła się do obozu koncentracyjnego, tym bardziej nic na temat potwornych okrucieństw (...). O wszystkim tym dowiedzieliśmy się więcej, aczkolwiek na pewno nie do końca, w Krakowie”.

W Krakowie Ströder prowadził też badanie kliniczne i teoretyczne dyfterytu (błonicy) – przy czym były to badania polsko-niemieckie. Brali w nich bowiem udział Polacy, m.in. prof. Józef Kostrzewski i dr Franciszek Groër.

ZARZUTY | Utrzymywanie osobistych kontaktów towarzyskich z Polakami (co nie było dopuszczalne przez władze okupacyjne), jego interwencje w sprawach aresztowanych, krytyczne wypowiedzi o narodowych socjalistach, a także uchylanie się od udziału w niemieckich uroczystościach – wszystko to powodowało, że był coraz bardziej postrzegany przez rodaków jako „element niepewny”.

Wiosną 1944 r. Ströder dowiedział się, że Gestapo prowadzi śledztwo przeciw

niemu. Najbardziej niebezpieczny był zarzut „Polenfreundschaft”, przyjaźni z Polakami.

W porę ostrzeżony, Ströder cytuje treść zarzutów we wspomnieniach: „Kierownik kliniki dziecięcej [tj. on] zaczyna dyżur serdecznym uściskiem dłoni swojego polskiego ordynatora. W czasie wizyty u chorych padają z jego ust nieprzyjazne, obraźliwe, wręcz dyskredytujące wypowiedzi pod adresem narodowego socjalizmu i jego przywódców. Popiera całkowicie ludność polską. Podejrzewa się, że przyjmuje i leczy w ukryciu dzieci żydowskie. Jest niezwykle szczodry w wystawianiu nocnych przepustek. Kierownik kliniki walczy namiętnie o zwalnianie słusznie zatrzymanych lekarzy polskich i członków ruchu oporu”.

Zarzutem było też, iż codziennie rano modli się w kościele Mariackim.

Urząd dyrektora kliniki przy Strzeleckiej pełnił do października 1944 r. Musiał zniknąć z Krakowa, zanim zostałby postawiony w stan oskarżenia. Znow dzięki pomocy dawnego przełożonego został zawieszony do Głównego Wydziału Zdrowia w Berlinie i formalnie zwol-

niony ze służby w GG. Końca wojny do czekał na terenie Niemiec.

PO WOJNIE | W 1948 r. zaczął pracę na Wydziale Medycznym Uniwersytetu w Würzburgu (jako profesor), objął też kierownictwo tamtejszej Katedry i Kliniki Dziecięcej. Zadanie miał trudne: podczas alianckiego nalotu na Würzburg 16 marca 1945 r. klinika została zniszczona. Ströder ją odbudował. Uruchomił też ośrodek przeciwgruźliczy i przykliniczną szkołę dla dzieci. Szefem tej kliniki był przez długie 32 lata, aż do 1980 r.

W pracy naukowej koncentrował się na odporności immunologicznej w chorobach zakaźnych u dzieci, na problemach krzywicy, wirusowego zapalenia wątroby i zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych. Opublikował ponad 300 tekstów naukowych.

Pracując w Würzburgu, wspierał kształcących się tam studentów i lekarzy z Polski (zorganizował dla nich pokój gościnny nazwany *Casa Polonica*). Dzięki jego inicjatywie w hallu kliniki dziecięcej wmurowano tablicę ku czci Janusza Korczaka.

W 1963 r. otrzymał członkostwo honorowe Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, w 1976 r. Złoty Krzyż Zasługi (wręczając go, ambasador polski mówił: „Niósł [Pan] pomoc moim rodakom – dzieciom, lekarzom i zwykłym ludziom – bez względu na grożące Panu niebezpieczeństwo”), a w 1978 r. doktorat honoris causa Akademii Medycznej w Krakowie. W 1988 r. ukazał się polski przekład jego wspomnień.

Często odwiedzał Polskę. Dziennikarzowi Olgierdowi Budrewiczowi, który robił z nim wywiad, mówił: „Powiem panu w tajemnicy: jestem Niemcem z urodzenia, lecz Polakiem z mentalności i temperamentu”.

Zmarł w 1993 r., w wieku 81 lat.

■■■

Człowiek, który miał odwagę zachować się inaczej niż większość jego rodaków w czasie tamtej wojny, uratował setki dzieci. We wspomnieniach Josef Ströder zapisał: „Zbudujmy przyjaźń trwałą między naszymi krajami, by zaoszczędzić młodemu pokoleniu tych przeżyć, których piętno tak tragicznie wryło się w naszej drodze życia”.

© PIOTR HAPANOWICZ

GOŚĆ NIE Z TEJ ZIEMI

Najpierw był błysk, potem świst i huk. Meteoryt Murchison był dla geologów niespodziewanym darem z nieba. Przyniósł informacje o czasach, w których powstawały Słońce i planety.

MARZENA ZDANOWSKA



MURCHISON NIE JEST NAJPIĘKNIEJSZYM z meteorytów. W jego przekroju nie ma nic z witrażowych pallasytów, w których miodowe kryształy oliwinu otacza lśniące żelazo niklowe. Nie jest też podobny do oktaedrytów, które po przecięciu i wytrawieniu ujawniają misternie tkane z kamacytu i taenitu geometryczne wzory. Murchison jest inny. Wygląda w środku jak kawałek asfaltu. A jednak w oczach wielu naukowców to on jest największą meteorytową gwiazdą. We wrześniu mija 55 lat od jego lądowania na australijskiej ziemi.

W oparach alkoholu

Na wiele miesięcy przed dniem, kiedy meteoryt Murchison rozsypał się z hukiem po polach i pastwiskach niedaleko miejscowości o tej samej nazwie, zespoły naukowców i laboratoria w kilku krajach przygotowywały się już na badanie skał z kosmosu. Był rok 1969 i świat ekscytował się pierwszym załogowym lotem na Księżyc. Misja Apollo 11 wśród swoich celów miała m.in. przywiezienie próbek ze Srebrnego Globu. Ponad 20 kilogramów skał zebranych przez astronautów, po przebyciu kwarantanny trafiło do ośrodków naukowych, gdzie mogły być poddane najróżniejszym testom.

O badaniu księżycowych próbek będzie się później mówić, że „żaden inny materiał geologiczny nie był analizowany tak szczegółowo”. Potwierdzają to same wyniki. W skałach wykryto minerały nieznane na naszej planecie – armalkolit, trankwilit i piroksferroite. Choć należałoby tę informację uściślić – nieznane, dopóki nie odkryto ich później także na Ziemi.

W takiej atmosferze wzmożonego zainteresowania kosmosem, 28 września 1969 r. coś spada z nieba nad Australią. Zdarzenie ma wielu świadków – niektórzy widzą błysk na niebie, wszyscy słyszą świst i huk, w oknach trzęsą się szyby, zwierzęta się boją, a nad miejscem upadku nieziemskiej materii unosi się wyraźna woń denaturatu.

W pierwszej chwili nikt nie wie, co się stało. Informacja trafia najpierw na najbliższy posterunek policji, ale niedługo

później na miejsce przybywa ekipa poszukiwawcza złożona z badaczy i studentów geologii, za ich przykładem do przeszukiwania terenu dołączają mieszkańcy okolicy. W ten sposób w krótkim czasie udaje się zebrać około 100 kilogramów fragmentów różnej wielkości. To będzie bardzo istotne dla późniejszych badań – materiału jest pod dostatkiem, a jego skład nie był znacząco zmieniony przez warunki panujące na Ziemi.

Starsze niż Słońce

Murchison jest przedstawicielem tzw. chondrytów węglistych, które stanowią jedynie 4 proc. znajdujących meteorytów. Daniel Glavin z NASA nazywa je „skamieniałościami Układu Słonecznego”, ponieważ ich skład i budowa nie zmieniły się od 4,5 mld lat, zachowując w sobie zapis środowiska chemicznego i fizycznego z czasów, kiedy powstawała Ziemia i sąsiadujące planety.

Wszystkie odmiany chondrytów (te stanowią 85 proc. znajdujących meteorytów) zawdzięczają swoją nazwę chondrom, czyli malutkim, mającym zwykle od 0,1 do 4 milimetrów średnicy, kuleczkom zbudowanym z kryształów oliwinu i piroksenu. Chondry uważa się za jedną z najstarszych zachowanych do dziś próbek materii z początków Układu Słonecznego. Jeszcze nieco starsze mogą być inne rodzaje drobinek znajdujących w chondrytach węglistych – inkluzje wapińcowo-glinowe. Nazywa się je też inkluzjami wysokotopliwymi lub ogniotrwałymi, ponieważ minerały, które tworzą te wrostki, charakteryzują się wysokimi temperaturami topnienia. Oznacza to, że kiedy bardzo gorące środowisko, w którym materia skalna jest w stanie ciekłym, się ochładza, minerały wysokotopliwe jako pierwsze przejdą do stanu stałego. Gdyby temperatura miała zaś znowu wzrosnąć, byłyby ostatnimi drobkami, które ulegną stopieniu.

Na podstawie informacji na temat właściwości fizycznych i chemicznych poszczególnych minerałów i pierwiastków, można z budowy inkluzji wysokotopliwych znajdujących w meteorytach wywnioskować, co się działo w czasie, kiedy powstawał Układ Słoneczny i świadkiem jakich procesów w kosmosie była dana grudka. W chondrach da się dodatkowo analizować, co stało się z ich charakterystyczną kulistą formą. Jak tłumaczy An-

drzej Manecki w książce „Meteority. Oblicza gości z kosmosu”, w obłoku protoplanetarnym chondry zderzały się ze sobą, plastyczne ulegały deformacji, natomiast skryształizowane – uszkodzeniom lub rozbiciu. Te, które ujawniają w przekroju charakterystyczne obwódki podobne do atolu, doświadczyły prawdopodobnie szoku termicznego. Analizując skład meteorytów, naukowcy mogą więc snuć hipotezy na temat temperatury, ciśnienia i ruchów materii, jakie miały miejsce w tej części kosmosu miliardy lat temu.

Chondry i inkluzje wysokotopliwe występują w różnych meteorytach. To, co jest niezwykle w przypadku Murchisona, to materiał presolarny, czyli drobinki pyłu powstałe pod koniec życia gwiazd, które istniały w kosmosie, zanim narodziło się Słońce. To dzięki ziarnom presolarnym media swego czasu rozpiszywały się o najstarszej materii, jaką możemy badać w laboratoriach. Większość z tych znajdujących w Murchisonie – są to zazwyczaj nanodiamenty i grudki węgla krzemu – ma około 5 mld lat, pojedyncze z nich datuje się na 7 mld lat. Philipp R. Heck z Chicago Field Museum tłumaczy, że 90 proc. ziaren presolarnych w meteorycie pochodzi z gwiazdy węglowej, co można wywnioskować z ich składu izotopowego. Pod koniec życia takiej gwiazdy węgiel, obecny w dużych ilościach w jej atmosferze, jest wywiewany i staje się częścią gwiazdowego pyłu. Węgiel w komórkach naszego ciała może mieć dokładnie to samo źródło, ale materiał presolarny w Murchisonie został zachowany w swojej niezmienionej – lub niemal niezmienionej – formie.

Ciasto skalne

Wszystkie te niesamowicie stare drobinki musiało coś ze sobą połączyć. Jak pisze Manecki, są one w chondrytach węglistych obecne „w masie niskotemperaturowych, uwodnionych krzemionów oraz substancji organicznej”. Każdy z tych przymiotników ujawnił się w Murchisonie w ciekawy sposób.

Głównym składnikiem ciasta skalnego w tym meteorycie są krzemiany warstwowe, powstałe jako produkt przemiany piroksenu i oliwinu przy udziale wody. Phil Bland, geofizyk zajmujący się rekonstruowaniem początków ewolucji Układu Słonecznego na podstawie materiału z meteorytów, próbuje

Fragment meteorytu Murchison. Nazwę zawdzięcza australijskiemu miasteczku, nieopodal którego spadł w 1969 r., oraz XIX-wiecznemu brytyjskiemu geologowi Roderickowi Murchisonowi.

→ wyjaśnić, co oznaczają różne pozornie sprzeczne przesłanki na temat wody w Murchisonie. Uważa on, że na skały z meteorytu działała woda o temperaturze 20-150 stopni Celsjusza. Obecność wody w ciele macierzystym Murchisona jest niezaprzeczalna, próbki z niego pochodzące do dziś zawierają jej około 12 proc. Trudno to jednak pogodzić z innymi faktami. Fragmenty meteorytu nie mają charakterystycznych żyłek powstających w skałach, kiedy przepływa przez nie woda i w szczelinach osadzają się niesione przez nią minerały. Wydawałoby się też, że płynąca woda w większym stopniu zmieniałaby pierwotne inkluzje skalne. Bland twierdzi, że przesłanki wskazujące na obecność wody i dowody na to, że nie płynęła, można pogodzić tylko w jeden sposób – ciało macierzyste Murchisona musiało być zbudowane... z błota.

Trudno to sobie wyobrazić w znaczeniu dosłownym – kula błota latająca w przestrzeni nie bardzo pasuje do krajobrazu kosmicznego, jaki znamy. Ale jeśli modele komputerowe dostaną za zadanie połączyć chondry, inkluzje wysokotopliwe, pył gwiazdny, lód i pewną ilość izotopów promieniotwórczych (których należałoby się tam również spodziewać) w warunkach wczesnego Układu Słonecznego, wtedy rzeczywiście powstanie asteroida, w której wnętrzu panuje dodatnia, umiarkowana temperatura, materiał skalny i woda tworzą błotnistą mieszankę, a całość otacza skorupa lodowa.

Do wyjaśnienia zostaje w takim razie jeszcze „substancja organiczna”. Żeby uniknąć nieporozumień, od razu wyjaśnijmy, że nie stanowi ona w meteoroidach dowodu na istnienie życia, ale może być istotna dla badania jego źródeł na Ziemi.

Kto zasiał życie?

Wiele artykułów na temat początków życia zaczyna się podobnie jak ten na stronie Britanniki: „Pytanie o początki życia jest prawdopodobnie jednym z najważniejszych i jednocześnie najsłabiej rozumianych zagadnień biologicznych”. Do dziś nie jesteśmy pewni, w jaki sposób

z materii nieożywionej powstały pierwsze organizmy na naszej planecie.

Jeszcze na początku lat 50. XX w. nie było jasne, czy złożone związki organiczne, takie jak aminokwasy budujące białka czy zasady azotowe występujące w DNA i RNA, mogą powstawać poza organizmami. W 1952 r. naukowcy na Uniwersytecie Chicagowskim, próbując odtworzyć chemiczne warunki wczesnej Ziemi, po raz pierwszy otrzymali aminokwasy w sposób syntetyczny z prostszych substancji – wody, metanu, amoniaku i wodoru. W tym czasie nie było też wiadomo, czy substancje organiczne mogą powstać poza naszą planetą. Co prawda niektóre z nich były wykrywane w meteoroidach, jednak trudno było ustalić, czy istniały tam przed upadkiem, czy trafiły na nie jako ziemskie zanieczyszczenia.

Dużo w tej kwestii zmienia się w 1969 r. – to w Murchisonie po raz pierwszy stwierdzono jednoznacznie obecność substancji organicznych o pozaziemskim pochodzeniu. Z każdym ro-

kiem lista odkrytych w tym meteoroidzie związków się wydłuża, dziś liczone są one już w dziesiątkach – jeśli nie w setkach – tysięcy. Znajdziemy tam m.in. aminokwasy (około 100 – organizmy ziemskie korzystają z 20), wszystkie zasady azotowe znane z kwasów DNA i RNA, cukry (w tym znaną z RNA rybozę) czy kwasy tłuszczowe, z których mogłoby powstać coś na kształt pierwszych błon komórkowych. Murchison otworzył w ten sposób nowy rozdział w myśleniu o tym, jak powstało życie. Może nie musiało ono wcale zaczynać się od tworzenia substancji organicznych w warunkach wczesnej Ziemi? Może pierwsze cegiełki budujące życie dosłownie spadły z nieba?

Powrót do kosmosu

Informacje o składzie chemicznym samego meteorytu są do dziś niewysychającym źródłem kolejnych analiz i artykułów naukowych. Ale pojawiła się też pokusa, żeby sprawdzić „w terenie”, jak bardzo powszechne w kosmosie są substancje, które Murchison przyniósł na Ziemię.

Nie do końca wiadomo, częścią jakiego większego ciała meteoroid był pierwotnie, choć z każdą dekadą udaje się wyczytać coraz więcej informacji o asteroidzie, której był kiedyś kawałkiem – bo taka jest niemal na pewno jego geneza. Naukowcy są więc żywo zainteresowani badaniem wszystkich ciał skalistych Układu Słonecznego: im lepiej je znamy, tym łatwiej nam zrozumieć również i meteoroidy.

Trudno to sobie wyobrazić:
asteroida, której Murchison
musiał być kiedyś kawałkiem,
**prawdopodobnie była
wielką kulą błota.**



Fragmenty meteorytu, rozłożone na podłodze urzędu pocztowego w Murchison w 1969 r.
Kadr z filmu „Space rocks impacted this Costa Rican village in more ways than one”,
Science 2020

Warwick Holmes, inżynier pracujący dla Europejskiej Agencji Kosmicznej, przekonuje, że misja Rosetta (2004-2016) była inspirowana m.in. australijskim meteorytem. Polegała na wysłaniu sondy kosmicznej wraz z lądowikiem w pobliże komety 67P/Czuriu-mow-Gierasimienko i przeprowadzeniu na miejscu różnych analiz – wśród urządzeń było ponad 20 instrumentów badawczych. Jeden z nich miał na celu m.in. „ocenę znaczenia materii organicznej z komet jako potencjalnego prekursora bardziej złożonej materii organicznej”.

Być może jeszcze wyraźniej widać wpływ Murchisona na misje wysłane w stronę asteroid. W 2020 r. japońska misja Hayabusa2 dostarczyła na Ziemię próbki z asteroidy Ryugu, a trzy lata później amerykańska misja OSIRIS-REx sprowadziła materiał z asteroidy Bennu. W obu przypadkach naukowcy zaangażowani w projekty za cel postawili sobie zbadanie, w jaki sposób materia organiczna powstaje w środowisku pozaziemskim i czy asteroidy miały wpływ na pojawienie się na Ziemi chemicznych prekursorów życia. W artykułach naukowych relacjonujących badania materiału z Ryugu i z Bennu autorzy regularnie zestawiają uzyskane wyniki z danymi dotyczącymi Murchisona.

Co więcej, meteoryt odgrywa też w tych misjach pewną zakulisową rolę. Próbki przywiezione z asteroid są niewielkie. Udało się zdobyć około 250 g materiału z Bennu i tylko 5,4 g z Ryugu. Zostały one rozdzielone między wielu badaczy, a duża część ma także zostać zachowana dla potomności, do analizowania bardziej zaawansowanymi technikami niż te, którymi dysponujemy teraz. To sprawia, że naukowcy czasem będą musieli pracować na próbkach, których wielkość można porównać do płatka śniegu. Żeby w krytycznym momencie uniknąć błędu, na wiele miesięcy wcześniej ćwiczą, testują techniki badawcze, kalibrują urządzenia, sprawdzają, czy dana metoda jest bezpieczna dla związków, które chcą wykryć. A to wszystko nie mogłoby się odbyć bez jakiegoś rzeczywistego materiału do badania. Wykorzystuje się więc w tym celu wciąż dostępne fragmenty meteorytu z Australii. ➔

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN



Anna Golus:

Motywuje mnie bunt i empatia. Niezgoda na krzywdzenie, wykorzystywanie i oszukiwanie ludzi w każdym wieku. Sprzeciw wobec nadużywania władzy. Współczucie dla osób krzywdzonych, wykorzystywanych i oszukiwanych przez tych, którzy chwilowo mają nad nimi jakąś władzę.

Na zdjęciu
w towarzystwie
koleżanek z „Tygodnika”:
Anny Łabuszewskiej,
Eweliny Burdy,
Urszuli Honek,
Moniki Ochędowskiej,
Anny Goc
i Katarzyny Kubisiowskiej

Autorki „Tygodnika” odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.



powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę


**TYGODNIK
POWSZECHNY**

NOWOŚĆ!

Wygodna

subskrypcja odnawialna
Tygodnika.

**7 dni za darmo,
później o połowę taniej.**

Nagradzane dziennikarstwo,
wydanie cyfrowe z płatnością
cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na
www.TygodnikPowszechny.pl/Kup



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Urodzeni na kamieniu

⇒ Jak można podsumować to, co próbki spoza naszej planety mówią o życiu na Ziemi? Czy materiał organiczny jest w kosmosie wszechobecny? Pytam o to wspomnianego już astrobiologa Daniela Glavina, który w NASA zajmuje się analizowaniem materiału skalnego z kosmosu. Glavin odsyła mnie do artykułu z 2022 r., gdzie razem ze współpracownikami opisał odkrycie w Murchisonie ostatnich zasad azotowych znanych z RNA i DNA, których nie udawało się wcześniej w nim dostrzec. Tym razem zastosowano dużo łagodniejszą metodę ekstrakcji. Zamiast kwasu solnego czy mrówkowego badacze użyli chłodnej kąpieli wodnej i ultradźwięków. Ten sam sposób zastosowano już do sprawdzenia dwóch innych chondrytów węglistych.

– Wiele z zasad azotowych znalezionych w Murchisonie udaje się odkryć także w innych chondrytach węglistych, jeżeli zastosujemy metodę ultradźwiękową – tłumaczy Glavin. – Prawdopodobnie takie związki organiczne są wszechobecne w meteorytach bogatych w węgiel, szczególnie tych, które nie doświadczyły w swoich ciałach macierzystych wysokich temperatur – dodaje astrobiolog.

W samym wspomnianym artykule autorzy nieco śmieiej stwierdzają: „Poniższa praca pokazuje, że wiele zasad azotowych z meteorytów mogło służyć za budulec DNA i RNA na wczesnej Ziemi”.

Czy badacze życia na Ziemi także uważają, że jego początków należy upatrywać w skałach z kosmosu? Na Uniwersytecie Chicagowskim – tym samym, gdzie otrzymano pierwsze aminokwasy z laboratorium – również dziś trwają próby zrozumienia, jak powstało życie na naszej planecie. Pracami zespołu kieruje Jack Szostak, biolog i genetyk, który Nagrodę Nobla otrzymał za odkrycie, jak chromosomy są chronione przez telomery i telomerazę. Zapytałam go, czy Murchison wpłynął na badania dotyczące początków życia.

– Procesy chemiczne, których wynikiem jest ta złożona mieszanina związków organicznych w meteorytach, same w sobie są ciekawe – podkreśla badacz. – Ale nie sądzę, żeby te substancje odegrały ważną rolę w procesie pojawienia się życia na naszej planecie. Po pierwsze, na powierzchni wczesnej Ziemi i w jej atmosferze możliwe było powstanie większej ilości substancji organicznych, niż mogłyby dostarczyć meteoryty. Po drugie, meteoryty zawierają bardzo dużą liczbę różnych związków organicznych, z których wszystkie występują w niskich stężeniach. Do powstania życia potrzebne jest odwrotne zjawisko: wysokie stężenie niewielkiej liczby odpowiednich związków. Odpowiedzią na ten problem mogłyby być propozycje Johna Sutherlanda, który pokazuje, że w warunkach wczesnej Ziemi możliwe było powstanie substancji organicznych w procesach wychodzących od cyjanowodoru i siarkowodoru – dodaje prof. Szostak.

Ale dla zrozumienia genezy życia badania meteorytów nadal są bardzo ważne. Wspomniany Sutherland podkreślał w jednym z wywiadów: „Jeśli chcesz zrozumieć, jak mogło powstać życie na Ziemi, musisz najpierw mieć wiedzę o tym, jak powstawały planety, musisz znać historię komet i asteroid, a także ich kolizji, musisz rozumieć chemię organiczną, nieorganiczną i fizyczną, musisz też znać biologię”. Na potwierdzenie tych słów w swoich pracach odwołuje się do bogatej literatury poświęconej Murchisonowi.

■ ■ ■
Przeglądam się kawałkowi meteorytu – jasnym kropkom na asfaltowym tle. Murchison przyniósł na naszą planetę materiał o 2,5 mld lat starszy od najstarszego znanego do tej pory, zainspirował do wysłania w kosmos kilku misji badawczych i dostarczył wielu argumentów w dyskusjach na temat początków życia. Piękny wygląd nie był mu do niczego potrzebny.

© MARZENA ZDANOWSKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 38/2024

**G
O
M
B
R
O
W
I
C
Z**

**H
Ł
A
S
K
O**

Rok Gombrowicza i Hłaski

Dzieliło ich wiele. Pierwszy, starszy o pokolenie, wychował się w przedwojennej Polsce, drugi w dzieciństwie doświadczył traumy wojny, a później dorastał już w zupełnie innym kraju, tak więc ich „pamiętniki z okresu dojrzewania” wyglądały zupełnie inaczej.

Jednocześnie zaskakująco dużo ich łączyło – przede wszystkim doświadczenie emigracyjne, zmuszające do patrzenia na polską rzeczywistość z dystansu. Bycie outsiderem to także niebagatelne doświadczenie egzystencjalne – ciągła konieczność dookreślania swojej pozycji w świecie, a co za tym idzie, także miejsca, z którego się pisze (nie tylko w sensie topograficznym).

Rok 2024 został ogłoszony rokiem Gombrowicza i Hłaski. Instytucja roku patronackiego to dobra (nawet jeśli nieco wymuszona) okazja do nieoczywistych zestawień i porównań. Bez wątpienia mamy tu do czynienia z pisarzami kluczowymi dla naszej nowoczesności, którzy na różne sposoby, ale podobnie intensywnie zmagali się z problemami XX wieku – alienacją, groteskowością życia i walką o jednostkową autonomię w obliczu totalizujących zapędów świata.

Jak słusznie zauważa w otwierającym dodatek tekście Aneta Korycińska, praktykująca nauczycielka, oboje mieli też bolesne przygody z polskim systemem edukacji – albo wykorzystywani w doraźnych sporach politycznych, albo skazywani na płytkie, a przez to krzywdzące odczytania.

W niniejszym dodatku znajdą Państwo także rozmowę z Radosławem Młynarczykiem, biografem Hłaski, który opowiada o skomplikowanej recepcji autora „Ósmego dnia tygodnia” – zarówno tej historycznej, jak i dzisiejszej. Z kolei Dawid Szkoła podsuwa ciekawy trop interpretacyjny jego twórczości, pisząc o skomplikowanych zmaganiach Hłaski z przestrzenią licznych miast, w których w swojej krótkiej, ale bogatej biografii miał okazję mieszkać.

Jest też wywiad z samym Gombrowiczem z 1965 r. – wcześniej niepublikowany – w którym żali się na niemoralność nagród literackich i na ogólnie coraz gorszy poziom polskiej i światowej literatury. A także mój tekst, będący próbą odpowiedzi na pytanie, co nam dziś zostało ze słynnych gombrowiczowskich subwersji (nie tylko antynarodowych).

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

Olbrymie podziękowania dla Instytutu Literackiego w Paryżu, bez wsparcia którego ten dodatek nie mógłby powstać. Przepastne archiwum, dostępne na stronie www.kulturaparyska.com, to miejsce, gdzie można znaleźć wiele materiałów o obu naszych bohaterach. Zapraszamy też do specjalnego serwisu na stronie „Tygodnika”, gdzie prezentujemy wybrane materiały archiwalne.

65. Wyrzuceni ze szkoły
ANETA KORYCIŃSKA

68. Wszystko jest skłamanie
ARCHIWALNA ROZMOWA
Z WITOLDEM GOMBROWICZEM

70. Buchalter
MICHAŁ SOWIŃSKI

73. Piękny zapomniany
RADOSŁAW MŁYNARZYK

76. Brudne miasta
DAWID SZKOŁA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 38/2024

REDAKCJA: Michał Sowiński

OKŁADKA: Marek Zalejski // Friedrich / Interfoto / Forum //
// De Agostini / Photoshot / PAP

TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

INSTYTUT I LITERACKI
FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



Happening „Wszyscy jesteście Gombrowiczami” po usunięciu z listy lektur szkolnych dzieł Gombrowicza. Łódź, lipiec 2007 r.

Wyrzuceni ze szkoły

ANETA KORYCIŃSKA

Łączy ich wiele: krytyka systemu, ówczesnej kultury, odrzucenie tradycji, wycucie absurdu.

A także to, że nie poznasz ich twórczości w ramach szkolnej edukacji.

Witold Gombrowicz przewidział swoją przyszłość, pisząc: „Im bardziej człowiek dojrzały, tym bardziej staje się niewolnikiem form, które stworzył”. Współcześnie zasufladkowaliśmy go pod hasłami „oburzenie” lub „zachwyt”. Jednak w szkołach emocje te są nieobecne.

„Ferdydurke” pojawia się i znika w zależności od zmian personalnych na stanowisku ministra edukacji. Na maturze od 2025 roku będą obowiązywać tylko fragmenty. Na ich podstawie maturzyści będą musieli odpowiedzieć na dwa pytania: jedno dotyczące groteskowego obrazu świata, drugie – presji otoczenia na człowieka.

W ciągu 35 lat mojego życia Gombrowiczem żonglowano z coraz mniejszym zaangażowaniem.

W zarządzeniu nr 23 Ministra Edukacji Narodowej z 18 sierpnia 1992 r. w klasie III liceum pojawia się „Ferdydurke”, a w klasie IV nawet fragmenty „Dziennika” i „Operetki”. Pięć lat później obok „Ferdydurke” w podstawie programowej uwzględniono dramat „Iwona, księżniczka Burgunda”.

Po 1999 roku szkoła zapomina o wszystkim, co napisał, poza pierwszą powieścią, aczkolwiek w rozporządzeniu Ministra Edukacji Narodowej z 21 maja 2001 roku w sprawie podstawy programowej w liceach profilowanych pojawia się nawet „Trans-Atlantyk”. Jednak

to ostatni raz, kiedy w szkole widziano więcej niż głowę, łydke i pupę.

Następnie nadszedł rok 2007, a wraz z nim Roman Giertych. Zaczęto wtedy masowo powielać opinie, że Gombrowicz jest szkodnikiem ośmieszającym Polskę na arenie światowej, że to wrogie siły wylansowały błazna, a przede wszystkim, że jest on skrajnie antypolski.

Trudno dociec, dlaczego ten ważny, wręcz arcykowski, bo nieustannie mówiący o Polsce pisarz, korzystający z wielu kontekstów literackich, odwołujący się do „Kazań sejmowych”, „Pana Tadeusza”, nawet w Buenos Aires tworzący z myślą o kraju; autor, którego Polska mężczyzna, boli, dźga egzystencjalnie, dlaczego właśnie on stał się symbolem twórcy →

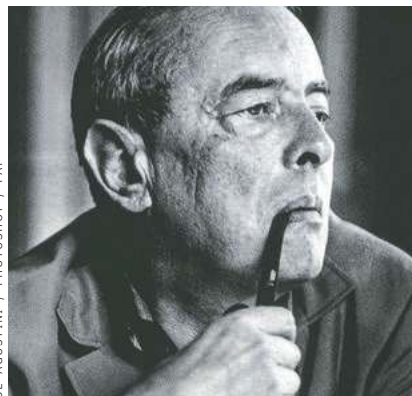
→ antynarodowego. Zdaje się, że do złej opinii przyczynił się jego osąd o duszy narodowej czy o Sienkiewicz, którego nazwał pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym. Do tego krytycyzm ujawniający się w zdradzaniu form narodowych, ukazywaniu niejednorodności tego, co polskie. Nie można szargać świętości, zdejmować masek, a Gombrowicz właśnie to robi, obnaża i zmusza do krytycznego myślenia, czyli do rozwijania jednej z pięciu najważniejszych kompetencji w edukacji przyszłości.

Giertych przywrócił na listę lektur „Potop” i trzy inne powieści Henryka Sienkiewicza, a Gombrowicza skreślił, zamienił miejscami z „Pamięcią i tożsamością” Jana Pawła II oraz „Cieniem ojca” Jana Dobraczyńskiego (Dz.U. z dnia 9 lipca 2007 r., Nr 123, poz. 853). Wybuchły spory, nawet Jarosław Kaczyński zapewniał, że Gombrowicza warto czytać w szkole – „(...) nie będzie eliminacji Gombrowicza” – mówił też o wysiłku zmierzającym do tego, by szkoła znów przekazywała wartości wspólnotowe. Nic to nie dało. Giertych był nieugięty i groził zerwaniem koalicji. Pisał, że „»Trans-Atlantyk« to książka o człowieku, który w 1939 roku migał się od służby wojskowej i wyjechał do Argentyny w poszukiwaniu przygód”, a ówczesny wiceminister edukacji Mirosław Orzechowski poparł go, dodając jeszcze zarzut propagowania homoseksualizmu.

To była moja matura i przyznam, że nikt tak dobrze, jak ówczesny minister, przeciwko któremu protestowaliśmy, nie wypromował wśród nas twórczości Gombrowicza. Potwierdzają to ówczesne statystyki, według których sprzedaż „Ferdynandurke” wzrosła o 70 proc.

Polski Sokrates

Wydaje mi się, że Gombrowicz nie chciałby być na liście lektur szkolnych. Jego dzieła nie powinny być przedmiotem szkolnych analiz, które często przypominają przebieganie ziemniaków i żonglerkę motywami zamiast być pretekstem do zrozumienia rzeczywistości przez pryzmat jego powieści. Jednak wdowa po pisarzu, Rita Gombrowicz, jednoznacznie oceniła zmianę Giertycha: „To zacołanie. Nie chce się wierzyć, że minister edukacji kraju, który jest częścią Europy, wykreśla ze szkolnych podręczników jednego z największych euro-



DE AGOSTINI / PHOTOSHOT / PAP

Trudno dociec, dlaczego ten ważny, wręcz arcykowski, bo nieustannie mówiący o Polsce pisarz stał się symbolem twórcy antynarodowego.

pejskich pisarzy, który zdobył uznanie na świecie. Roman Giertych zachowuje się jak postacie, które Gombrowicz wyśmiewał w swojej twórczości”.

W rozmowie z Romanem Pawłowskim wyznała: „Nacjonaliści zarzucają Gombrowiczowi, że nie walczył jak nieustraszony żołnierz na froncie. Gombrowicz przyznawał się do swoich słabości: był fizycznie niezdolny do służby wojskowej, miał astmę, przeżywał niepokoje i lęki. (...) Roman Giertych jest jeszcze młodym, silnym fizycznie człowiekiem. Ale co może wiedzieć o patriotyzmie ktoś, kto być może nigdy nie musiał podejmować trudnych decyzji, a jedynie zajmuje stanowisko, do którego najwyraźniej nie jest przygotowany?”. Rita Gombrowicz w tej samej rozmowie nie znajdowała pocieszenia w tym, że dzięki tej decyzji dzieła jej męża nie trafią w ręce profesora Bładaczki. Dla niej Gombrowicz to polski Sokrates, który kochał swoich rodaków i zadawał pytania o to, jak być patriotą w czasach globalizacji.

Gombrowiczowi warto się przyjrzeć, lecz należy to robić z umiarem, aby nie tworzyć mitologii. Powtarzanie pewnych kwestii, zwłaszcza tych trudnych do zrozumienia i naznaczonych emocjami, może prowadzić do idealizacji. Mimo to postulowałabym, by czytać go nawet fragmentami, poświęcać mu czas, rozważać znaczenie słów i sprawdzać, czy mogą jeszcze nazwać to, co istnieje tu i teraz.

Obserwując wzrost zainteresowania groteską i surrealizmem, jestem przekonana, że znów potrzebujemy tych kategorii estetycznych, by opisać rzeczywistość, która nam umyka. Świat pędzi, zarzuca nas nowymi „tak trzeba” i „nie wolno”, mamy FOMO, pracujemy ponad miarę, czytamy tylko to, co dobrze reklamowane, uczestniczymy w manifestacjach, by poczuć się częścią wspólnoty. Groteska daje narzędzia do opisu stosunku do ojczyzny, jest poza schematycznym, uproszczonym myśleniem, staje się okazją do polemiki i głębokiej analizy własnego miejsca w świecie, do stworzenia siebie w czasie dorastania.

W dzisiejszych czasach, gdy mamy dostęp do mnóstwa informacji, umiejętność ich selekcji staje się bardzo ważna. W szkole jest to szczególnie trudne, ponieważ musimy wybierać między tym, co nam się podoba, a tym, co jest naprawdę potrzebne. Często jesteśmy rozdarci między chęć pokazania uczniom rzeczywistości bez upiększeń a potrzebą uchronienia ich przed tym, co zbyt brutalne. Nasze osobiste preferencje i chęć nauczania wszystkiego nie powinny wpływać na to, jakie lektury są wybierane do programu nauczania.

Tegoroczne dyskusje o tym, czy dramat „Romeo i Julia” właściwie ukazuje miłość i czy w związku z tym jest potrzebny w procesie kształcenia, groziły walką na śmierć i życie. Jesteśmy przyzwyczajeni do tekstów, chcemy się nimi dzielić – bo literatura nie musi być przeżyciem intymnym. Dlatego też to nauczyciel, znając osoby, które uczy, powinien dobierać fragmenty, które warto pokazać, bo staną się one pretekstem do rozmów w konkretnej klasie.

Literatura jest więc nie tylko oknem na świat czy albumem wspomnień, lecz także, co ważniejsze w szkolnym kontekście, staje się trampoliną do rozmów o życiu, pokazującą jego złożoność i otwierającą na inne sposoby myślenia.

Hłaskomaniacy

Tymczasem obecny kanon szkolny jest wciąż konserwatywny. Mimo że wprowadzono fragmenty „Ferdynandurke”, to nie poznamy na lekcjach o literaturze buntowników takich jak Marek Hłasko, kolejny obok Gombrowicza patron roku 2024. Hłasko ukazywał brutalną rzeczywistość PRL-u i alienację jednostki w sys-

temie totalitarnym. Jego twórczość jest nadal aktualna i powinna być przedstawiana młodzieży, zwłaszcza że listy lektur są tematem politycznych sporów, a wprowadzenie jego twórczości można by podpiąć pod krytykę komunizmu. Niestety, uczniowie nie znają Hłaski – bo nie mieli okazji go poznać.

Jeszcze w zarządzeniu Nr 23 Ministra Edukacji Narodowej z 18 sierpnia 1992 r. w klasie IV pojawiał się „Wybór opowiadań”, ale od 1999 do 2007 roku tylko „Pierwszy krok w chmurach”. Później już nic. W 2010 roku Stowarzyszenie Młoda RP złożyło podanie do ówczesnej minister edukacji narodowej Katarzyny Hall, domagając się, by „Piękni dwudziestoletni” jako książka ukazująca życie młodego człowieka, nadal bardzo aktualna, była omawiana w szkole. W odpowiedzi usłyszano, że jeśli nauczyciel chce omawiać, to może, nic nie stoi na przeszkodzie. I tu pojawił się problem, bo status lektury oznacza jednak prestiż.

Stowarzyszenie, obecnie znane jako Ruch Hłaskomanii, głosi, że nie ma lepszego autora piszącego o buncie, miłości i poszukiwaniu własnej drogi w życiu. Młodzież dziś inaczej doświadcza literatury, więc Hłaskomania w 2023 roku zorganizowali imprezę taneczną na cześć Hłaski, połączoną z czytaniem jego twórczości.

Hłasko może dzisiaj interesować już nie ze względu na wyświechtane porównania do Jamesa Deana, które nie robią wrażenia na młodych odbiorcach, ale dlatego, że jest tym, który nie upiększa świata. Mówi o tym, o czym nie chcemy mówić. Ukazuje przemoc – tę fizyczną w „Pierwszym kroku w chmurach”, jak i psychiczną w „Ślicznej dziewczynie”. Przedstawia studium uzależnienia w „Pętli” i wreszcie komentarz dotyczący Polski, tej gomułkowskiej, widzianej oczami emigranta. Jego słowa brzmią dziś aż nadto aktualnie, by nie wykorzystać ich podczas lekcji: „Kiedy dzisiaj spotykam ludzi pięknych, dwudziestolletnich i rozmawiam z nimi, przeraża mnie jedno: wszyscy oni wiedzą, że w Polsce jest źle, wszyscy nie mają złudzeń, że Polska jest krajem okupowanym; natomiast nikogo z nich to specjalnie nie interesuje”.

Hłasko jest doskonałym pretekstem do rozmów o roli pisarza, o autokreacji. Może być wzorem dla wszystkich piszących, którzy, odkąd w 1989 roku zmie-



FRIEDRICH / INTERFOTO / FORUM

Hłasko może dzisiaj interesować dlatego, że jest tym, który nie upiększa świata. Mówi o tym, o czym nie chcemy mówić.

niły się zasady gry na polskim rynku literackim, muszą budować swój obraz i ustawiać się na osi między Jasiem Kapelą a Jackiem Dehnelem. Hłasko tylko pozornie był poza takimi podziałami, bo w roli zagubionego robotnika, który topił lęki w alkoholu i zginął młodo, wpisuje się w archetyp buntownika z wyboru. Pisał w sposób fotograficzny, obrazowy, więc nawet ekranizacje jego utworów mogą być cennym doświadczeniem, inspirującym do tworzenia dzieł, które angażują emocjonalnie i mogą odzwierciedlać życie współczesnych młodych dorosłych. Nie ma przecież wielkiej różnicy między „W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz. (...) W sobotę miasto ma pijaną mordę” a „W tygodniu jemy tylko jarmuż. No a w weekend wódka, koka i hash brown” Taco Hemingwaya.

Wszyscy byli odwrócenii

W „Pierwszym kroku w chmurach” mamy też doświadczenie groteskowości świata, gdzie ludzie zmagają się z bezsensownością egzystencji, bezmyślnie gapią się przed siebie, żyją bezmyślnie. To jak kadr z filmu „Zodiak”. Nagle w tę nicość wrzyna się brutalność. Chamy przerywają młodej parze piękną chwilę jak z siłanki sentymentalnej Karpinińskiego. Czyste uczucie zostaje splugawione z pełną świadomością tego czynu. U Hłaski jest coś jeszcze, czego dzisiaj już nie zobaczą młodzi odbiorcy – to rozpad wizji super-

bohatera, hiperrobociarza (jak by go nazywał Witkacy), czyli socjalistycznego robotnika, którego wizerunek propagowano w latach 50., oraz obraz straconego pokolenia. Im też zepsuli młodość. Zostanie jednak przekonanie, że ludzie z nudów zabijają to, co piękne.

Z kolei opowiadanie „Pętla” może być wartościową lekturą w szkole ze względu na głębokie studium alkoholizmu. W aktualnym kanonie lektur brakuje utworów poruszających temat uzależnień. Samobójcza śmierć w „Pętli” może być uznana za kontrowersyjny element, zwłaszcza wobec aktualnych tendencji do łagodzenia treści dla młodzieży. Niemniej samobójstwo to istotny temat, którego nie należy unikać. Rozmowa o nim może pomóc młodym ludziom zrozumieć trudne emocje i radzić sobie z problemami życiowymi. Edukacja poprzez literaturę powinna uwzględniać także takie wątki. „Pętla” ma jeszcze tę wartość, że pokazuje, jak społeczeństwo reaguje na ludzi, którzy chcą wyjść z uzależnienia. Znikąd pomocy, a w gratulacjach z powodu zerwania z piciem słychać powątpiewanie.

W obecnej podstawie programowej znajduje się zapis, że oprócz lektur obowiązkowych w szkole średniej co roku należy zrealizować jedną lekturę uzupełniającą, albo z zaproponowanej listy, albo spoza niej. Nauczyciele mogą sami zdecydować, co będą omawiać – może zatem znajdzie się miejsce i dla Gombrowicza, i dla Hłaski? Jednak nie w myśl zasady: „A widzi Gałkiewicz! Nie ma to jak szkoła, gdy chodzi o wdrożenie uwielbienia dla wielkich geniuszów”, tylko tak, by nie wtłaczać ich twórczości w testy wiedzy. By rzetelnie analizować fragmenty, sceny, zdania i w ten sposób podsuwać uczniom mimochodem stare-nowe literackie światy. Na razie niestety spełnia się wyryta na nagrobku Hłaski sentencja: „Żył krótko, a wszyscy byli odwrócenii”.

© ANETA KORYCIŃSKA

ANETA KORYCIŃSKA (ur. 1988) – polonistka, oligofrenopedagożka, podkasterka, popularyzatorka wiedzy o języku i literaturze polskiej. Jest współorganizatorką konwentu miłośników romantyzmu „Romantycznykon”. Od 2017 roku działa w internecie jako „Baba od polskiego”.

Wszystko jest skłamane

WITOLD GOMBROWICZ

Wszystkie nagrody, włączając w to Nagrodę Nobla, są zjawiskiem wysoce niemoralnym. Dla człowieka, dla literata, który całe życie się wysila, żeby osiągnąć jakiś poziom osobisty, mieć jakąś godność, jakąś niezależność, jakieś uduchowanie nawet, no to jest zupełna katastrofa.

DZIENNIKARKA: Witold Gombrowicz mieszka obecnie w małym miasteczku Vence, na południu Francji, niedaleko od Nicei. Co właściwie skłoniło Pana, aby zamieszkać na tym ustroniu?

WITOLD GOMBROWICZ: To nie jest takie ustronie. Mieszkam o 20 kilometrów od Nicei. Piękne góry, Alpy, i jednocześnie mam morze. Świetny klimat. Spotykam tu ludzi z całego świata, z Argentyny, ze Stanów, moich przyjaciół, którzy wszyscy zaglądają na Riwierę.

Przechodząc do spraw literackich – wkrótce ukaże się w tłumaczeniu francuskim Georgesa Sédira Pana książka „Kosmos”. Co zechciałby Pan powiedzieć naszym słuchaczom na jej temat?

Bardzo trudno powiedzieć coś o książce, którą właściwie trzeba przeczytać, żeby o niej coś wiedzieć. To jest książka trudna na pewno. I, jak zresztą wszystkie moje książki, była porodem dosyć ciężkim. Czytelnicy się bardzo wolno do nich przyzwyczajają. Ja także do nich się wolno przyzwyczajam. To musi trwać kilka miesięcy. W tym czasie się czuję niezbyt swobodnie. Wolę o tych rzeczach nie myśleć. Dopiero sytuacja się klaruje po pewnym czasie i wtedy czuję się bardziej pewny siebie.

(...) W jakich krajach obecnie jest Pan najbardziej drukowany i omawiany?

To jest informacja właściwie dosyć nudna dla czytelników. To są sprawy raczej techniczne autora. Natomiast w tym wyjątkowym wypadku, gdy idzie o Polskę, wydaje mi się to pytanie na czasie, dlatego że jestem w Polsce autorem zakazanym. W prasie przez długi czas nie było wolno w ogóle o mnie pisać. Od roku coś tam zaczyna się pisać, ale bardzo mało na mój temat. I w ogóle wszyst-

kie wiadomości o mnie są stłumione w Polsce (...).

Jak przedstawiają się Pana sprawy z teatrem? Czy mógłby Pan powiedzieć na przykład o „Iwonie”, która była wystawiona parę miesięcy temu w Théâtre de France w Paryżu i w Królewskim Teatrze Dramatycznym w Sztokholmie?

Sztuki teatralne zawsze są o krok od skandalu. Więc premiera „Ślubu” w Paryżu – nieomal jakaś awantura na widowni miała się dziać. Były protesty i tak dalej. W końcu jednak to się utrzymało. Z „Iwoną” także w pierwszej chwili nie było wiadomo. Miałem nawet napaści w prasie francuskiej bardzo poważnej, jak „Figaro”, niesłychanie ostre, gdzie powiedziano o mnie, że jestem pretensjonalnym głupcem i tak dalej, i tak dalej.

Natomiast przysięgająca większość prasy francuskiej przyjęła „Iwonę” niesłychanie gorąco. Powiedziano o niej, że to arcydzieło, że to wielka sztuka. No i na nieszczęsny krytyka z „Figaro”, który troszkę gwałtownie o mnie się odzywał, bardzo napadnięto. Były protesty bardzo ostre w innej prasie francuskiej. W rezultacie był niewątpliwie sukces. „Iwona” była wystawiona w Théâtre de France w Paryżu, był niewątpliwie wielki sukces, a jeszcze większy sukces był w Sztokholmie, prawdopodobnie dzięki znakomitej reżyserii (...). I tam rzeczywiście miałem prasę znakomitą, mówiono, że to jest przedstawienie zupełnie wyjątkowe w historii tego zresztą bardzo znanego teatru w Europie (...).

Nad czym Pan obecnie pracuje obecnie?

Obecnie pracuję znów nad sztuką teatralną. Muszę dodać, że bardzo tej pracy nie lubię, dlatego że teatr to jest forma przestarzała, niesłychanie ciężka, niesły-

chanie sztywna, którą trzeba przełamywać ciągle. Wobec czego człowiek ciągle szuka jakichś rozwiązań, jakichś form, które by te rzeczy mogły unowocześnić i nadać dynamikę dzisiejszą tej rzeczy. Ta sztuka nazywa się w tej chwili „Operetka” i będzie miała prawdopodobnie formę klasycznej operetki. Jeszcze mi brakuje, przypuszczam, jakieś 30 proc. do końca. Dosyć to jest praca uciążliwa i jak mogę, to ją odsuwam na bok, dlatego że z natury jestem leniwy i nie lubię się wysilać.

W ostatnich miesiącach ukazał się w Berlinie Pański tom pod tytułem „Berliner Notizen”, czyli „Notatki berlińskie”, obejmujący dziennik Pana z pobytu w Paryżu i rocznego pobytu w Berlinie. Wiem, że ta książka wywołała duże protesty w prasie niemieckiej. Dlaczego?

Muszę powiedzieć, że to jest tak zwana ironia losu. Dosyć nawet dla mnie dotkliwa. Dlatego, że jak pewnie Państwo sobie przypominają, ja byłem niesłychanie brutalnie atakowany w prasie polskiej za mój pobyt w Berlinie, za to, że rzekomo się wysługuję Niemcom itd. Otóż teraz, kiedy ogłosiłem po niemiecku moje wrażenia z tego pobytu w książce, znów prasa niemiecka dla odmiany na mnie wsiadła (...). Za to, przypuszczam, że ja troszkę nonszalancko potraktowałem temat, że może za dużo pisałem o własnych swoich sprawach, mniej o Berlinie. I także za to, że w tym, co pisałem o Berlinie, czasem byłem jednak dosyć dotkliwy w sądach i opiniach. (...)

W zeszłym roku jury Międzynarodowej Nagrody Wydawców, która jest największą nagrodą literacką po Noblu, dyskutowało bardzo gwałtownie, czy przyznać nagrodę pańskiej „Pornografii”. W tym głosowaniu



BOHDAN PACZOWSKI

Witold Gombrowicz na balkonie swego mieszkania w Vence, luty 1965 r.

przepadła ona, zdaje się, jednym głosem i nagrodę otrzymał pisarz amerykański Saul Bellow.

Tak, rzeczywiście, muszę dodać, że to jest okropne świństwo – te nagrody. I mówię tu w ogóle o nagrodach literackich, dlatego że one niesłuchanie demoralizują ludzi. Ja byłem w zeszłym roku tutaj, w Vence, a jury tej nagrody obradowało o jakieś 40 kilometrów stąd, w Saint-Raphaël. Czując już możliwość tej sumy 10 tysięcy dolarów, miałem rozmaite projekty na to. Miałem sobie kupować jakieś mebelki, jakieś firanki i tak dalej, i tak dalej.

Dość na tym, że ta wizja mnie zdemoralizowała. Co najmniej trzy tygodnie byłem zupełnie tą sprawą przygięty. Dla człowieka, dla literata, który całe życie się wysiła, żeby osiągnąć jakiś poziom osobisty, mieć jakąś godność, jakąś niezależność, jakieś uduchowienie nawet, no to jest zupełna katastrofa. Człowiek czuje się śmieszny, czuje się zdegradowany tym faktem. Także i z tego powodu, że

nie wiadomo dlaczego 10 czy 15 przygodnych osób, które stanowią jury, ma decydować o wartości wysiłku jednego człowieka i jemu ustalać miejsce w hierarchii literackiej. Dość na tym, że uważam, że wszystkie nagrody, włączając w to Nagrodę Nobla, są zjawiskiem wysoce niemoralnym.

Jakie jest Pańskie zdanie o teraźniejszej literaturze światowej i jaka opinia o obecnej literaturze polskiej?

Moja opinia o literaturze światowej jest bardzo ujemna. Uważam, że ta literatura dzisiaj jest rzeczywiście coraz gorsza. Zresztą składają się na to bardzo istotne przyczyny, z których prawdopodobnie najważniejszą jest ta, że literatura i sztuka w ogóle ma tendencję ewolucji od łatwości do trudności. Wskutek tego każda sztuka staje się powoli coraz trudniejsza i ten mechanizm wewnętrzny sztuki, ta dialektyka wewnętrzna sprawia, że w pewnym momencie literatura czy muzyka, czy inna sztuka staje się zu-

pełnie już nie do wytrzymania dla słuchacza czy dla czytelnika.

Dość na tym, że dzisiaj już nie ma tego naturalnego czytelnika, który był w dobie powiedzmy Sienkiewicza czy Prusa. Dziś te książki stają się nieczytelne, ludzie udają, że je czytają, krytycy udają, że czytają te książki. Wszystko jest skłamane i wszystko staje się fikcją. W tym sensie muszę powiedzieć, że literatura polska mniej jest zagrożona może tym procesem, ale niestety dlatego, że nie jest może w tej chwili dość intensywna. Troszkę jest opóźniona w stosunku do Europy, ale w każdym razie w Polsce ta tendencja daje się we znaki. ©

Wywiad radiowy z Witoldem Gombrowiczem (pochodzący najprawdopodobniej z sekcji polskiej Radia France Internationale) przeprowadzony w 1965 roku w Vence, po pobycie pisarza w Berlinie. Całość do odsłuchania dostępna na: www.kulturaparyska.com



Witold Gombrowicz (pierwszy z prawej). Fotografię wykonano najprawdopodobniej w Argentynie w 1940 r. w domu Marcela Marcousa, dyrektora firmy „Bunge & Born”, zajmującej się handlem zbożem. Na zdjęciu jest również jego żona. Gombrowicz był u nich częsty m gościem. Autor zdjęcia niezany.

Buchalter

MICHAŁ SOWIŃSKI

Gombrowicz walczył o dojrzałą formę kultury narodowej, która będzie miała odwagę (ale też narzędzia), aby poddawać się krytycznej samoanalizie. I wreszcie na własnych zasadach będzie mogła włączyć się w kształtowanie tej mitycznej „zachodniej kultury”.

Ze wszystkich postaci z przebogatego uniwersum Gombrowicza największą sympatią darzę Puta z „Trans-Atlantyku”.

Wybór może mało oryginalny, jako że ten „zniewieściał” i „pulchny” milioner, polujący na ulicach Buenos Aires na chłopięta i chłopaków (Michaśka ze swoimi lujami z pewnością

jest jego potomkiem) to wdzięczny wytrych do wszelakich Gombrowiczowych perwersji. Jednak jego przerysowany homoseksualizm (choć w tym przypadku to mocno nieprecyzyjne określenie), podówczas faktycznie rzucający wyzwanie społecznym konwansom, był jedynie wierzchołkiem subwersyjnej góry lodowej, o którą roz-

bija się zagubiony w nowym świecie Witold, bohater powieści.

Powoli, ale konsekwentnie zaczepia w nim koncepcję „syncyzny”, ostatecznie wywracającą do góry nogami cały porządek patriarchalno-narodowy, na którym, niczym na ostatnim włosku, wiszą odcięci od ogarniętej wojną Polski przedstawiciele argentyńskiej Polonii. Syn

przeciwko Ojcu, Młody podburzony przeciw Staremu – Nowe i Niedojrzałe, które wprowadzić może świeży powiew w zatęchły świat zmurzałych wartości, dziś już gombrowiczowska klasyka.

Puto prowokuje pocziwego Tomasza, patriotę starej daty, który, chcąc uchronić niewinność swojego Ignasia, musi wyzwać go na pojedynek. Ostatecznie, jak to u Gombrowicza, wszystko zamienia się w chaotyczną farsę, gdzie nie wiadomo już, kto właściwie kogo i dlaczego. Pozornie nic wielkiego się nie wydarza, a jednak rzeczywistość, niczym przekłuty balon, flaczaje, wytracając swoją podstawową strukturę.

Herezje

Tego typu momenty są szczególnie przez Gombrowicza celebrowane – w najróżniejszych wariantach będzie je literacko badał przez całe życie. Chodzi o sytuację, w której testuje się granice danej formy (konwencji, ideologii itp.), naciągając je tak długo, aż pękną, uwalniając przy tym skumulowaną przez lata (czasem wręcz epoki) energię. Do tego typu eksplozji dążą wszyscy jego główni bohaterowie – od tytułowego Tancerza z opowiadania otwierającego debiutancki zbiór „Pamiętnik z okresu dojrzewania” (1933), aż po uwikłanego w mroczną metafizykę Witolda z „Kosmosu”. Jednak, wbrew łatwym i pochopnym interpretacjom, Gombrowicz nigdy nie sprecyzował celu, jaki przyswierał temu wsadzaniu kija w rozmaite mrowiska.

Najchętniej przypisywana mu intencja to rozmontowywanie opresyjnego gmachu polskości.

Nie chodzi tu oczywiście o rozpoznania spod znaku Romana Giertycha i jemu podobnych prymitywnych nacjonalistów, którzy potrafili w nim zobaczyć jedynie szkalującego narodowe świętości dewianta (choć oczywiście źródłem jest tu przede wszystkim cynizm doraźnej polityki). Niemniej nawet przy pobieżnej lekturze widać, że chodzi tu o walkę o dojrzałą formę kultury narodowej, która będzie miała odwagę (ale też narzędzia), aby poddawać się krytycznej samoanalizie. Mówiąc innym językiem – żeby była w stanie zdobyć się na wysiłek ucieczki z pułapki półperiferii i wreszcie na własnych zasadach włączyć się w kształtowanie tej mitycznej „zachodniej kultury”. Rzecz wciąż aktualna.

W „Dzienniku” z 1957 roku, wspominając recepcję „Trans-Atlantyku” pisze tak: „Nasza literatura, na przykład, pozabawiona wszelkiego istotnego indywidualizmu, umiała zdobyć się jedynie na afirmację narodu. (...) Więc cały mój zabieg sprowadzał się do stworzenia zasady, która by pozwoliła jawnie uruchomić ten drugi biegun odczuwania, dotrzeć do tamtego aspektu polskiej duszy, usankcjonować herezję”.

I tu dochodzimy do momentu paradoksalnego, a przez to szczególnie ciekawego – bo czym właściwie jest usankcjonowana herezja?

Gombrowicz opisuje tu życiодajne źródło każdej kultury, która nie tyle istnieje, co nieustannie powstaje, wydarza się dzięki dialektycznemu starciu ortodoksów i heretyków. Dialektycznemu, bo norma i subwersja nie mają na stałe przypisanych sobie miejsc, wirują raczej, poruszając w ten sposób wszystko dookoła. Herezja to nie tyle cecha danego dzieła, co jego funkcja, określana każdorazowo przez szerszy kontekst. Cytując innego klasyka – ostrze subwersji ma dwa końce, więc trudno je na dłużej utrzymać w dłoni.

W polskiej literaturze nikt lepiej nie zdawał sobie z tego sprawy niż Gombrowicz właśnie, choć rzadko pisał o tym wprost. Historia recepcji jego twórczości w Polsce jest w tym kontekście bardzo znamienna. Dość szybko i łatwo osadzono go w roli dyżurnego antywieszcza, rzekomego heretyka, którym można łatwo wysługiwać się w kolejnych odsłonach wojny polsko-polskiej. Jego zmagania z formą narodową bez wątpienia dostarczają dużo amunicji każdemu, kto chce się pozycjonować jako ten bardziej „postępowy” i „otwarty” względem wdmuszkowanego patriotyzmu, który od dekad (wieków nawet) buksuje w miejscu.

Takie praktyki jednak mają w sobie ten ironiczny pierwiastek, za sprawą którego antywieszcze przeaniela się w nowy typ proroka, wieszczka 2.0, równie speyfikowanego, co wszystkie poprzednie modele, a przez to zionącego nudą. Na ten przewrotny fenomen zwracało uwagę wielu badaczy jego twórczości – od Jana Błońskiego, przez Jerzego Jarzębskiego i Janusza Margańskiego, na Michałe Pawle Markowskim kończąc (choć listę znamienitych nazwisk można by za-

pewne ciągnąć jeszcze długo). Niewiele to jednak zmieniło w powszechnej recepcji – i to nie tylko tej szkolnej. *El gran escritor polaco* raz wypuszczony z butelki nie da się łatwo do niej zagonić z powrotem.

Skarby, skarby!

Dlatego też wciąż szukam (nie ja pierwszy ani ostatni) jakiejs bocznej furtki do jego prozy, która pozwoliłaby zręcznie wyminąć jałowe mielizny, które są efektem ubocznym nawet najgłębszych odczytań. I tu z pomocą przychodzi właśnie Puto z „Trans-Atlantyku”. Jego największe perwersje nie wiążą się wcale z Ignasem i ciągotami ku Sycyzyjni na przekór Ojczyźnie. Po groteskowym pojedynku z Tomaszem zabiera on Witolda do swojego okazałego pałacu, gdzie dopiero dzieją się rzeczy prawdziwie wywrotowe. W przepastnych salach Puto zgromadził bowiem setki Arcydział (pożyczam ortografię od Gombrowicza), które, w stanie surowym, odarte z muzealnych kontekstów, nawzajem się kanibalizują: „– Skarby! To są skarby! – A skarby – powiada – i właśnie dlatego je, kosztu nie szczędząc, wszystko zakupiłem i tu do kupy zgromadziłem, żeby mi trochę Potaniały. Owóż te Arcydziała, Malowidła, Posagi, razem zamknięte, jedno drugim taniejac od nadmiaru swego, tak już tanimi się stały, że ja ten Wazon robić mogę (Wazon Perski, astrachański, majolikowy, seledynowy, ażurowy nogą z podstawki zepchnął, że się ów Wazon na tysiąc kawałków rozprysnął)”.

Gombrowicz miał doskonałe wyczucie ekonomii symbolicznej (pracował przecież przez chwilę w banku) – rozumiał, że wartość w każdym przypadku rządzi się tą samą logiką. Światowe kanony sztuki czy literatury działają na identycznym mechanizmie co giełda, gdzie wartość nie jest odgórnie ustalona, tylko stanowi dynamiczną wypadkową zbiorowych pragnień, zapotrzebowań i fantazji. Żeby przypomnieć tylko jego rozważania na temat poezji, której, jak twierdzi, nikt nie rozumie ani nie lubi, ale wszyscy boją się przed innymi do tego przyznać (co w gruncie rzeczy jest definicją bańki spekulacyjnej).

Umowność nie oznacza jednak dowolności – większość ludzi nie ma dostępu do tego buchalteryjnego zaplecza, a wśród tych, którzy mają, tylko nieliczni posiadają odpowiednie narzędzia, żeby →

→ indywidualnie dokonywać poważniejszych manipulacji. Potrzeba tu co najmniej argentyńskiego Puta, jak nie lepiej.

Właśnie to rozpoznanie Gombrowicza wydaje mi się dziś najciekawsze – że wszelka forma zinstytucjonalizowanej kultury (czyli z porządku ortodoksji) nie służy zachowaniu czy pomnażaniu wartości, ale jej degradacji. Schematyzacja i uproszczenie to domyślne wektory, co oczywiście ma również swoje plusy. W ten sposób z dzieł kultury możemy korzystać na co dzień, traktować je jak poręczne cegiełki, z których budujemy mniejsze i większe budowle składające się w dużej mierze na to, co nazywamy rzeczywistością społeczną. Żeby móc skorzystać z Wazonu (nawet jeżeli tylko po to, aby go zniszczyć, czy raczej rozbić na tysiąc mniejszych kawałków), musi on najpierw Potanieć.

Opętany

Ten pomysł inflacyjnego skarbcza przyszedł do głowy Gombrowiczowi wcześniej niż przy pisaniu „Trans-Atlantyku”. W przewrotny sposób podobny wątek pojawia się w „Opętanych”. To jeden z najmniej znanych jego tekstów, jako że był publikowany w odcinkach w 1939 roku, i to w kilku różnych gazetach. Gombrowicz pisał tę dziwną powieść gotyką pod pseudonimem Z. Niewieski, a jej ostatnia część ukazała się 3 września, już po rozpoczęciu wojny i przez wiele dekad uchodziła za zaginioną. Sam Gombrowicz przyznał się do dzieła dopiero pod koniec życia w nocy biograficznej z 1969 roku.

Literacko nie jest to może dzieło wybitne, ale też zrodziło się jako swoisty żart, próba stworzenia sensacyjnego czytadła na wzór powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza (o popularność którego Gombrowicz był nieco zazdrosny). Jednak dramatyczne okoliczności jego publikacji – ostatni odcinek ukazał się, gdy Gombrowicz już od kilku tygodni nie było w Polsce – nadają mu dodatkowych smaczków. W pewnym sensie można „Opętanych” czytać jako podsumowanie krajowego etapu jego twórczości, ale też jako jeden z ostatnich (i to dosłownie) portretów przedwojennej Polski.

Nie wdając się w szczegóły skomplikowanej i momentami nieco zakalcowatej fabuły, całość kręci się wokół fikcyjnego zamku w Mysłoczy, gdzie starego arysto-

BOHDAN PACZOWSKI

Witold
Gombrowicz
w Vence,
luty 1965 r.



kratę nawiedza duch (?) jego syna z nieprawego łoża. Budowla liczy sobie setki lat i jest skarbnicą przeszłości – narodowej pamięci uwięzionej w licznych dziełach sztuki i antykach, jednak mocno już nadgryzionych zębem czasu. Na tej dziwacznej kolekcji, w której przeplatają się epoki i zakonserwowane są liczne patriotyczne sensy, łapę chcą położyć kolejni bohaterowie powieści – obrotny ziemianin-przedsiębiorca, profesor sztuki, a nawet wywodzący się z niższych klas społecznych młodzieniec-nauczyciel tenisa (który jednak grać za bardzo nie potrafi).

Dziwna intryga się zagęszcza, każdy przyjmuje inną strategię w tej skomplikowanej grze pozorów, na zmianę przeszacowując albo pomniejszając wartość rzekomego skarbu ukrytego za zmurszałymi murami. Jak to bywa u Gombrowicza – całość kończy się nijak, więc ostatecznie nie wiemy, czy ta rzekomo beczenna kolekcja jest w rzeczywistości coś warta.

Logika ekonomii jest jednak nieubłagana. Puto wie, że wszystko, co tak skrupulatnie zgromadził w swoim pałacu, nie będzie tanieć bez końca. Po nawet największej bessie przyjdzie w końcu hossa, bo koniec końców wszyscy żyjemy w zamkniętym systemie wartości – giełdzie, na której sensy poruszać się mogą jedynie względem z góry ustalonych osi (co nie znaczy, że czytelnym i zrozumiałym dla wszystkich – a może nawet dla kogokolwiek).

Wydaje mi się, że to rozpoznanie, w całej swojej brutalności, Gombrowicz przede wszystkim bawiło. Aczkolwiek od czasu do czasu, szczególnie w późniejszych tekstach, coraz chętniej tropił rozmaite pęknięcia w systemie, zza których prześwitywało coś innego, jednocześnie fascynującego i przerażającego. Te wszystkie powieszane wróble, patyki i strzałki... Ale to inna historia, dziwniejsza.

©P MICHAŁ SOWIŃSKI



Marek Hłasko w swoim mieszkaniu przy ul. Częstochowskiej na Ochocie. Warszawa, 1957 r.

Piękny zapomniany

RADOSŁAW MŁYNARCZYK, LITERATUROZNAWCA:

**Hłasko nie był  m  barow , nie chodzi  w cznie pijany,
nie pisał na serwetkach. By  wr cz tytanem pracy.
Chcia  uchodzi  za utracjusza, bo potrzebowa  tego do prozy.**

MICHA  SOWI SKI: Gdzie na mapie literatury znajduje si  dzisiaj Marek H asko?

RADOS AW M YNARCZYK: Problem z H ask  jest taki,  e przesta  trafi  do najm lszego pokolenia.

I mam tu na my li zarówno akademik w i osoby  wiadome w sp łczesnej humanistyki, jak i tak zwanych zwy kłych odbiorc w, czyli osoby czytaj ce literatur  po prostu dla przyjemno ci.

Dlaczego?

Przesta  dzia a  aura macyzmu, jaka si  za nim przez dekady ci gn ła. To ona stanowi a o sile tej postaci i jego prozy – a dzisiaj sta a si  obci żeniem. Najm lodzi czytelnicy, a szczeg łnie czytelniczki, nie chc  takiej literatury. Nie chc  czyta  o facetach ubrudzonych smarem, bij cych swoje kobiety. Absolutnie to rozumiem.

To czym mo na skusi  w sp łczesnego czytelnika do H aski?

Potrzebne jest nowe odczytanie jego tw rczo ci – id ce w stron  teorii feministycznych, k ad ce nacisk na przemoc, traum . H asko nale y do pokolenia dekad  m lszego od Kolumb w, do wiadczenie wojenne w nim i jego r wie nikach by o mocne, ale nie by o to do wiadczenie walki, tylko okrucie stwa wojennego →

→ zapamiętanego z dzieciństwa. U Hłaski wychodzi to raz za razem, zarówno w utworach pisanych jeszcze w Polsce, jak i w tych późniejszych, już emigracyjnych. Takie odczytanie byłoby z pewnością odświeżające.

A jeszcze inaczej?

Parę lat temu doktoranci z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego czytali Hłaskę topograficznie, czyli tropem kreowanej przestrzeni, bardzo dosłownie rozumianej. W świetle współczesnych studiów nad urbanistyką to również może być ciekawy punkt wyjścia.

A argument, że Hłasko opisywał swój świat takim, jakim go widział? Szary, siermiężny, pełen przemocy...

To szkolna wykładnia jego prozy, dość płytka i mało przekonująca. Wręcz krzywdząca, bo radykalnie szufladkująca.

Przez dekady Hłasko uchodził za pisarza, który, wydawałoby się, opisuje uniwersalne dla młodych doświadczenie Weltschmerzu.

I to doświadczenie, samo w sobie, się nie zmieniło. Zmieniła się za to samoświadomość. Ta wrażliwość – choćby związana z nieszczęśliwą miłością – dalej rezonuje, ale nie jest to już bezrefleksyjny zachwyt, z jakim faktycznie mieliśmy do czynienia przez dziesięciolecia. Odkrycie, że świat jest okrutny, że nie ma w sobie romantyzmu, że chce zdeptać prawdziwe uczucie – pewnie, to wszystko dalej jest w mocy, ale zatopione w niestrawnej już dziś ilości mizoginizmu.

Kontekst innej epoki trochę go nie broni?

Zapewne – mizoginizm można podzielić na psychologiczny i światopoglądowy. Hłasko na pewno nie nienawidził kobiet, w tym aspekcie często próbuje go bronić. Ale światopoglądowo – tu już trudniej, bo bez wątpienia wyznawał wartości, z którymi trudno nawet dyskutować. Dziś młodzi ludzie są na takie rzeczy szczególnie wrażliwi. Żyjemy w czasach, gdy artysta i jego dzieło są ze sobą mocno połączeni w przestrzeni publicznej – jedno wpływa na ocenę drugiego, dlatego łatwo zostać skancelowanym, szczególnie jeśli już nie ma się szans na obronę.

■ Przestała działać aura macyzmu, jaka się za nim przez dekady ciągnęła. Potrzebne jest nowe odczytanie jego twórczości – idące w stronę teorii feministycznych, kładące nacisk na przemoc, traumę.

Cofnijmy się zatem do czasów, gdy był niekwestionowanym celebrytą.

Sławę zyskał w czasie, gdy z patosem opisywano place budowy i traktory. Nawet gdy flirtował z socrealizmem, to był on jedynie tłem dla dużo ważniejszych wydarzeń i relacji. W tym sensie Hłasko przywrócił człowiekowi podmiotowość w powojennej literaturze – tej tworzonej po niesławnym dekreście szczecińskim z 1949 roku. Do tego opisywał świat bliski ówczesnym ludziom, na przykład ruiny Starego Miasta w Warszawie, małe miasteczka z błotnistymi drogami, szare i nijakie przedmieścia itd., a nie robotników, którzy w pocie czoła wykuwali nową, świetlaną przyszłość.

Znowu – trudno powiedzieć, że opisywał rzeczywistość taką, jaka była, bo to nadmierne uproszczenie. Niemniej ten wycinek, który umieszczał w swojej prozie, był szczególnie bliski wielu ludziom. Miał też talent do dialogów, dlatego też tak chętnie jego prozę przenoszono na ekran – między innymi został zaproszony do pisanego dialogów przez Stanisława Dygata.

A jego knajpiana legenda?

Oczywiście też przyczyniła się do sukcesu, szczególnie te cztery lata przelotu po Warszawie, ale to w dużej mierze była kreacja. Nie był z pewnością ćmą barową, nie chodził wiecznie pijany, nie pisał na serwetkach. Od debiutu w 1954 roku do wyjazdu cztery lata później napisał ponad 30 opowiadań – to pokazuje, jak intensywnie i sumiennie pracował. Był wręcz tytanem pracy. Chciał uchodzić za utracjusza, bo było mu to potrzebne do prozy. Często podслуuchiwał ludzi na mieście, przenosił do tekstów zasłyszane roz-

mowy i historie, czasem wręcz sam je prowokował.

To wszystko się skończyło po wyjeździe do Paryża?

W 1958 roku skończyła się jego kariera w Polsce. Został objęty kampanią nienawiści w krajowej prasie. Wymyślano wiele oczerniających historii o tym, jak się prowadzi, podszeptowano je nawet rodzinie, co miało duże znaczenie dla tych relacji. Matka Hłaski bardzo kochała syna, ale też zaskakująco łatwo dawała się podpuszczać tego typu prowokacjom. W ten sposób zniknął z oficjalnego obiegu.

Niektórzy oczywiście czytali „Kulturę”, więc znali niektóre teksty, na przykład „Cmentarze”. Niemniej od wyjazdu funkcjonował w Polsce wyłącznie w literackim podziemiu. I – co szczególnie bolesne – nikt specjalnie się o niego nie upominał. Wcześniej miał wielu przyjaciół czy raczej wielbicieli – Jerzy Andrzejewski, Wilhelm Mach, Jarosław Iwaszkiewicz, Henryk Berezka – którzy jednak, z wyjątkiem tego ostatniego, szybko o nim zapomnieli.

Pojawia się znów w latach 70.

Aczkolwiek tak na dobre wraca do polskiej literatury dopiero w połowie lat 80. słynną czarną serią opracowaną przez Lecha Kurpiewskiego i Michała Komara. Dopiero wtedy można o nim oficjalnie mówić. W 1985 roku powstaje film Feliksa Falka „Idol”, w którym Krzysztof Pieczyński gra dziennikarza zafascynowanego pisarzem zmarłym na emigracji – postanawia przywrócić go do życia.

W tej historii wiele elementów zgadza się z biografią Hłaski – a jeszcze więcej z jego legendą. W 1982 roku wydano „Sonatę marymoncką”, choć to akurat nie przysłużyło się renesansowi Hłaski, bo to jego nie najlepszy utwór, bardzo socrealistyczny z ducha, bardziej nawet niż odnaleziony przeze mnie „Wilk”. W latach 90. pojawia się też kilka ważnych pozycji biograficznych, między innymi „Piękny dwudziestoletni” Andrzeja Czyżewskiego, kuzyna pisarza.

Potem zainteresowanie nieco przegasa.

To prawda. W 2014 roku ukazuje się tom jego listów – bardzo ważny dla historii polskiej literatury, bo Hłasko kore-

spondował niemalże ze wszystkimi ważnymi postaciami swojej epoki. Niemniej same listy przeznaczone były przede wszystkim dla najbardziej zagorzałych fanów Hłaski...

Natomiast „Wilk”, wydany po raz pierwszy w 2015 roku, sprawił, że o Hłasce było przez chwilę znowu głośno. Gdyby nie Pan, nie moglibyśmy go przeczytać.

To był przypadek. W Ossolineum znajduje się obszerne archiwum Hłaski, przekazane przez rodzinę. Wiedziony instynktem badawczym, postanowiłem je gruntownie przejrzeć. W ten sposób natrafiłem na powieść – i to w trzech egzemplarzach – która nie była wcześniej wydana. Omyłkowo została uznana za „Sonatę marymoncką”. Wyrzebałem ją, opracowałem i znalazłem wydawcę, czyli Iskry – z którymi Hłasko miał podpisaną umowę, ale nigdy nie zdecydował się na publikację. To był początek przygody.

W następnej kolejności opublikowaliśmy zbiór socrealistycznych opowiadań, niezbyt dobrych i kompromitujących politycznie Hłaskę, za co oberwało mi się od Henryka Grynberga na łamach „Gazety Wyborczej”. Później przypomnieliśmy młodzieńczy pamiętnik, który Hłasko pisał jeszcze w czasie wojny, dorzuciliśmy do tego kilka listów. No i oczywiście wznowienie dzieł zebranych, które domknęliśmy dopiero w 2021 roku.

Na przestrzeni ostatnich 10 lat brałem udział w licznych debatach i konferencjach poświęconych Hłasce, spotkałem też wielu ludzi, którzy wciąż go czytają – zarówno tych starszych, którym Hłasko kojarzy się z młodością, jak i średniego pokolenia, pamiętających go mgliście jeszcze z listy lektur. No i tych najmłodszych.

Przed którymi trzeba Hłaski bronić.

Co też jest dobre – prowokowanie do dyskusji podtrzymuje żywą pamięć.

Co się dzieje z Hłaską po 1958 roku, gdy już na zawsze wyjeżdża z kraju?

Trafia do Maisons-Laffitte, gdzie dostaje nagrodę „Kultury”. Natomiast jego krajowa sława nie miała większego przełożenia na sytuację za granicą. Był popularny wśród Polonii, ale poza nią już niekoniecznie. Trafiły się tłumaczenia na



RADOŚLAW MŁYNARCZYK

(ur. 1990) – literaturoznawca, badacz twórczości Marka Hłaski, autor książki „Hłasko. Proletariacki książę”. Współzałożyciel działającej przy Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego pracowni naukowej „Literackie Trójmiasto”.

różne języki, ale nie gościł na uniwersytetach, nie miał wielu spotkań autorskich. Daleko było mu do szacunku, jakim darzony był choćby Miłosz w latach 70. i 80. Dlatego też próbował wrócić do Polski, co mu skutecznie uniemożliwiono. Między innymi dlatego wyjechał do Izraela. Tam jego rozpoznawalność jeszcze się utrzymuje, ale głównie dzięki zabiegom Polonii i Żydów, którzy po wojnie wyemigrowali z Polski do Izraela.

Czyli nie był już celebrytą.

Swoje liczne podróże w latach 60. odbywał nie jako popularny polski autor, ale jako partner znanej niemieckiej aktorki Sonji Ziemann – to kolejny element jego legendy, z którym trzeba się zmierzyć. Odwiedził Hiszpanię, Chorwację, Grecję, Anglię czy Szwajcarię tylko dlatego, że kręciła ona tam filmy. Hłasko cały czas dużo pisał i nawet na tym zarabiał, jednak szybko wszystko wydawał i pozostawał na utrzymaniu żony. Oczywiście nie przeszkadzało mu to w zawieraniu znajomości z innymi kobietami.

Nie były to jednak najszcześniejsze lata jego życia.

Z jednej strony nostalgia za krajem, z drugiej słabnąca popularność jako pisarza sprawiły, że popadł w depresję – i to kliniczną, trzykrotnie trafił do szpitala. Do tego uzależnienie od środków nasennych i w jakimś stopniu od

alkoholu. Nomadyczność miała w jego przypadku wysoką cenę. Będąc jeszcze z Sonją, kilkakrotnie odwiedzał Izrael, gdzie mieszkała jego nowa miłość Esther Steinbach.

W 1966 roku podjął decyzję o samodzielnym wyjeździe do USA, mając nadzieję na karierę w Hollywood, co się niestety nie udało. Była to kolejna sroga lekcja życia – zamiast pisać scenariusze do kasowych filmów, pracował u matki Grynberga w sklepie monopolowym albo w fabryce blachy. Wszystko po to, aby się utrzymać, bo nigdy nie przestał pisać. Z czasem zaczął tworzyć dłuższe formy – powieści coraz bardziej skupione na tematyce egzystencjalnej. Próbował się mierzyć nawet z tematyką biblijną i pytaniami o istnienie Boga. Nie były to już scenki rodzajowe jak na początku, jeszcze w Polsce. Zrobił też kurs pilota samolotów, za który oczywiście zapłaciła jego żona.

Nie mógł sobie znaleźć miejsca na świecie.

Akurat ta część legendy nie wymaga sprostowań. Nie mógł w spokoju tworzyć, targały nim cały czas sprzeczne emocje i tęsknoty.

Może klucz polityczny jest jakimś punktem zaczepienia dziś? Ujmowanie się za losem robotników, i to po obu stronach żelaznej kurtyny.

Jest w tym coś na rzeczy – bez wątplenia miał w sobie socjalistyczną wrażliwość, ale trzeba pamiętać, że nie był intelektualistą. Dużo czytał, ale nie miał wykształcenia, więc daleko było mu do obowiązujących ówczesnie ideologii. Rzekniecie, ujmował się za robotnikami – przede wszystkim jako ludźmi. Wierzył, że życie jest ważniejsze od pracy. Trzymał się z boku, dlatego nie jest łatwo przetłumaczyć go na współczesne języki polityki.

Podsumowując naszą rozmowę – dlaczego dziś warto czytać Hłaskę?

Bo jest bardzo wdzięcznym do interpretacji autorem, a jednocześnie wciąż nie jest domknięty, wciąż czeka na kolejne odczytania – wciąż ma coś ciekawego i ważnego do powiedzenia o naszym świecie. Trzeba go tylko osadzać w nowych, krytycznych kontekstach.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Brudne miasta

DAWID SZKOŁA

**Hłasko używał miast jak scenografii teatralnej.
Nie liczyła się topografia, ale klimat i aura. Dlatego Wrocław
czy Warszawę zmieniał w miejsca przekłete i upadłe,
ówczesne Gotham City, gdzie rządziły podłość i alkohol.**

Uliczka była brudna. Uliczka przycupnięta drewnianymi, zapadłymi koślawo w ziemię domkami jak wszystkie inne ulice Marymontu: piaszczyste i krzywe, krzywe – jakby je ktoś pijanymi wyznaczał krokami” – takimi słowami zaczyna się młodzieńcza (i niedawno dopiero odnaleziona) powieść Hłaski „Wilk”. Zdania te wyznaczają kierunek przyszłej drogi, jaką obrał w swoich tekstach. Ich bohaterowie przemierzają miejsca, które są odpychające i odrażające – niezależnie od szerokości geograficznej.

Hłasko zmarł w Wiesbaden (środkowe Niemcy), ale wcześniej mieszkał w Los Angeles, Tel Awiwie, Ejłacie, Paryżu czy Berlinie Zachodnim. Wiele z tych miast opisał, podobnie jak rodzinną Warszawę czy równie mu bliski Wrocław. Nigdzie nie mógł znaleźć miejsca. Z drugiej strony wszystkie miasta opisywał w ciemnych barwach. Bohaterowie jego powieści czy opowiadań, w większości samotnicy i wyrzutkowie, potrzebowali bowiem odpowiedniej scenografii dla swoich brudnych czynów.

Jedną z takich postaci jest Robert z izraelskiej noweli „Drugie zabicie psa”. „Świat był ciemnym, plugawym zaułkiem, po którym będę się pętać bez końca” – mówi w pewnym momencie. Robert razem z przyjacielem inscenizują przedstawienie, mające na celu uwiedzenie kobiety i wyłudzenie od niej pieniędzy. Odgrywają zatem skomplikowane role pełne pustych emocji i bezcelowych czynów, jedynie po to, by zarobić na życie. Ten motyw wydaje się również kluczowy do zrozumienia całej prozy Hłaski, w której ludzie są w ciągłym ruchu, ale żyją w mrocznym świecie, z którego nie potrafią się wydostać – nie mogą więc zaprzestać odgrywania roli, jaką im zapisano. A ta potrzebuje z kolei adekwatnego tła. Koło się zamyka.

Pierwszy krok

Debiutancki zbiór opowiadań Hłaski „Pierwszy krok w chmurach” rozgrywa się w dużej mierze w Warszawie. Nie utraciłyby one jednak na wartości, gdyby pousuwać z nich geograficzne nazwy własne. Nie bez powodu Agnieszka Karpowicz swój artykuł na temat miejsc w prozie Hłaski nazwała „Topofobie”. Badaczka pisze wprost: „Warszawskie dzielnice nie pojawiają się przecież w tych opowiadaniach jako konkretne miejsca, lecz jako nośniki znaczeń (...)”. Fabuły tych opowiadań mogłyby rozgrywać się równie dobrze w Chicago czasów prohibicji, w mroźnych Helsinkach czy upalnej Casablance. Hłasko za każdym razem tworzy na własne potrzeby upadłe polis, które niszczy niewinność bohaterów, a na każdym ich dobrym uczynku cieniem kładzie się podłość innych mieszkańców. Miasto jest zatem lustrem, które ukazuje kondycję ludzi. Jego klimat, aura czy wygląd budynków odpowiadają czynom i wydarzeniom, których będą świadkami lub przyczyną.

Bohaterowie tych opowiadań zamieszkują brudne i brzydkie domy, z których okna nie widać księżyca ani gwiazd („Okno”). Ściany są poczerńiałe, schody wytarte, a podwórko zielone od wilgoci („List”). Mieszkają tam stare matki o brzydkich twarzach, które nie zachowały nic ze swojej prawdy („Dom mojej matki”). Drzewo, które kwitło obok, uschło poprzedniej wiosny („Okno”). Nocą wybija godzina prostytutek i pijanych, przeszywana głosem harmonii („Dwaj mężczyźni na drodze”). Jeśli w dzień pada, to niebo wygląda jak brudna ścierka („Kancik, czyli wszystko się zmieniło”), a jeśli świeci słońce, to skwar napelnia udręką każdy zakątek miasta („Pijany o dwunastej w południe”). W sobotę miasto ma pijaną twarz („Pierwszy krok w chmurach”). Wyjście

na ulice budzi u bohatera wściekłość i przerażenie („Pętla”).

Warszawa oraz inne miejsca w tych opowiadaniach stanowią jedynie tło, metaforę, miejsce utkane ze zbiorowej wyobraźni. W takiej przestrzeni nie ma miejsca na prawdziwą miłość, bo zostanie ona zniszczona przez napotkanych nad rzeką przypadkowych pijaków. Deszcz nie daje oczyszczenia, a słońce ciepła. Podobnie jest z ludźmi – wszystkie ich odruchy są negatywne, nie przynoszą nic dobrego. Jeśli więc nie ma nigdzie ratunku, człowiek w końcu musi dać się ubrudzić.

Widać to świetnie w warszawskim opowiadaniu „Ósmy dzień tygodnia”. Niebo jest tam „brudne i pełne pustych chmur”, „nawet cienie są lepkie”, „w niedzielę zawsze pada deszcz”. Bohaterowie zderzają się z nędzną i pijacką rzeczywistością. Sami w końcu nią przesiąkają, bo Hłasko w każdym swoim tekście pisze, że nie ma ratunku dla wzniosłych marzeń, jest tylko brudna i szara rzeczywistość. Przestrzeń u Hłaski to bowiem nie fizyczne miejsce na mapie. „To także pewien zespół wyobrażeń i doświadczeń właściwych temu miejscu, styl bycia z nim związany, przedmiot tęsknot i element tożsamościowy, przestrzeń nawiązywania relacji międzyludzkich” – na co słusznie uwagę zwracają Agnieszka Karpowicz i Piotr Kłubkowski w tekście otwierającym książkę pod wymownym tytułem „Sto metrów asfaltu. Warszawa Marka Hłaski”.

Sartre i papierosy

Ten sposób tworzenia przestrzeni i kreowania bohaterów nie był niczym wyjątkowym w ówczesnej literaturze. Bez wątpienia wpływ na to miało doświadczenie II wojny światowej, traumy związane z utratą spokojnego dzieciństwa i poczucie ciągłego zagrożenia. Jednak równie ważne wydają się zmiany zachodzące



HENRYK GIEDROYC / ARCHIWUM ILP

Zofia Hertz i Marek Hłasko w ogrodzie w Maisons-Laffitte, 1958 r.

w kulturze i prądy płynące z Zachodu. Nie tylko bowiem Hłasko tworzył literaturę, gdzie bohaterowie odgrywali z góry narzucone im role, a świat opisywano w brudnych i ciemnych barwach. Wystarczy wspomnieć inne gwiazdy młodego pokolenia, debiutujące w połowie lat 50. ubiegłego wieku. Niewiele młodszy od Hłaski Ireneusz Iredyński wydał wtedy „Dzień oszusta”, w której to powieści bohater jest zwykłym tricksterem i naciągaczem, słońce zaś oślepia i męczy. W podobnej aurze utrzymane są dzieła Andrzeja Bursy („Zabicie ciotki”) czy Stanisława Czycza („And”).

Hłasko, żeby powołać się na słynną książkę Jana Błońskiego, był jednym z pierwszych pisarzy, który zwiastował zmianę warty w polskiej literaturze. Nowe pokolenie młodych autorów radykalnie odcięło się od socrealizmu i tego, co było wcześniej. Jeśli w literaturze soc-

realistycznej społeczeństwo dawało poczucie wsparcia, u nich rujnowało, gnębiło, stanowiło zagrożenie. Stworzyli zatem mroczną wizję rzeczywistości, gdzie ludzie z zasady byli źli i nieautentyczni, zniewoleni i zniszczeni. Ich celem nie było budowanie, ale degradacja. W takiej scenerii zatem należało ich umieścić. Dlatego Hłasko stworzył świat, w którym żadna dobra idea nie ma szans powodzenia, a czysta miłość wydaje się szaleństwem. „Szlachetni kochankowie – jak pisał Błoński – nie mogli się połączyć bądź dlatego, że uniemożliwiały im to przyziemne, praktyczne konieczności, bądź dlatego, że ledwie narodzoną miłość znikczemniało spojrzenie społeczeństwa, odmawiające zakochanym uznania czy godności (»piekło to inni!«)”.

Stwierdzenie Sartre’a uchodzić może za hasło przewodnie egzystencjalizmu, rozumianego nie tyle jako nurt filozo-

ficzny, ile raczej prąd literacki i ogólna moda. Agnieszka Osiecka w „Szpetnych czterdziestolennych” pisze: „Ludzie wydzielali sobie Sartre’a, opijali się potwornie mocną herbatą, łazili po nocy na cmentarz i palili papierosy w charakterystyczny sposób – do końca, do poparzenia palców i ust”. Identyczne zdania można wyczytać u Kiri Gałczyńskiej, która w „Jak te lata się mylą...” stwierdziła, że w roku 1956 „istniała wśród nas, młodych, moda na ową mroczność, na niedopowiadanie wszystkiego do końca. Ulubionym kolorem była czerń, farbowałyśmy sobie w domu wszystko, co tylko udało się zdobyć na ciuchach”.

Taka sama była również ówczesna literatura (i nie jest to wobec niej żaden zarzut) – liczyła się aura i smak chwili, który zazwyczaj był gorzki. Młodzi odkryli bezsens propagandowych haseł i podłość świata, więc odpowiedzieli na →



Marek Hłasko i rzeźba Augusta Zamoyskiego. W ogrodzie w Maisons-Laffitte, 1958 r.

HENRYK GIEDROJCZAK / ARCHIWUM ILP

Drewniany most

„Sowa, córka piekarza” to ostatnia książka wydana za życia Hłaski. Autor wrócił w niej do Wrocławia, w którym mieszkał w latach 1946-1950 wraz z matką i do którego później przyjechał w 1953 roku jako początkujący pisarz (w tym też roku dzieje się akcja „Sowy...”). Hłasko znał więc bardzo dobrze Wrocław i jego topografię, jednak i w tej powieści nie ma to większego znaczenia. W pewnym momencie pisze: „pojechałem na most Grunwaldzki (...) na ten drewniany i cichy most”. Jeśli ktoś nie był nigdy we Wrocławiu, należy wspomnieć, że jest to najslynniejszy most nad Odrą, symbol miasta, który jednak nigdy nie był drewniany. To sporej wielkości stalowa konstrukcja wsparta na dwóch granitowych pylonach. Nie sposób jej z niczym innym pomylić. Co więcej, Hłasko przez pewien czas mieszkał we Wrocławiu przy ulicy Haukego-Bosaka, czyli rzut kamieniem od rzeczonego mostu.

Rację ma Jerzy Jastrzębski, który napisał, że „Hłasko był głuchy na wrocławskie dźwięki, ślepy na pejzaże miasta, nieczuły na jego zapachy i smaki, na wrocławską zielen, wiatr, pleśń i wilgoć przenikającą średniowieczne mury”. U autora „Pętli” miasto ma zapach smaru i gorącej smoły. Większość akcji dzieje się o zachodzie słońca lub w nocy. To świat, w którym bohaterowie przechodzą przez kolejne kręgi piekła. Hłasko bowiem był specjalistą od ludzkich dusz, a topografia w ogóle go nie interesowała.

Wrocław jest tu lustrem, które odbija kondycję bohaterów. Jeśli ich życie jest w ruinie, to miasto również będzie zrujnowane, jeśli oni mają złą przeszłość, to miasto również, jeśli są niepewni swojej teraźniejszości, to miasto także będzie nieokreślone. Będą zamieszkiwać je pijacy, podle postacie, złe kobiety i osoby z przetrąconymi kręgosłupami moralnymi, ponieważ główni bohaterowie zawsze są krok od upadku i żadne piękno ich nie uratuje. © DAWID SZKOŁA

DAWID SZKOŁA (ur. 1985) – doktor nauk humanistycznych, autor pracy doktorskiej o egzystencjalizmie w twórczości autorów pokolenia '56. Prowadzi zajęcia w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Wydał książkę „Eseje”. Mieszka we Wrocławiu.

→ nie własną literaturą, w której świat był mroczny i podły. Ulica Miła, przywołując wiersz Broniewskiego, wcale nie była miła, a cały świat przypominał Nową Hutę z „Poematu dla dorosłych” Ważyka. Hłasko przez całą swoją twórczość wiernie trzymał się takiego spojrzenia na świat. Warszawska Praga czy Marymont budzą zgrozę i są przeciwko ludziom.

Niebywały wpływ na opisy rzeczywistości autora „Pętli” miało też kino *noir*, w którym królowały światłocienie, złe kobiety, a na szczęśliwe zakończenie nie było co liczyć.

Wszystko to widać w opowiadaniach i powieściach Hłaski. Jego ulubionym

aktorem był Humphrey Bogart, oddający cały ból i cierpienie bohatera jednym grymasem bądź bon motem. Zapytany w „Casablance” o swoją narodowość, odpowiada bez chwili wahania, że jest pijakiem. U Hłaski bohater pyta pielęgniarza, czy jego znajomy długo umierał, a ten odpowiada, że „umieramy całe życie”. Również miasto w filmach *noir* pełniło inną rolę niż topograficzną. Liczył się jego klimat, wszechobecny mrok i poczucie zbliżającej się klęski. Miasto pełniło jedynie rolę scenerii, która miała oddać charakter brudnego świata, przemierzanego przez głównego bohatera. Identycznie jak u Hłaski.

Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co” – tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami:
„Życę też, byśmy nie byli
ponurakami. Zmartwychwstanie
jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności,
więc na wszystko możemy patrzeć
w perspektywie wieczności! Alleluja!”



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NIE CI MESJASZE

YAKOV Z. MAYER, IZRAELSKI PISARZ:

Kłamcy są znacznie bardziej
interesujący niż ci,
którzy kierują się prawdą.
Zastanawiałem się, co się stanie,
gdy mały kłamca spotka
wielkiego kłamcę:
fałszywego mesjasza.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

No to kim jest Twój mesjasz?

YAKOV Z. MAYER: Mesjasz wyraża przede wszystkim podstawową nadzieję na lepszą przyszłość, bo przecież nie chodzi tu wyłącznie o mistykę i wiarę. Żydzi modlą się trzy razy dziennie o jego przyjście, zakładając, że rzeczywistość, która nas otacza, wcale nie jest taka dobra. Wierzą, że dzięki niemu będzie znacznie lepsza.

Czyli jaka?

Pewnie jakoś powiązana z teraźniejszością, ale niekoniecznie od niej zależna. Ale może być też zupełnie inaczej i może nas zaskoczyć – w tym wszystkim zawiera się jakiś rodzaj tajemnicy. Niezależnie jednak od tego, jak ją sobie wyobrażamy, oczekiwanie na Mesjasza jest dla nas bardzo realistyczną nadzieją, czymś, co w historii żydowskiej zawsze pomagało ludziom radzić sobie z codziennymi wyzwaniami.

Część z tych, o których piszesz w wydanej niedawno w Polsce powieści „Nechemia” – Żydów siemnamastowiecznej Rzeczypospolitej – to oczekiwanie prowadzi na skraj szaleństwa. Dowiadują się o nadejściu Szabtaja Cwi, który przebywa w Konstantynopolu i lada chwila ogłosi się władcą.

Myślę, że chwila, w której polscy Żydzi dowiadują się o tym, że Mesjasz nadchodzi ze Wschodu po to, by odkupić naród żydowski, zmienia ich życie i pociąga ich do działania. To dobry moment, by sprzedać wszystko, co się ma, i udać się do Jerozolimy, albo dołączyć do Mesjasza w Konstantynopolu. Wszystko dzieje się oczywiście na fali rozwijającego się orientalizmu – przekonania, że wszystko, co ważne, przychodzi ze Wschodu.

Historia Nechemii Hakohena, rabina z Komarna, jest tyleż fascynująca, co nieprawdopodobna. Kabalista, alchemik, sześciopalczasty waga-

bunda, łamiący wszelkie zasady w imię wyższych racji. Ciężko uwierzyć, że jest to postać historyczna.

Urodził się w XVII wieku, najprawdopodobniej w Polsce. Nie wiemy dokładnie, gdzie, chociaż w powieści umieściłem go w bardzo konkretnym miejscu – Komarnie. Nechemia spotyka Szabtaja Cwi, a spotkanie to opisuje równoległe kilka narracji. Ostatecznie prowadzi ono do przejścia Szabtaja na islam i do upadku ruchu sabataistycznego. Wyznawcy są wściekli, próbują się zemścić za to, że zniszczył kult Mesjasza. W końcu ląduje w Amsterdamie, obdarty, samotny i trędowaty, a pod koniec swojego życia spotyka Lejba, syna Oзера, prowadzącego wówczas synagogę aszkenazyjską w tym mieście. I to właśnie on opisuje potem życie Nechemii w swoich tekstach.

Co jeszcze o nim wiemy?

Znamy dokładnie trzy fakty z życia tej postaci: pochodzenie, spotkanie z Szabtajem Cwi i życie w Amsterdamie. Początkowo myślałem, że będzie to materiał na rozprawę, ale zrezygnowałem, bo zabrakło mi materiałów historycznych. Postanowiłem w końcu, że uczynię z niego bohatera literackiego.

Czego chciałbyś się o nim dowiedzieć?

Zastanawiałem się, kogo mógłby w swoich podróżach spotkać? Kim właściwie jest ten człowiek, który przybył, całkowicie anonimowo, w samo centrum huraganu naszej historii, a potem udał się na drugi koniec tego świata – na peryferie żydowskiego świata, do Amsterdamu?

Nie dajesz się naciągnąć na zapewnienia Szabtaja o świętości.

W kontekście powieści Szabtaj Cwi jest ostatecznie fałszywym mesjaszem. Przez lata zresztą uważano go za takiego. A potem pojawił się nowy mesjanizm. W XX wieku Gershom Scholem i jego uczniowie traktowali Szabtaja wyrozumiale, jak kogoś, kogo argumenty są istotne, kto rzucił prawdziwe światło na naturę historii żydowskiej i ujawnił jakiś jej ukryty aspekt. A ja w mojej powieści próbuję przywrócić mu charakter oszusta.

No właśnie. Dlaczego?

Kłamcy są znacznie bardziej interesujący niż ci, którzy kierują się prawdą.

Pisząc „Nechemię” zastanawiałem się, co się stanie, gdy mały kłamca, tytułowy bohater, spotka wielkiego kłamcę: fałszywego mesjasza, Szabtaja Cwi?

Trochę dziwnie się to czyta, wiedząc, że autor jest religijnym żydem, dla którego zasady są jednak świętością – a jego bohater, w imię wyższego dobra, robi coś, co wydaje się niewyobrażalne: przechodzi na islam. Co to mówi o Tobie, autorze tej opowieści?

Tak, jestem religijny, trzymam szabat, a moją książkę przeczytało nawet kilku znajomych rabinów. Na szczęście ich reakcja była pozytywna: cieszyli się na widok wspomnianych przeze mnie postaci czy religijnych tekstów: Szulchan Aruch, Magen Avraham czy Orach Chaim. Chciałem pokazać ten pejzaż kulturowy, w którym obracali się ówcześni Żydzi, język, którym się posługiwali. Dla Nechemii, ale też dla mnie, modlitwa jest istotną częścią życia. Nie tylko jest wyrazem gorącej wiary w jakąś mistykę, ale przede wszystkim jest podstawowym działaniem duszy, która tęskni za czymś, co jest poza nią samą. Jest też jednak codzienną czynnością.

Zastanawia mnie, z jaką łatwością w podróży przez aszkenazyjski krajobraz zahaczasz o światy zgoła odmienne. Co właściwie sprowadziło Cię do Częstochowy?

To najświętsze miejsce w Polsce, do którego ludzie podejmują trud pielgrzymki, kompletnie mnie zafascynowało. W ogóle trud pielgrzymki jako część ludzkiej aktywności – gdy na chwilę zostawia się codzienne sprawy, pracę, rodzinę, i inwestuje czas i pieniądze, by iść do miejsca, w którym – jest nadzieja – przeżyje się jakąś przemianę. Wiedziałem, że muszę pojechać do Częstochowy, i że Nechemia również musi się tam znaleźć. W sabataizmie z późniejszego okresu, frankistowskiego, czyli z XVIII w., pojawia się wątek częstochowski: Jakub Frank widzi w Madonnie odbicie lustrzane swojej córki. Byłem więc pewien, że muszę wybrać się do Częstochowy, przygotowując się do pisania powieści. Pojechałem tam w 2012 r.

Co czuje religijny żyd przed obrazem Czarnej Madonny?



→ Ekscytację ludzi zgromadzonych wokół mnie. Sam nie czułem świętości tego miejsca, ale w oczach ludzi widziałem, że są nią absolutnie poruszeni. To była prawdziwa mieszanka uczuć. Starałem się to oddać przy opisywaniu wizyty Nechemii na Jasnej Górze, który wybiera się tam po skarb. Wobec świętości miejsca jest jednocześnie obojętny i zahipnotyzowany.

Były granice, których nie przekraczałeś w swoich badaniach do książki?

W Nowym Jorku poszedłem na pasterkę do kościoła protestanckiego. Byłem ciekaw, jak to wygląda, jakie emocje towarzyszą ludziom tego dnia. Przed ceremonią ksiądz przechodził przez kościół i witał się z ludźmi. Stałem na samym końcu jak zahipnotyzowany, oduurzony zapachem kadzidła. Ksiądz zapytał: jesteś tu sam? Tak, odpowiedziałem, nie dzieląc się już czarnym humorem, który zwykle w takich sytuacjach podszeptuje mi różne rzeczy.

Co podszeptują tym razem?

„Tak, jestem tu naprawdę sam, jestem jedynym Żydem w tej kaplicy, oprócz tego, który wisi na krzyżu”. Ksiądz poprosił, bym za nim poszedł, i wskazał mi miejsce w drugim rzędzie, tuż pod samą amboną. Zanim odszedł, poprosił, bym zdjął kapelusz. Zrobiłem to, ściągnąłem i kapelusz, i kipe. Czarny humor podpowiadał, że choć to kiepska sytuacja, to jednak jakaś część Żyda ze mną pozostaje, bo brody i nosa przecież sobie nie zdejmę. I jeszcze, żebym się uspokoił, bo mój rabin o niczym się nie dowie. I tak przez chwilę byłem jednym z nich – wiernych przeżywających radość z narodzin swojego mesjasza. Aż do momentu komunii. To oczywiście jest mi już surowo zabronione, to dla Żyda wielki grzech. Wstałem, przeprosiłem i wyszedłem. Napisałem o tym post na Facebooku, który rozszedł się wiralem. Nie, nie miałem problemu z tym, by się tą historią publicznie podzielić.

Mówisz o humorze, który towarzyszy Ci w stresujących chwilach. Również historia Nechemii naładowana jest solidną dawką czarnego żydowskiego humoru. Takiego, który ratuje z opresji.

Oczywiście, humor pomaga poradzić sobie z wieloma napięciami, także mojemu bohaterowi w książce. Zresztą ina-

Mesjasz może zaskoczyć na wiele różnych sposobów.

Myślę wręcz, że jedyne,
co wiemy na pewno
– że damy mu się zaskoczyć.

Mesjasz jest zawsze
przed nami. Jeśli już przyszedł,
to znaczy, że jest w tym
coś podejrzanego.

czej nie umiałbym jej napisać – bo to część sposobu, w jaki myślę; w jaki myślą Żydzi. To bez wątplenia część naszej tradycji. W Izraelu podchodzimy z humorem do wszystkich świętości, choć poza granicami kraju raczej się od tego powstrzymujemy z obawy przed niezrozumieniem. Na przykład żartujemy z Holokaustu. Niektórzy opowiadają też już nawet żarty związane z tragedią 7 października 2023 r., choć ta rana jest wciąż tak żywa. Możesz cały dzień płakać albo się śmiać, prawda? W Izraelu wiemy, że nie ma innej opcji.

Twoja książka ukazała się tam w 2019 r., ale w Polsce wyszła w tym roku. Na Bliskim Wschodzie toczy się krwawa wojna. Ludzie cierpią, próbują wyrwać się z jakiegoś kręgu zła. Komentarz mesjanistyczny pasuje tu jak ulał.

Oczywiście, bo mesjanizm jest po to, by nadziei szukać także w wymiarze politycznym. Pamiętajmy, że na naszą koncepcję mesjanizmu wpływają również rządy, pod którymi aktualnie żyjemy. Żydzi w okresie Drugiej Świątyni Jerozolimskiej mogli wyobrazić sobie Mesjasza jako cesarza rzymskiego, który nadejdzie i zacznie rządzić światem. W czasach Szabtajy Cwi ramami politycznymi były ramy Imperium Osmańskiego, i dlatego wyobrażenie o nim obejmowało oczekiwanie, że zajmie miejsce sułtana.

Mesjanizm łączy się więc z nacjonalizmem.

I z myślą narodową. Tu konieczne jest więc zrozumienie, czym jest nadzieja polityczna, jak ludzie wyobrażają sobie sa-

mych siebie pod idealnym rządem politycznym.

Mówisz: jakie czasy, taki Mesjasz.

To kim dzisiaj w Izraelu jest fałszywy mesjasz? Wielu powie: to Benjamin Netanjahu.

Mówiliśmy o tym, że staramy się wyobrazić sobie Mesjasza w tym samym politycznym kontekście, w którym żyjemy, i w związku z tym nie jestem pewny, czy w grę wchodzi tu męski, białoskóry aszkenazyjski lider. Jako osoba religijna sądzę też, że świat polityczny, w którym żyjemy, nakłada prawdziwe ograniczenia na mesjańskie myślenie, a także dzieli pomiędzy kwestiami religijnymi i niereligijnymi – co w myśleniu mesjańskim nie ma racji bytu, ponieważ to, co polityczne, narodowe i religijne, jest w istocie częścią tego samego świata. Mesjasz może zaskoczyć na wiele różnych sposobów. Myślę wręcz, że jedyne, co wiemy na pewno – że damy mu się zaskoczyć. Mesjasz jest zawsze przed nami – jeśli już przyszedł, to znaczy, że jest w tym coś podejrzanego.

I co z tym robisz?

Żyjemy w świecie demokracji, który trzęsie się w posadach. Każdego dnia modlę się i demonstruję na rzecz politycznej zmiany i wcześniejszych wyborów w Izraelu. Jestem pełen obaw, jak wielkość Izraelczyków wokół mnie, o bardzo niedaleką przyszłość: o to, co czeka nas na północy kraju, w Strefie Gazy, na granicach i w Tel Awiwie. Lęk i przerażenie wydarzeniami towarzyszy nam od roku na co dzień. Ale jestem pisarzem, tworzę fikcję, moją główną siłą jest wyrażanie moich uczuć w ten sposób. Nie podoba mi się postawa pisarza, który bierze na siebie rolę proroka czy głosu tłumu. To zły czas na Bliskim Wschodzie, nie tylko dla Izraela. W samym Izraelu dla wszystkich: dla dorosłych, dla dzieci, dla rodzin, zarówno Żydów, jak i Arabów. To również zły czas dla literatury. Ludzie nie chcą czytać. A literatura nie daje wystarczająco wielu narzędzi, by ten świat zrozumieć. By zrozumieć, gdzie właściwie jesteśmy.

Ludzie nie chcą czytać, a pisarze nie mogą pisać. To wciąż słyszę w izraelskim środowisku literackim.

Ja też nie potrafię pisać. Od miesiący nie jestem w stanie uśiąść do kolejnej

książki. Odnoszę wrażenie, że na naszych oczach rozpada się świat. Jako pisarze nie mamy sił i zasobów, by odpowiedzieć literaturą na to, co się dzieje. W tych dniach jestem obywatelem jak każdy inny. Podczas wojny wracamy do bycia ciałem i krwią: szukamy schronienia, wody, jedzenia, bezpieczeństwa dla naszych dzieci. To jedyne, co mogę w tej chwili zrobić.

W prywatnej rozmowie wspominałeś, że podczas Twojej ostatniej wizyty w Polsce – na Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie i Festiwalu Góry Literatury – podpisałeś więcej książek niż podczas całej promocji w Izraelu.

Podczas Gór Literatury słuchacze zadawali mi pytania o mój stosunek jako żydowskiego pisarza do konfliktu palestyńsko-izraelskiego. To były dla mnie ważne pytania, które domagały się głębokiej odpowiedzi.

I co odpowiedziałeś?

Książka powstała w języku hebrajskim podczas mojego pobytu w USA, następnie w 2019 r. została wydana w Izraelu. Mimo, że sam jestem Izraelczykiem w czwartym pokoleniu, zawsze podkreślałem, że „Nechemia” nie jest książką izraelską, lecz bardzo żydowską.

W jakim sensie?

Na przykład w takim, że włożyłem wiele wysiłku w to, by wyczyścić język z militarystycznych, nowoczesnych naleciałości języka hebrajskiego, i włożyć w usta moich bohaterów język, którym mogliby mówić w XVII wieku.

Militarystycznych?

Hebrajski, jak każdy język, jest bardzo dynamiczny, zapożycza się z wielu innych języków. To, że militarystyczna rzeczywistość wpływa na niego, nikogo nie dziwi, choć na co dzień tego specjalnie nie zauważamy. Słysząc to w zwrotach, zapożyczeniach, akronimach. Te naleciałości są tak trwałe, że nawet moje dzieci, które nie były w armii, posługują się nimi bez zastanowienia. Myślę, że to jest prawdziwa szkoda dla języka. To coś, co kształtuje sposób, w jaki myślimy o świecie, w znacznie większy sposób, niż wielu z nas sobie wyobraża.

Humor pomaga poradzić sobie z wieloma napięciami.

To część sposobu,
w jaki myślą Żydzi.
Część naszej tradycji.
W Izraelu podchodzimy
z humorem do wszystkich
świętości. Na przykład
żartujemy z Holocaustu.

Twój też?

Swoje korzenie wyczuwałem zawsze w literaturze jidysz. Trochę więc jest tak, że w głowie układałem zdania w jidysz, a zapisywałem po hebrajsku. Mój jidysz jest wyuczony. Właściwie nauczyliśmy się go z żoną na uniwersytecie – głównie po to, by nasi rodzice nie mogli nas rozumieć przy stole. Dziś w tym samym celu stosujemy go przy dzieciach.

Jak w słynnych historiach z lat 50., gdy przybyli do Izraela polscy Żydzi używali polskiego w domach tylko wtedy, gdy chcieli ukryć coś przed bliskimi. Język sekretu.

Do dziś czuję z nim emocjonalny związek. Mówię w nim, rozumiem, czytam. Gorzej z pisaniem. Zresztą i tak nie ma dla kogo. W Izraelu czuję się jak imigrant z jidyszlandu. Siedzi głęboko w mojej tożsamości.

Gdy jednak bliżej przyjrzeć się współczesnej izraelskiej literaturze, widać, że nie jesteś jedyny.

To prawda. W ostatnich latach widać w izraelskiej literaturze zwrot w kierunku jidysz i zainteresowania kulturą Żydów w przedwojennej Europie. Jest kilku autorów, którzy wręcz nie schodzą z tego tematu. Co ciekawe, mogę już powiedzieć, że „Nechemia” inaczej jest czytany w Polsce, inaczej w Izraelu.

Na czym polega ta różnica?

W Polsce zapytano mnie: gdzie dziś jest Nechemia? Czy jeśli przyjadę do Izraela, spotkam go? Bardzo mi się to pytanie spodobało. Odpowiedziałem – z bólem

w sercu – że nie, Nechemii nie spotka się dziś w Izraelu. I że też mi go brakuje. Nie mamy już polsko-żydowskiej tożsamości, tych śmiałych buntowników, odważnie przekraczających ograniczenia, wagabundów nieprzystających do żadnych ram, z korzeniami w przedziwnej wschodnioeuropejskiej rzeczywistości.

Ta rzeczywistość jest też w pewnym sensie Twoja, w końcu masz tu swoje korzenie.

Podczas Gór Literatury przeczytałem fragment książki po hebrajsku, a tłumaczka przeczytała go po polsku. Dźwięk moich własnych słów w tym języku wzbudził we mnie tyle uczuć! Mój pradziadek urodził się i wychował w Radomiu. W wieku około 16 lat wyjechał do Berlina na studia i już potem do Polski nie wrócił.

A w Izraelu?

Gdy tam przyjechał, przestał mówić w jakimkolwiek języku poza hebrajskim. Był wręcz ideologicznie nastawiony do potrzeb młodego państwa. Pamiętam, że dopiero w podeszłym wieku pozwolił sobie na próbę porozmawiania z przyjaciółmi z Polski w ich języku. Jeden z nich powiedział wtedy, że choć słysząc, że pradziadek nie używał go przez ponad 60 lat, wciąż znać w nim pozostałości wysokiego języka literackiego, którym wykształceni ludzie posługiwali się w przedwojennej Polsce.

Czego życzy się izraelskiemu pisarzowi, wnukowi radomskiego Żyda, w twórczym kryzysie spowodowanym traumą wojny?

Podobno w Japonii, jeśli chcesz coś przekłąć, musisz mu powiedzieć: życzę ci, byś miał ciekawy rok. A więc życzę sobie nudnych lat. To znaczy takich, w których rzeczywistość będzie przewidywalna, a pokój zagości po wszystkich stronach naszych granic.

© P Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



Yakov Z. Mayer
NECHEMIA
przełożyła
Magdalena Sommer,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024

Rewolucja, ale bez krzyku

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Są blisko codzienności,
daleko od wstrząsów, szoków
i nadmiernych uniesień.
Nie interesuje ich teatralna
rewolucja, ale i tak zmieniają
nasz obraz świata.**

UBIEGŁY SEZON TEATRALNY BYŁ CZASEM wstrząsów i głośniejszych zmian. Z hukiem upadały projekty, z którymi wiązano wielkie nadzieje, starzało się, co było kiedyś nowe, odchodziło w przeszłość, co miało być przyszłością. Ten proces będzie zapewne trwał w sezonie nadchodzącym, przyciągając uwagę i kierując spojrzenie na te teatry, gdzie już są lub wkrótce będą nowe dyrekcje, nowe nazwiska, nowe przedsięwzięcia.

Ale ważne jest co innego. Często w miejscach, gdzie dokonywały się najgłośniejsze ze zmian, po cichutku, bez hałasu, dokonywała się jednak zmiana inna, która może okazać się dla nas wszystkich najważniejsza.

Jak złodziej w nocy

Znamienne: pierwszą premierą po huczonym upadku dyrekcji Moniki Strzępki w Teatrze Dramatycznym w Warszawie było przedstawienie „Nasze czasy” w reżyserii Weroniki Szczawińskiej. Charakterystyczne: powszechnie ten fakt dostrzeżono, konstatując nawet ze zdziwieniem, że bojowa dyrektorka zamówiła taki skromny i łagodny spektakl, ale przy jego generalnie pozytywnym przyjęciu niekoniecznie zauważono, jak pozorną jest jego prostota i złożona jego zwyczajność.

Być może jacyś bardzo tradycjonalistyczni widzowie Dramatycznego, przyzwyczajeni do „wystawiania sztuk” i „kreowania postaci”, mogli być zaskoczeni formułą przedstawienia opartego na serii

przeplatających się i przemysłnie skomponowanych działań, opowieści i wyznań, w których osoby działające na scenie dzielą się z siedzącymi wokół swoimi historiami, refleksjami i emocjami.

Dla większości widzów nie powinno to być i nie jest nic szczególnie zaskakującego. Taki teatr rozwija się w Polsce swobodnie i dynamicznie od kilku dekad, dorobił się już własnych widzów, a nawet własnych konwencji i stereotypów. Szczawińska jest jedną z jego czołowych przedstawicieli (choć jej teatr nie ogranicza się do niego), doskonale się w tej sytuacji orientuje. W „Naszych czasach” gra konwencjami, świetnie się nimi bawi, czasem nawet je parodiuje, ale przede wszystkim wykorzystuje do zbudowania przedstawienia przyjaznego widzom. Choć osoby sceniczne zwracają się niekiedy bezpośrednio do publiczności, to nie ma strachu – nikt tu nie będzie nikogo zmuszał do współdziałania. Nikt tu widzów nie będzie atakował, prowokował, obrażał czy skandalizował.

Sytuacja jest lekka i sympatyczna: grupa osób mających do tego odpowiednie przygotowanie i wyjątkową sceniczną charyzmę wykorzystuje swoje umiejętności i dostępne narzędzia wielkiej instytucji teatralnej, by namówić ludzi, którzy zechcą się z nimi spotkać, do rozmowy o czasie i przemijaniu. Rozmowy nie przynoszącej pozornie żadnych rewelacji, ale przecież prowadzącej ku przekroczeniu horyzontu banalnych

stwierdzeń w stylu „życie szybko przemija” i „czas leci, że aż strach”.

Przedstawienie jest przesycone nie tłumaczącymi się same przez się odwołaniami, zaskakującymi cytatami literackimi i muzycznymi. Można przyjąć, że są to skojarzenia i nawiązania przyniesione przez pracujących wspólnie twórców (jednym z nich jest znany artysta wizualny i performatywny Karol Radziszewski), ale docenić trzeba sposób, w jaki zostały one powiązane i oszlifowane, tracąc wszelką osobliwość i stając się równie oczywistymi jak osobiste opowieści o przeszłości.

Naiwnością byłoby sądzić, że prywatne historie Waldemara Barwińskiego, Małgorzaty Niemirskiej, Anny Szymańczyk, Heleny Urbańskiej i Piotra Wawera Jr. (także współautora scenariusza) są improwizowane, a ich osobiste, niemal intymny ton jest tak ujmująco szczery z innego powodu niż ten, że to świetne aktorki i świetni aktorzy, potrafiący przy każdym powtórzeniu wytworzyć ów efekt szczerości. Jesteśmy przecież w zawodowym teatrze, którego podstawą nie jest literatura dramatyczna przeznaczona do odegrania, ale doświadczenie życiowe przedstawione do przeżycia i przemyślenia w sposób, który w biegu codzienności jest o wiele trudniejszy, o ile w ogóle możliwy.

To dlatego teatr, który tworzą Weronika Szczawińska i towarzyszący jej w tym Piotr Wawer Jr., nazywam „te-

WOJCIECH SOBOLEWSKI / MATERIAŁ PRASOWY TR. WARSZAWA





KAROLINA JOŹWIAK / MATERIAŁ PRASOWY TEATRU DRAMATYCZNEGO W WARSZAWIE

atrem metacodzienności”. Bez głoszenia mocnych haseł ideologicznych, inicjuje się w nim proces czynnego rozważania nad tym, co codzienność wypełnia i zrazem otacza – nad życiem i śmiercią. Jakkolwiek banalnie to brzmi, banalne wcale nie jest, bo w tej wersji teatru, jaką tworzą od kilku lat wspólnie Szczawińska i Wawer Jr., stałą perspektywą mówienia o sprawach, z którymi spotykamy się w codziennym życiu, jest śmierć. Nie ta, którą traktuje się jak wydarzenie szczególnie dramatyczne, wyjątkowe, ale ta codzienna, zachodząca niemal bez przerwy – więc może będąca jednak nie śmiercią, ale życiem?

Gdy w finale „Naszych czasów” słucham nagranej rozmowy o śmierci, pojawia się we mnie to samo poczucie, że nie tylko chce się nas wszystkich z nią oswoić, ale też znaleźć jakiś inny rodzaj wymierzonego w jej ostateczność doświadczenia. Zamiast transgresji i rytualnych pasaży – przenikanie, przesączanie się, przetwarzanie. Zamiast Wielkich Improwizacji – cichy monolog upewniający, że śmierci po prostu nie ma. W odpowiedzi na pytanie „co jest TAM?”, teatr otwiera okno, za którym są rozległe pola. Spokojnie.

Nielekko

Jeśli taki teatr dorobił się już swoich konwencji, stałych cech, a nawet zestawu chwytów, to z pewnością można je odnaleźć w twórczości Michała Buszewi-

*Małgorzata Niemirska i Piotr Wawer Jr.
w spektaklu „Nasze czasy” w reżyserii
Weroniki Szczawińskiej*

*po lewej: Natalia Kalita i Rafał Maćkowiak
w spektaklu „Za dużo wszystkiego”
w reżyserii Michała Buszewicza*

cza – dramtopisarza, dramaturga i reżysera, który właśnie został dyrektorem artystycznym Teatru Współczesnego w Szczecinie. Dysponuje wyjątkową wrażliwością językową i talentem łączenia mowy codziennej z poetyckimi przesunięciami i przekrętami. Jako reżyser przekształcał gotowe tematy, znalezione w bieżącej debacie publicznej, w kompozycje o coraz bardziej złożonych i nieoczywistych strukturach, dramaturgiach i przebiegach. Taki teatr Buszewicza miał kulminację w „Edukacji seksualnej” (Teatr Współczesny w Szczecinie, 2022).

Ale nowy nurt jego twórczości coraz mocniej rozwija się od czasu „Autobiografii na wszelki wypadek” (Łaźnia Nowa, 2020), w której poddał fantazyjnej dekonstrukcji własne przeszłe i przyszłe życie (punktem wyjścia przedstawienia jest sprzątanie domu zmarłego właśnie... Michała Buszewicza). Sam twórca przyznał niedawno w „Dialogu”, że zaczął szukać sposobu na wyjście poza to, co umie aż za dobrze. W swoim ostatnim przedstawieniu, zrealizowanym na zamknięcie poprzedniego sezonu w TR Warszawa (29 czerwca 2024), Buszewicz pozornie

wraca do konwencji, które sam doprowadził do gładkiej perfekcji. Przedstawienie „Za dużo wszystkiego” ma w punkcie wyjścia temat-gotowiec wzięty nawet nie tyle z debaty publicznej, co z lifestylowych dyskusji i popularnych magazynów psychologicznych: przepracowanie Polaków i pracoholiczny system, który generuje uzależnienie od zawodowego wykonu, niszczące życie osobiste. Rzecz powszechnie wiadoma: pracujemy za dużo, żyjąc w wytworzonym i rozwiniętym po 1989 r. do monstrualnych rozmiarów łże-etosie profesjonalizmu. Daliśmy sobie wmówić, że tylko pełne zawodowstwo w tym, co robimy, nada wagę naszemu życiu i właśnie zdobyliśmy to, co na tej drodze zdobyć można – zawód: gorzki zawód, związany z poczuciem, że zostaliśmy oszukani i okradzeni z czegoś, co było naprawdę ważne.

Buszewicz wraz z grupą znakomitych aktorek i aktorów (alfabetycznie: Karolina Bednarek, Dobromir Dymecki, Mateusz Górski, Natalia Kalita, Rafał Maćkowiak i Adam Woronowicz – ostatni jedynie na ekranie w roli gadającej głowy „szefa”) wystawia w TR Warszawa tę dość oczywistą diagnozę. Na dodatek przeprowadza wszystkie te rozpoznania w odniesieniu do mitycznego środowiska korporacji, o którym najwięcej do powiedzenia mają zazwyczaj osoby niefunkcjonujące w nim na co dzień.

Nie wiem nic o rzeczywistości pracy w „korporo”, ale jakoś odruchowo budzi

→ się we mnie podejrzliwość, gdy po raz kolejny słyszę te same opowieści o tych samych systemach i chwytach ponoć tam funkcjonujących, widzę tego samego stereotypowego „prezesa”, słyszę historie o zniszczeniu więzi rodzinnych przez pracoholizm, czy oglądam karykaturalne sekwencje z młodą pracowniczką biorącą na siebie nadmiar obowiązków. Czyżby dla wielkomiejskiej publiczności, której część z pewnością stanowią ludzie pracujący w korporacjach, Buszewicz przygotował satyrę na zjawisko dawno dobrze im znane, serwując zarazem kazanie na temat tego, co w życiu najważniejsze? Może zamiast po raz kolejny atakować legendarne korpolutki i opowiadać o sierotce Marysi zaplątanej w dżunglę biurowców, czas byłby się przyjrzeć własnemu środowisku i na przykład zapytać „aktora Adama”, co zmusza go do wyprzedzania swojego nadzwyczajnego talentu w wyjątkowo żalostnej reklamie pewnego browaru. Nie sądzę, by problemem był tu akurat pracoholizm.

Zostawmy jednak na boku to, o czym całe środowisko solidarnie woli milczeć. Tak jak w przypadku wcześniejszego przedstawienia Buszewicza, „Chłopaki płaczą” (Teatr Dramatyczny, prem. 24 marca 2023), punkt wyjścia (tam – wstydliwie ukrywany męski płacz) nie jest głównym obiektem gry, ale narzędziem wykorzystywanym w próbie uchwycenia czegoś, co właśnie w regułach gry się nie mieści. Komentując przedstawienie z Dramatycznego, dostrzegano, że grając z tematem męskiego płaczu, Buszewicz pyta o męską emocjonalność w ogóle i dominujący model męskości. W TR Warszawa robi coś podobnego w odniesieniu do dominującego modelu produktywnej, kreatywnej i sprawczej egzystencji. Nie chodzi mu o korporacje i jej zasady, ani nawet o pracoholizm, ale o to, co mogłoby zastąpić pracę w funkcji źródła sensu.

Jak na przedstawienie o temacie-gotowcu w spektaklu z TR Warszawa – zgodnie z tytułem – za dużo jest wszystkiego. Krytyka pracoholizmu i odnajdywania sensu tylko w pracy jest dobrze zrozumiała po pierwszym kwadransie, a całość trwa jeszcze pięć kolejnych. Ale śmiechy cichną, a publiczność przygotowana (także przez teatralne zapowiedzi) na lekką satyrę na znane sobie wady, zdaje się odczuwać narastający ciężar zupełnie



WERONIKA SZCZAWIŃSKA (ur. 1981) jest reżyserką teatralną, dramaturżką i kulturoznawczynią, obroniła doktorat w Instytucie Sztuki PAN. Absolwentka MISH na UW i reżyserii w warszawskiej Akademii Teatralnej. Była kierowniczką artystyczną Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu. Jej spektakle mają formę esejów scenicznych, łączących elementy teatru, tańca i refleksji teoretycznej.



MICHAŁ BUSZEWICZ (ur. 1986) jest dramatopisarzem, dramaturgiem, reżyserem. Absolwent specjalizacji dramatologicznej Wiedzy o Teatrze UJ i dramaturgicznej na Wydziale Reżyserii Dramatu krakowskiej PWST. Razem z Weroniką Szczawińską, Martą Keil, Anną Smolar, Grzegorzem Rieske i Piotrem Wawerem Jr. tworzy kolektyw artystyczny – Instytut Sztuk Performatywnych w Warszawie.

innych kwestii. Podstawowe pytanie, które według mnie zawisa nad sceną i widowiskiem jak ciężka od niepokoju burzowa chmura, brzmi: co wypełni nam życie, gdy przestaniemy pracować? Co będziemy robić, kiedy już robota spali nam się w rękach? Co innego umiemy? Co innego potrafimy zrobić ze swoim życiem niż to produkowanie iluzji znaczenia, w które wszyscy z taką pasją się angażujemy?

Na scenie TR nie sugerowano odpowiedzi. W „Za dużo wszystkiego” nie sposób znaleźć tej perspektywy metafizycznej. Ale najnowsze dokonania Buszewicza wskazują na podobny moment zwrotny, w jakim niedawno znalazła się Weronika Szczawińska – oboje doszli do perfekcji w obrębie praktyk, które rozwijali, i ruszają w poszukiwaniu tego, co być może jest zupełnie gdzie indziej. Doszedłszy do własnych granic, nie cofają się na teren rzekomo „prawdziwego” teatru podejmującego „uniwersalne problemy” i koniecznie potrzebującego „ponadczasowych” postaci i fabuł, by po raz kolejny postawić „podstawowe pytania ludzkiej egzystencji”. Pozostają na ścieżce, którą sami sobie wyznaczyli – blisko codzienności, teraźniejszości i powszedniości, daleko od wstrząsów, szoków i nadmiernych uniesień. I właśnie tu szukają odpowiedzi.

Nie interesuje ich teatralna rewolucja, ale idąc własnymi drogami, dzień po dniu zmieniają przyzwyczajenia publiczności, unieważniają fałszywe opozycje dzielące teatr na „artystyczny” i „polityczny”, „dramatyczny” i „post”. Poza akademickimi i publicystycznymi sporami prowadzą konsekwentnie proces poszukiwania sensu własnej sztuki jako towarzyszenia światu i ludziom, którzy codziennie się z nim mierzą.

Powtórzmy więc: są zmiany, które rozgłaszają wszem i wobec swoje nadchodzenie tak przekonująco, że ostatecznie nikomu nawet do głowy nie przyjdzie pytać, czy rzeczywiście nastąpiły. Dla nas jednak najważniejsze są takie, które nie tylko przychodzą niezapowiedziane, ale nawet gdy okazują się naprawdę przełomowe, nie podkreślają swojej szczególności. Skradają się bezszelestnie, siadają obok i nagle orientujesz się, że są przy tobie dokładnie wtedy, gdy ich najbardziej potrzebujesz. Robią herbatę, podają chusteczkę i mówią, że wiedzą, co czujesz, i choć jest ciężko, to jakoś razem dacie radę.

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

KAROLINA JOŹWIĄK /
MATERIAŁ PRASOWY TEATRU DRAMATYCZNEGO W WARSZAWIE

WOJCIECH SOBOLEWSKI / MATERIAŁ PRASOWY TR WARSZAWA

Oasis, reaktywacja

BARTOSZ SADULSKI

Angielscy bukmacherzy już zaczęli przyjmować zakłady o to, czy bracia Gallagherowie pobiją się na scenie. Ale my możemy się wreszcie poczuć jak w czasach, kiedy popkultura nie była tak rozdzierająco nudna i grzeczna jak teraz.



Emily McShane, fanka zespołu Oasis, na tle muralu przedstawiającego braci Liama i Noela Gallagherów, wykonanego przez artystę z Manchesteru Pic.One.Art. Burnage, przedmieścia Manchesteru, 27 sierpnia 2024 r.

NA MOJE OSIEMNASTE URODZINY rodzice opuszczają dom i udają się na noc do dziadków. Ojciec przed wyjazdem kupuje skrzynkę piwa. Po kryjomu organizuję też butelkę whisky, co wydaje mi się wówczas symbolicznym wejściem w świat dorosłych. Upiję się nią sam i zalegnę w sypialni, a z rozkosznego snu wyrwie mnie niemal o dekadę starszy brat.

Jedynym prezentem z tamtego dnia, który pamiętam, jest koncertowa płyta Oasis „Familiar to Millions”. Grała całą noc na zniszonej do salonu wieży, stając się soundtrackiem mojej pełnoletności. Leżeliśmy na podłodze przy głośnikach, nie mając świadomości, że dziennikarz modnego serwisu Pitchfork nazwał ją „papierkiem lakmusowym patosu”, i napawaliśmy się tym pompacyjnym, stadionowym rockiem tak, jak mogą się napawać tylko wstawieni, rzewnie rozkołysani nastolatkwie.

Koncertowe wersje niektórych piosenek zainstalowały się na stałe w mojej głowie, uniemożliwiając słuchanie ich płytowych wersji, a chóralne zaśpiewy publiczności przy refrenie „Don’t Look Back in Anger” do dzisiaj wywołują u mnie orgazm skóry i z rozkoszą trwonię na nich resztki słuchu.

Cool Britannia

Podobne emocje, podlane silnym wzruszeniem, przyniosło nagranie manche-

sterskiego tłumu, który w 2017 r. zebrał się, żeby minutą ciszy uczcić ofiary terrorystycznego zamachu po koncercie Ariany Grande w ich mieście. Milczenie zostało przełamane śmiałym, spontanicznym wokalem Lydii Bernsmeier-Rulow, intonującej właśnie ten utwór Oasis, rozpoczynający się przecież jak „Imagine” Lennona, a kolejne dołączające się głosy uczyniły z niego narzędzie zbiorowego katharsis. Nie wierzę, żeby muzyka mogła zmienić świat, ale chwile spontanicznego, egalitarnego uniesienia, takie jak ta, przydarzają się tylko dzięki niej.

Piosenka stała się symbolem manchesterskiego ducha i żywym dowodem na nieśmiertelność muzyki Liama i Noela Gallagherów. Dla tysięcy, jeśli nie milionów Brytyjczyków, zwłaszcza z generacji X, dorastających w post-thatcherowskiej, smutnej jak tył lodówki Anglii, ich piosenki są nierozdzielnie związane z tym cudownym okresem, kiedy zamiast bić się po pijaku na stadionach i w knajpach, znajdowali ujęcie dla najbardziej brytyjskich afektów we wspólnym piniu, a bycie poddanym królowej po raz ostatni było całkiem fajne.

Ten krótki okres świetności brytyjskiej kultury, na który złożyła się popularność britpopu, Spice Girls, Diany, piłkarskie mistrzostwa Europy w 1996 r. oraz wygrana młodego premiera, zyskał dziejową nazwę „Cool Britannia”, a jednym z jego symboli stała się gitara Noela Gallaghery

z flagą Union Jacka oraz wizyta muzyka u Blaira niedługo po wygranej laburzystów.

Nie sposób przecenić mocy sentymentalnego wehikułu, jaki został właśnie odpalony wraz z informacją, że po 15 latach przerwy bracia znów staną na jednej scenie, ale niewątpliwie chodzi o coś znacznie więcej niż tylko ostatni lot tatuśków, którzy w przyszłoroczne lato, zamiast wybrać się na Kanary, wcisną się w sprane tisztery z logiem Oasis, a resztkę włosów spróbują ułożyć w jeden z britpopowych kociołków, jakie nosił na głowie Liam w latach 90.

Ta historia nie skończy się dobrze

Braterskie swary to klisza stara jak świat, ale Gallagherowie wznieśli je na poziom nieznanym od czasów Jakuba i Ezawa. „Biblical” to jedno z ulubionych określeń Liama, a jego potyczki z Noelem od początku istnienia zespołu można wpisać w ciąg rodowych wojen ciągnących się od Kaina i Abła. Rok po premierze debiutanckiej płyty ukazał się singiel zatytułowany „Wibbling Rivalry”. Nie zawiera ani jednej piosenki, lecz piętnastominutowy wywiad, jakiego braciszkwowie udzielili reporterowi „NME”, czy raczej, jak nazwał to dziennikarz magazynu „Q”: „bezlitosny zbiór urywków z wczesnego wywiadu, który obnażył zdolność rodzeństwa do wulgarnych epifanii wewnętrznej głupoty”.

→ Wówczas można go było uznać za ekscentryczną formę promocji i strategiczny element budowania własnego wizerunku, ale z perspektywy czasu widzimy wyłącznie profetyczną moc nagrań, na którym bracia wyznają sobie nienawiść, otwarcie opowiadają o nadużywaniu narkotyków i pijackiej szamotaninie na promie do Amsterdamu, zakończonej aresztowaniem muzyków Oasis. Wszystkich, poza Noelem. Starszy z braci wykonał telefon do menedżera zespołu, który na wieść o rozrobie zareagował w sposób sankcjonujący całą przysługą przemoc, jaka będzie towarzyszyła relacjom braci: ucieszył się, bo wiedział, że na wieść o bójce poszybnie sprzedaż biletów i płyt.

Zachwyty publiczności ciągnącymi się latami wzajemnymi drwinami i szyderstwami, niekiedy błyskotliwymi (Liam jest zdaniem Noela „człowiekiem z widelcem w świecie zupy”), kiedy indziej mniej (uciążliwe nazywanie Noela „ziemniakiem”), oraz fizycznymi potyczkami nie malał, ale te z czasem przyćmiewały muzyczne osiągnięcia Gallagherów. Bo muzyczny pik Oasis to zaledwie lata 1994-1997. Dwa razy dłużej urzędował na stanowisku premiera nawet nieszczęsny John Major.

Jednak od 30 lat, bez względu na to, czy zespół promował nowy materiał, był w trasie czy nie istniał, nie było miesiaca, żeby bracia sobie nie docinali. Okazało się to znakomitym sposobem nie tylko na podtrzymywanie pamięci o dziedzictwie Oasis, ale stało się także barometrem fanowskich i społecznych oczekiwań.

Od 1996 r. można już było śmiało obstać, że ta historia się nie skończy dobrze. 10 i 11 sierpnia Oasis zagrało dwa spektakularne koncerty w Knebworth dla ćwierć miliona ludzi, jednak już tydzień później na nagraniu w ramach popularnej serii „Unplugged” dla MTV Noel śpiewał sam. Przez dwa tygodnie prób Liam pojawił się zaledwie dwa razy, tłumacząc się bólem gardła, a w dniu koncertu przyszedł pijany w tych samych ubraniach, w których chodził od kilku dni.

Ten występ w londyńskiej Royal Festival Hall to spektakularne *tour de force* Noela, starszego i mniej urodziwego z braci: „Liam ma chore gardło, więc utknęliśmy z brzydką czwórka”, tymi słowami zaczął swój występ. Był spokojny i skupiony. Charyzmatyczny w wyci-

Zdobycie wejściówek na Oasis będzie wymagało kumoterstwa i oszustwa,

ale w zamian dostanie się towar deficytowy, jak charyzma u młodych wokalistów, i równie zbędny. Dwie godziny najsolidniejszego stadionowego grania.

szony sposób, zupełnie inaczej niż brat. Nie był ziemniakiem.

Okazało się, że Oasis może istnieć bez swojego frontowego bad boya, i chociaż jest to niewątpliwie istnienie zupełnie inne, łagodniejsze i zniuansowane, to odpowiada na te same potrzeby – czyli elementarny głód ładnych piosenek, a te pisał wtedy wyłącznie Noel. Pod koniec nagrania z koncertu na zbliżeniu balkonu widzimy Liama w kapeluszu, z papierosem i butelką piwa, w otoczeniu znajomych.

Na „Wibbling Rivalry” Liam naśmiewa się z Noela, że jest abstynentem i „pieprzonym księdzem”. Urodził się, żeby być księdzem”, na co starszy z braci odpowiada: „Nie, różnica jest taka, że ja nie daję się złapać”. I rzeczywiście, w późniejszych wywiadach wspominał, że z okresu 1993-1998 nie pamięta prawie nic, a kokainę zażywał codziennie, jednak zespół był dla niego priorytetem. Po raz pierwszy nie wytrzymał na samym początku, załamany amerykańską trasą i katastrofalnym koncertem w klubie The Whisky-A-Go-Go, powszechnie uznanym za najgorszy występ zespołu w historii; bez słowa udał się do San Francisco, gdzie poznała wcześniej Melissa Lim odwiedzała go od pomysłu porzucenia zespołu, a Noel napisał o niej piękną piosenkę „Talk Tonight”, po czym zapomniał, kim była.

Rok później Liam odmówił wyjazdu na trasę do Stanów. W 2000 r., w połowie europejskiej trasy, Noel ponownie opuścił zespół – bez niego Oasis zagrało jedyny dotąd koncert w Warszawie dla garstki najwierniejszych fanów, podobno znakomity. Braterska relacja rozbijana w latach 90. gigantycznym sukcesem trwała

aż do koncertu w Paryżu w roku 2009, przed którym Noel zdał sobie sprawę, że nie może pracować z młodszym bratem ani chwili dłużej.

Sympatyczna pani Peggy

Po rozpadzie zespołu bracia odpalili całkiem udane kariery solowe, wymieniali się między sobą dawnymi kolegami-muzykami z Oasis, a na żywo karmili sentymenty fanów solidnymi porcjami dobroku zespołu, którego byli jedynymi stałymi członkami od początku działalności w 1991 r. Przez cały ten czas podsyłali plotki o możliwym powrocie grupy, a komunikaty rozciągały się od „nigdy” do „wkrótce”, gdyż zdaniem młodszego brata Noel jest „chciwy i kocha pieniądze”.

Podobnie jak wielu fanów miałem dość smętnej braterskiej telenoweli, rozciągniętej do rozmiarów brazylijskiego tasiemca, pożerającego resztki godności jej bohaterów oraz cierpliwości widzów, nawet tych najmłodszych, nieopatrznie dopuszczonych do historii przez rodziców.

W całej historii Gallagherów najmocniej utożsamiałem się z ich matką, sympatyczną panią Peggy, sprzątaczką, która porzuciła męża-alkoholika, żeby chłopcy dorastali z dala od domowej przemocy. Jej marzeniem było znów zobaczyć urwosów razem na scenie i odegrała być może kluczową rolę w całym procesie, gdy zamiast „kiedy ślub?” przy każdej rodzinnej okazji pytała „kiedy powrót?”. Wszyscy ostatecznie przegnaliśmy, żeby w rodzinie Gallagherów znów zapanowała zgoda, a historia zakończyła się dokładnie tak, jak przywoływana „Komedia omyłek” Szekspira: „Wyszliliśmy razem na świat jak bliźnięta, / Idźmyż jak bracia, a nie jak gąsienia”.

W 2019 r., w dziesiątą rocznicę rozpadu Oasis, Liam wypuścił piosenkę „One of Us” opowiadającą o rodzinie i wprost nawiązującą między innymi do „Live Forever”. W teledysku widzimy archiwalne nagrania z braćmi, syn Liama gra na bongosach, nad całością unosi się duch rzewnej refleksji, że życie mija i szkoda czasu na rodzinne rozruchy.

Niewątpliwie był to pierwszy namacalny gest dający nadzieję na zjednoczenie. Musieliśmy na nie poczekać jeszcze pięć lat, ale o tym, że w całym czekaniu chodziło przede wszystkim o braterską zgodę, niech świadczy fakt, że po ujawnieniu terminów i miejsc pierwszych kon-



TRINITY MIRROR / MIRRORPIX / ALAMY / BE&W

Noel Gallagher z bratem Liamem podczas koncertu Glasgow Green Festival. Szkocja, 26 sierpnia 2000 r.

certów reaktywowanego Oasis nadal nie wiedzieliśmy, kto na nich tak naprawdę zagra. 27 sierpnia zobaczyliśmy zdjęcie Liama i Noela razem, oznaczające, że piekło zamarzło, a najbardziej oczekiwany muzyczny reunion XXI wieku nastąpił.

Twórcy landszaftów

W dokumencie „Supersonic” o złotych latach zespołu zblazowany Liam w sali prób opowiada, że nie zajmuje się muzyką, bo od jej komponowania są inni. On śpiewa i dobrze wygląda. Od tamtego momentu trend się zmienił: przeważnie jest czterech, pięciu albo dwóch chłopców, którzy dobrze wyglądają, ale ktoś zapomniał o napisaniu piosenek.

Oasis od lat nie są wyznacznikiem muzycznej jakości: nawet jeśli ich dwa pierwsze albumy mają dziś status arcydzieł, to ostatecznie jest to muzyka do śpiewania przez nawalonych Angoli na stadionach i krakowskim rynku, a sam Noel nigdy nie ukrywał swoich ograniczonych moż-

liwości twórczych: „Żeby być Bowiem, trzeba być geniuszem. A tym nie jestem. Bowie był jak Jackson Pollock: Farba! Plask! Akcja! A na koniec wychodziło z tego coś fantastycznego, na co nikt nie mógł liczyć. Ja jestem bardziej malarzem landszaftów: tu trochę zielonego, na górze chmurka”.

Okazało się, że w ostatnim ćwierćwieczu nie pojawił się nikt, kto mógłby go przebić w pojedynku na gitarowe pejzaże, a oldschoolowa maczystowska iskra boża Liama pozostaje w cenie: 4 proc. brytyjskiej populacji próbowało zdobyć bilety na jego koncerty w Knebworth w 2022 r. W ciągu jednego dnia sprzedano się ćwierć miliona wejściówek. Ostatecznie nie chodzi o jakość, lecz o to, na jakie zapotrzebowanie odpowiada powrót i jakie emocjonalne mechanizmy uruchamia – zbiorowy sentyment to jedno, ale bez żyrowania go jakością skończyłoby się na występach na festiwalu toczenia sera w Cooper’s Hill.

Trudno sobie wyobrazić zapotrzebowanie, jakie wygenerował powrót Oasis, który będą chcieli zobaczyć arabscy szekowie, celebryci, podstarzali rockmani, ich dzieci, wnuki i kilkanaście milionów innych osób, od nieletnich fanek, katujących „Wonderwall” po rozstaniu z chłopakiem, po wyznawców wczesnych demówek, a konflikt między nimi już napędza angielskie media. Zapisując się w kolejce do losowania biletów, musimy odpowiedzieć na pytanie o pierwszego perkusistę zespołu, co raczej nie odsieje ziarna od plew.

Rynek muzyczny zmienił się drastycznie w ostatnich latach: znane zespoły, jak The Black Keys, muszą odwoływać niesprzedające się trasy, ale jednocześnie najwięksi pożerają coraz większe połacie tortu, przyzwyczajając publiczność do wywindowanych w kosmos cen biletów.

Zdobycie wejściówek na Oasis będzie wymagało kumoterstwa, nepotyzmu, oszustwa i sprzedaży rodzinnych precjozów, ale w zamian dostanie się towar deficytowy, rzadki jak charyzma u młodych wokalistów i równie zbędny, czyli dwie godziny najsolidniejszego stadionowego grania.

O ile zgadzam się z Simonem Reynoldsem, autorem znakomitej „Retromanii”, że Gallagherowie niemal uśmiercili ideę rocka jako progresywnego i eksperymentalnego gatunku, o tyle okazało się, że potrzeba zbiorowego, bombastycznego doświadczenia o charakterze akustycznym jest silniejsza niż największa braterska nienawiść. A w tej kategorii nikt nie jest od nich lepszy.

Angielscy bukmacherzy natychmiast zaczęli przyjmować zakłady o to, czy Gallagherowie pokłócą się znów, zanim wejdą na scenę, lub pobiją się na niej, a światowe media, nie tylko muzyczne, mogą poczuć się jak w latach 90., kiedy popkultura nie była tak rozdzierająco poprawna, nudna i grzeczna jak teraz. Wierzę, że braciszkiwie dojrżeli, ale przede wszystkim łasi na czekające na nich góry złota nie wygenerują więcej złości i kwasu niż przez ostatnie półtorej dekady. A nawet jeśli, to będę wdzięczny za podróż w czasie.

© BARTOSZ SADULSKI

Hakowanie Hollywood

ANITA PIOTROWSKA

Ten film zostaje z widzami na długo. Jeśli nie w trzewiach, wystawianych tu na ciężką próbę, to na pewno pod powiekami.

DOBRZE ZAKONSERWOWANA – MÓWIO- no kiedyś o kobietach, których wygląd zaprzeczał upływowi czasu. Było w tym trochę przekąsu, ale także sporo uznania dla ich wysiłków, bo dzięki takim czy innym konserwantom mogły być dłużej „widzialne”, „używalne”, „przydatne do spożycia”. W dobie wirtualnych mediów i masowej autokreacji wizerunku nie tylko kobiety czują zwiększony przymus, by wyglądać jak najlepiej czy najmłodziej. Jednych zadowolą zwykłe filtry do zdjęć, dla innych działa cały przemysł oferujący rozmaite dobrodziejstwa z zakresu medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej. Pozwala upodobnić się do „zrobionych” już idoli albo spełniać fantazje na swój temat, chociaż czasem trudno odróżnić beneficjentkę/-ta od ofiary biotechnologii.

Coralie Fargeat nakręciła o tym film radykalny i zuchwały, wpuszczając do głównego nurtu kina zagadnienia i obrazy, od których na co dzień raczej to kino ucieka, w najlepszym razie traktuje powierzchownie bądź umownie. A to, że „Substancja” bierze pod mikroskop biologiczne i społeczne ciało kobiety, ma swoje istotne powody i konsekwencje.



Demi Moore, rocznik 1962 i dawna seksbomba, nie przypadkiem wciela się tu w główną bohaterkę i odgrywa swoją życiową rolę w niejednym tego słowa znaczeniu. Zresztą sam termin „wciele- nie” od razu nabiera dodatkowych wymiarów: Elizabeth Sparkle jest od wielu lat telewizyjną gwiazdą aerobiku, kimś na kształt podrasowanej Jane Fondy, która w getrach, pełnym makijażu i kostiumie z lycry zachęca kobiety widow- nie do bycia lepszą wersją siebie.

Choć super profesjonalna, rozpozna- walna, wyrzeźbiona, to w zbliżeniach, za sprawą bezlitosnych kamer HD, co- raz trudniej jej oszukać swoją metrykę i ślady „zrobienia”. Dlatego producenci show o nazwie „Iskra życia” stwierdzają pewnego dnia (a konkretnie w dniu jej pięćdziesiątych urodzin), że pora znaleźć jakieś „świeże mięso”, rzecz jasna dla roz- palenia oglądalności programu. Zdegra- dowanej, zdesperowanej i osamotnionej celebrytce przychodzi w sukurs tytułowa substancja, sprzedawana na czarnym rynku i oferująca drugą młodość.

Po wstrzyknięciu eliksiru bohaterka „rodzi” dawną, fizycznie udoskonaloną wersję siebie samej o imieniu Sue, wcho- dząc z nią w niebezpieczną, symbio- tyczno-pasożytniczą relację. Jak na ironię, alter ego Elizabeth gra młodsza o połowę Margaret Qualley, prywatnie córka And- ie MacDowell, dojrzałej aktorki, która na czerwonych dywanach z dumą obnosi swoją siwiznę.

A to dopiero początek szalonej jazdy, w jaką zabiera nas reżyserka. Tylko chwila- mi będzie typową podróżą spod znaku

społecznej satyry, wymierzonej w kon- sumpcyjny system i nową religię, promu- jące czy wręcz uświęcające to, co jędne i młode. Fargeat wprowadza nas do wnętrza ludzkiego ciała, do jego bebechów i pojedynczych komórek. Bez filtra, się- gając po estetykę szoku, obnaża uśmiech- niętą filozofię, w której nie ma miejsca na śmierć ani starość. I nie wystarczą jej oczywiste skojarzenia z Faustem czy Do- rianem Greyem – twórczyni „Zemsty” szuka tropów głębiej, w bardziej archety- picznych przekazach, na przykład w baśni o Królownie Śnieżce, złej macosze i zwier- ciadleńku. Dostrzega w niej opowieść o od- wiecznej kobiecej rywalizacji na rynku ciał i przekłada ją na język skrajnie prze- rysowany, do bólu organiczny, czasem bliski popularnonaukowym animacjom, to znów monstrualnie rozbuchany efek- tami specjalnymi. Niczym owe zmuto- wane ciała, które na skutek chemicznej ingerencji zaczynają ewoluować w zupeł- nie nieprzewidzianych kierunkach.

Wizualna strona filmu to zresztą osobny bonus. Zanim jeszcze nastąpi przemiana Elizabeth w Sue, tudzież ko- lejne mutacje, kamera Benjaminą Kra- cuna (operatora między innymi „Obie- cującej. Młodej. Kobiety.”) ukazuje rze- czywistość przeskalowaną, zniekształ- coną, filmowaną jakby z wnętrza rzeczy. Czasami, niczym w nachalnej reklamie, fetyszyzuje wybrany z otoczenia szcze- gół i w podobny sposób rozczłonko- wuje ludzkie ciało. Ekspozuje poszczególne jego fragmenty, widziane zarówno w swoim zestandaryzowanym, napom- powanym pięknie, jak i w postępującym

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MONOLITH / MATERIAŁY PRASOWE

SUBSTANCJA

(The Substance)

– reż. Coralie

Fargeat.

Prod. Francja/

/Wielka Brytania/

/USA 2024.

Dystryb. Monolith.

W kinach

od 20 września.

Coralie Fargeat jest francuską reżyserką i scenarzystką, która po sukcesach w kinie krótkometrażowym zadebiutowała thrillerem „Zemsta” (2017), dostępnym u nas na platformie Cineman. Pracowała także przy serialu Netflixa „Sandman” (2022). Jej nowy film, „Substancja”, otrzymał nagrodę za najlepszy scenariusz na tegorocznym festiwalu w Cannes.

Na zdjęciu: Margaret Qualley jako Sue w filmie „Substancja”

nieuchronnie zgrzybieniu. Sprawia to, że „Substancja” od początku odrzuca i jednocześnie fascynuje, przestrasza i śmieszy, rozsądza fikcyjny, aseptyczny mikrokosmos swoją jadowitą żółcią i organoleptycznym konkretem, a zarazem znajduje w nim bardzo specyficzną urodę. Dlatego ten film zostaje na długo, jeśli nie w trzewiach, wystawianych tu przecież na ciężką próbę, to na pewno pod powiekami.

W taki sposób Fargeat hakuje sprzężone uniwersum Instagrama, Hollywoodu, kobiecych magazynów i wielkiego biznesu sprzedających fałszywą obietnicę młodości. Krąży wokół pojęcia matrycy, matriksu, matrioszki, ażeby pokazać, jak współczesna kultura monetyzuje swój największy horror i skandal, jakim jest starzenie się, zwłaszcza kobiece.

A film robi to tak sprawnie i lekko, że ktoś mógłby powiedzieć, iż mamy do czynienia jedynie z zabawą – gatunkiem, cytatem, wynaturzeniami naszych czasów. Wszak doprowadzając do ekstremum konwencje body horroru, Fargeat równocześnie wpuszcza do swojego świata obłąkaną muchę z filmu Davida Cronenberga, zalewa ekran kubitami krwi niczym Brian De Palma w „Carrie”, rozwija przed nami psychodeliczne wykładziny z upiornego hotelu Stanleya Kubricka i nocne kalifornijskie autostrady Davida Lyncha. Listę mniej lub bardziej czytelnich odniesień mogłabym wydłużyć, odwołując się również do ścieżki dźwiękowej, ale pozostawię widzom tę kinofilską frajdę.

Bo nie o samą zonglerkę motywami chodzi w „Substancji”. Historia kina, jej ikoniczne obrazy i postacie, wprzęgnięte zostały do wehikułu z turbodoładowaniem, miażdżącego na swojej drodze wiele iluzji i pięknych oszustw, na których ufundowano kulturę popularną. A która dziś, w dobie mediów społecznościowych, przykrywa rzeczywistość i bardziej niż kiedykolwiek ją transformuje.

Dobierając się do żywego, pulsującego mięsa owych przemian, francuska reżyserka nie bierze jeńców. Stara się maksymalnie przeczołgać swego widza, po raz kolejny rozcina go, wybebesza i zszywa na nowo, coraz grubiej i koślawiej, by poczuł na sobie, czym jest dzisiejszy obłęd nazywany ongiś łagodnie pogonią za młodością. Serwuje nam tę pozornie toksyczną substancję niczym szczepionkę – bolesną, wstrzykiwaną gwałtownymi ruchami i w końskich dawkach, lecz jakże przy tym skuteczną. ©

Lektor: W sieci dróg



■ Inga Iwasiów

WIDOK Z OKNA W PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ

Biuro Literackie,

Kołobrzeg 2024, ss. 232

NAUKOWCYNI I PISARKA – DWA ZAJĘCIA, KTÓRE WIĄŻĄ SIĘ z ponadprzeciętną liczbą wyjazdów. Wykłady w innych ośrodkach naukowych, konferencje, jubileusze, doktoraty i habilitacje, czasem zaproszenie z zagranicy. A także spotkania autorskie, festiwale literackie i trasy promocyjne.

Zapiski Ingi Iwasiów nie są jednak kroniką życia naukowego ani literackiego, nie są też tradycyjnym dziennikiem podróży. Jeśli już – więcej w nich elementów dziennika intymnego, a poszczególne małe prozy tworzą zamknięte całości, rządzą się indywidualną logiką. Przede wszystkim zaś mikroobserwacje nanoszone na prywatną mapę podróży układają się w obraz świata: ułomny i niepełny, świata nie na pokaz, ale takiego, jaki jest nam dany w dotyku wilgotnawej obcej poduszki, w smakach zarówno hotelowego szwedzkiego stołu, jak i zapiekanki z Żabki, w pokusie minibarku, w hałasie zza okna – zmorze cierpiących na bezsenność.

„Uważam, że banał codzienności jest najciekawszy” – mówi prowokacyjnie autorka w rozmowie na internetowej stronie wydawcy. To jest rzeczywistość, jakiej doświadczamy niezależnie od tego, czy przyjechalismy na sesję o klasyku, czy na dyskusję młodych poetów. Zawsze towarzyszyć temu będzie zmęczenie drogą, osvajanie anonimowości obcych pokoi, nieufne badanie stanu łazienki, rozmowy z przypadkowymi ludźmi, których inaczej może nigdy byśmy nie spotkali.

No i widoki z okien, utrwalane tanim aparatem, potem po prostu komórką. To też znak – te starannie ponumerowane podróże (jest ich dziewięćdziesiąt trzy) przypadły na kolejny etap rewolucji technologicznej, notatki robione najpierw na przypadkowych karteluskach, przewędrują do laptopa i do mediów społecznościowych. A co na tych widokach? Rzadko szczegóły powszechnie rozpoznawalne, jak wieża gdańskiego Mariackiego, raczej anonimowe obrzeża.

Moje prywatne odkrycie: na jednym z krakowskich zdjęć, pod numerem 53, oglądamy ogród klasztoru Karmelitów „Na Piasku” z pobielonymi pniami owocowych drzewek. Czyli że autorka mieszkała w tak zwanej Bursie Pigoń, bo to stamtąd widać to niedostępne na ogół miejsce. I tam właśnie zobaczyła siebie w pisowskiej telewizji, pokazującej materiał z czarnego protestu („zobaczyłam siebie jako zepsutą, plugawą inteligencję”). Bo podróże Ingi Iwasiów odbywają się tu i teraz – przypominają, gdzie i kiedy żyliśmy, żyjemy. ©©

OLGA

Drenda: Brzytwa i włos



WIZYTA U FRYZJERA NIE TYLKO SPRAWIŁA, że z własnej woli utrudniłam sobie życie i teraz muszę wdrożyć się w tajniki praktyk zwanych w internecie „włosingiem”, ale także sprowokowała do namysłu. Otaczające mnie plakaty przypominały mi bowiem wystrój starszych salonów fryzjerskich (przy odrobinie szczęścia można jeszcze z usług takich starej szkoły fachowców skorzystać, np. w Łodzi) i charakterystyczne dekoracje – ilustracje z najbardziej szykownymi uczesaniem z okolic roku 1982. Nawet gdy sami fryzjerzy czesali już od dawna całkiem inaczej, to w witrynach ich salonów rok 1982 nigdy się nie kończył. Synonimem tego, co najmodniejsze i najlepsze we fryzjerskim kunszcie, nieodmiennie pozostawali rysowani jakby węglem modele i modelki o kościach policzkowych jak kastety i z dynamicznymi, utapirowanymi fryzurami: „na księżną Dianę”, „na Małgorzatę Ostrowską”, „na Urszulę”.

Kiedy jakieś zjawisko uparcie trwa, łatwo obrasta w symbole i sprzyja dopowiadaniu sobie treści zgoła legendarnych. Ostatnio zetknęłam się z takim przypadkiem na jednej z internetowych grup poświęconych starym zdjęciom. Pewna osoba wyjaśniała tam, że popularność uczesania „na baranka” – krótko ogolone włosy na szyi, a u góry gęsta trwała ondulacja *à la* Martin Gore z Depeche Mode – jak nosiły się dojrzałe kobiety w latach 90., a nawet na początku milenium, wynikała z obowiązującego rzekomo prawnego zwyczaju, zgodnie z którym w dorosłym wieku należało nosić się krótko. Być może osobie tej pokiełbały się postrzyżyny, ocepiny i inne znaleziska z bagażu skojarzeń, który niesie ze sobą zmiana uczesania – kojarząca się w końcu często z jakimś rytuałem przejścia – ale też wie-

dza etnograficzna nie jest specjalnie rozpowszechniona, więc nie będę się czepiać. W tym przypadku zdecydowanie łatwiej znaleźć prostsze, prozaiczne wręcz wytłumaczenia: czy to wygoda, czy sentyment do uczesania z lat młodości (tym bardziej że dysponujemy wystarczającą liczbą ponadstuletnich zdjęć, by udowodnić sobie, że nie było wielowiekowej tradycji czesania się na baranka ani nawet na krótko).

Brzytwa Ockhama jednak na nic, gdy pojawia się potrzeba symbolicznej nadwyżki. Po prostu czasami potrzeba wyjaśnienia sobie świata naturalnie ciąży w symboliczną stronę, wymyślając na poczekaniu uzasadnienia wręcz mitologiczne. Jeśli coś wydaje się przynależeć do „starego świata”, to niechybnie musi być nasycone *sacrum*.

Z *sacrum* niewątpliwie kojarzy się chleb – w ludowym obrazie świata jeden z najmocniej nasyconych symbolicznie obiektów, co zakładało postępowanie z chlebem właściwe dla przedmiotu świętego. Jest takich nakazów i zakazów wiele: by chleba nie wyrzucać czy przeznaczyć świeżo upieczony bochenek. Zapewne ich mnogość sprawiła, że na moich oczach powstała taka legenda na poczekaniu – wokół chleba właśnie.

Zdarzyło mi się opublikować w internecie fragment książki królowej poradników Ireny Gumowskiej; dotyczył on bezpiecznego sposobu krojenia chleba. Zgodnie z BHP – wyjaśniała Gumowska – chleb kroimy na deseczce, niebezpiecznie zaś jest trzymać bochenek w powietrzu czy ścisnąć go ramieniem. Pech chciał, że poradnik pochodził z okolic odwilży październikowej, co u pewnego człowieka z silnym zapotrzebowaniem nadwyżki symbolicznej wywołało oburzenie: komuniści chcieli zabronić tradycji krojenia chleba! Niestety – zabronić nie mogli, bo takiej tradycji po prostu nie było, mimo tak licznych obwarowań chroniących *sacrum* chleba. Rada Gumowskiej miała znaczenie wyłącznie pragmatyczne (i wiązała się zapewne z rozpowszechnieniem chlebów wypiekanych już przemysłowo, które miały inny kształt niż bochenek z wiejskiego pieca).

Gdy jednak ktoś potrzebuje świata, w którym rzeczy mają nie jedno znaczenie, a wiele, w którym istnieją znaki, a gesty nie są przypadkowe, odruchowo będzie sobie taką opowieść dopisywać. To jak w krążącym wśród archeologów żarcie, że każdy przedmiot z wykopalisk, któremu nie da się przypisać jednoznacznie użytkowego charakteru, musi mieć zastosowanie sakralne. Nawet gdy jest to uroczy język na kółkach z ok. 1500 roku p.n.e.

Wobec takiego sposobu postrzegania świata ten, kto sięga po brzytwę Ockhama, musi wydawać się skończonym nudziarzem i psujabawą. Co jednak poradzić na to, że prozaiczny świat może być dla kogoś (i to całkiem licznego) zupełnie nie do zaakceptowania? ©

Pan
Śrubka też
chce być
modnie
uczesany



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo:

Piknik w muzeum



TYSIĄC OSIEMSET LAT TEMU CESARZ Karakalla kazał pobudować na obrzeżach Rzymu okazałe termy. Stały obok gaju, gdzie w dawniejszych czasach nimfa Egeria udzielała królowi Numie rad w kwestii zarządzania państwem, dając początek jakże żywej do

dziś tradycji kobiet prowadzących za rączkę swoich królów i premierów. Oboje nie poprzestawali na dyskusjach, o czym świadczy fakt, iż po jego śmierci wpadła w taką rozpacz, że litościwi bogowie musieli zamienić ją w źródło. Dużo się od tego czasu zmieniło, źródło wyschło, gaj wycięto, jacyś barbarzyńcy odcięli akwedukt, nie rozumiejąc, po co to komu, kiedy starczy gębę w strumieniu przemyć lub chlusać na grzbiet z cebryka.

Ale główna skorupa term stoi jak stała, z lekka poobkrużana, majestatyczna, doskonale ją pamiętacie, służyła Felli-niemu za *location* szalonego eventu pełnego gwiazd, gwiazdek i mrowia pasożytów zlizujących lepki ściek sławy (*influencer* to nowe słowo, rola jednak prastara i jej marność odwieczna). Słodkie życie roz-krojone z okrucieństwem przyrodnika jak żaba. Skuteczne przypomnienie, iż większość naszych materialnych wspaniałości, jeśli przetrwa, to z nieznaną nam dziś funkcją, ot choćby jako ładne tło dla parady próżniaków.

Takim właśnie tłem stały się ostatnio krakowskie Sukiennice – a ściślej muzeum na piętrze pełne ważnych (nie napisałem: dobrych) polskich obrazów i rzeźb. Gdyby nie dramat dolnośląskiej powodzi, to czołowym tematem rozmów byłyby połajanki wokół zorganizowanej przez Netfliksa gali. No bo jakże tak, proszę ja ciotki, bał w muzeum? Ścianką dla celebrytów zasłonili Siemiradzkiego! I nareszcie! Przestańmy udawać, że przemawia do nas ta sentymentalna tandeta. Szkoda tylko, że goście niby tacy piękni, bogaci i ustosunkowani, a tak ohydnie się poubierali.

Ależ oni jedli i pili w świątyni sztuki! Cóż, dzięki profesorowi Pomianowi wiemy, że muzeum w znanej nam od dwustu lat postaci pełniło parasakralne funkcje. Ale ta epoka powoli dobiega końca. Przecież wszystkie te, skądinąd pożyteczne, ciekawe i z radością witane projekty „przybliżania”, „otwierania”, „wychodzenia na ulicę”, cała ta multimedialna rewolucja i warsztaty dla dzieci (bo tylko im, niestety, wypada brać

kredek do ręki, co za niesprawiedliwość!) oznaczają desakralizację i koniec kultu Filcowego Papucia. Ochronna aura świętości ustępuje miejsca technokratycznym wymogom konserwatorskim: nie macać, nie chuchać, bo się zniszczy, a drogie. Ale nie dlatego, że *sacrum*.

A nawet gdyby świątynia, to skąd ten oburz, że jedli i pili? Co się innego robiło w świątyniach, odkąd Grecy postawili pierwszy z dwóch filarów, na których stoi nasza kultura? Zarzynać, sprawiać, opiekować, zjadać – to są przecież ważne religijne czynności, a palenisko jako symboliczny środek *polis* oraz jego bogini Hestia to pojęcia kluczowe także dla zrozumienia „politycznej religii”, jaką była grecka demokracja.

Drugi, chrześcijański filar naszej tożsamości łączy świętość z jedzeniem w sposób bardziej symboliczny. Zostawia zabijanie barana wyznawcom starego zakonu, ale jednak pokarm i strawa wciąż krążą blisko centrum całego słownego oprządkowania wiary i jej materialnych przejawów. Stąd np. akcja wspólnoty Sant’Egidio przed świętami Bożego Narodzenia urządzającej w kościołach wielkie obiady dla ubogich niektórych gorszy, a innych, równie licznych, raduje. To się wszystko mieści w naszym bagażu, nawet jeśli sami nie sięgamy zeń akurat tego.

To jak, idziecie ze mną na piknik w muzeum? Wybieram się na wystawę Fransa Halsa w Berlinie, zapewniam kanapki i zimne piwo (niestety z butelek, bo glinianego dzbanka, jakże stosownego w tym kontekście, nie dzwignę). Grzywnę każdy płaci z własnej kieszeni.



Konfitura z buraków

Jeśli już mamy siedzieć w areszcie, to niechże kanapki będą pamiętne. Jest teraz czas na dobre przetwory z buraków, które jeszcze nie smakują piwnicą.

1 kg niedużych buraków **2** czerwone cebule **1** ząbek czosnku
100 ml octu winnego
150 ml czerwonego, wytrawnego wina **1** pomarańcza
■ majeranek ■ tymianek ■ cukier

Buraki obieramy i kroimy w ćwiartki, lekko skrapiamy *octem* i paroma łyżkami wody, dodajemy nieco *majeranku* i *tymianku* oraz *skórkę z pomarańczy*. Solimy, zapiekamy pod folią w 180 st. przez ok. godzinę, aż zmiękną. Gdy wystygną, trzemy je na drobnej tarce, zachowując płyn, jaki się zebrał w blaszce. Na patelni dusimy pod przykryciem na **2 łyżkach oliwy** drobno posiekane *cebule* z **2-3 łyżkami cukru**, aż cebula zacznie się karmelizować. Dodajemy starte buraki z płynem, posiekany *czosnek*, *ocet*, *wino*, *parę łyżek cukru*, *sok z pomarańczy*. Dusimy na wolnym ogniu pod przykryciem co najmniej pół godziny, odkrywamy i odparowujemy do pożądanej gęstości. ©P

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



ACAPULCO W CHODZIEŻY

Każda rzecz używana posiada dwie historie: oficjalną i prywatną.
Dlatego w kolekcjonowaniu kluczowa jest wyobraźnia.

MARTA SYRWID



W MOJEJ KOLEKCJI PRZEDMIOTÓW VINTAGE KAŻDY JEST zbytkiem, rzeczą niekonieczną, której pierwszym zadaniem jest się podobać. Dopiero później – ewentualnie – spełnia rolę: talerza, wazonu, krzesła, wieszaka na ubrania. *Vintage* to rzeczy traktowane specjalnie, mają służyć oczom. Bywają kruche i także z tego powodu – jeżeli pozostaną nienaruszone – z wiekiem zyskają na wartości.

W cenę sztuki, również użytkowej, wlicza się przecież czas, lata troski, dekady delikatnego obchodzenia się. W przypadku figurek produkowanych przez Zakłady Porcelany Stołowej w Ćmielowie można wręcz obliczyć wartość czasu minionego w złotych. Cena tych produkowanych współcześnie przez AS Ćmielów (z form-matek) jest dwu-, trzy-, a czasem nawet dziesięciokrotnie niższa od tej, jaką osiągają na licytacjach figurki powstałe na przełomie lat 50. i 60.

W 2022 r. 64-letni Jeż Hanny Orthwein (projekt z 1958 r.) sprzedał się w internetowym domu aukcyjnym za 1200 zł, podczas gdy identyczny, dopiero co wypalony w piecu, jest dostępny od ręki za niecałe 500 zł. Proces produkcji obu Jeży był taki sam – zostały odlane w formach gipsowych, oczyszczone, szklione i ręcznie dekorowane. Każdy ma unikatowy numer, wyglądają identycznie. Oprócz ceny różni je czas.

Uwaga, głowa

Jest w mojej kolekcji zachowana idealnie, wykonana z cienkiego niebieskiego szkła ludzka głowa naturalnych rozmiarów, pochodząca być może z Niemiec (Ingrid Glas), albo z Hiszpanii (San Miguel). Dałam za nią dosłownie kilka dych, choć głowy z barwionego w masie (a nie malowanego) szkła potrafią w Polsce kosztować nawet kilkaset złotych.

Można jej używać jako stojaka na słuchawki albo kapelusze, ale ja wolę na nią tylko patrzeć. Przyszła do paczkomatu zapakowana pancernie. Tamtego wieczoru, przejęta, ostrożnie rozcinałam kolejne warstwy tektury i folii bąbelkowej, a potem wilgotną chusteczką wycierałam z kurzu delikatne szkło, przytrzymując je dla pewności drugą dłonią. Czystą głowę postawiłam na wschodnim parapecie, by następnego dnia rano załśniła w zimowym słońcu. Tamtego ranka rosyjskie czołgi wjechały na Ukrainę na czterech liniach frontu i na długo o niej zapominałam. Po paru tygodniach znów głowę dostrzegłam, przypominając sobie ostatni wieczór w czasach, gdy najbardziej martwiłam się o szkło.

Kiedy dwa lata później się przeprowadzałam, owinęłam niebieską głowę w trzy koce i umieściłam w osobnym koszu, zabezpieczając jego boki ścierkami do naczyń. Na toboł przykleiłam karteczkę „szklana głowa, bardzo uważać!”. To oczywiście bzdura,

Po lewej: Talerze-asteroidy na wystawie „Eryka i Jan Drostowie. Polskie Projekty Polscy Projektanci”. Gdynia, lipiec 2021 r.

Po prawej: Lampka Edwarda Craven-Walkena do dziś produkowana jest w niezmienionym kształcie przypominającym raketę startującą w kosmos

zdobyczna błahostka, nawet nie pamiątka. A jednak bardzo nie chciałabym jej stracić.

Tak jak włocławskiego porcelanowego kubka z „Kujawiakiem” Zofii Stryjeńskiej (z sześciu wysłanych do mnie w paczce – luzem, w owijce z papieru toaletowego – ocalał tylko ten), Ćmielowskiego talerzyka z nadrukiem „100 lat polskiej hodowli buraka cukrowego” czy szklanej tabliczki z wygrawerowanym napisem „STOŁÓWKA”, odnalezionej w śmieciach po remoncie jednej z tysięcy szkół na tysiącletcie.

Towarzyszą mi w każdym z wynajmowanych mieszkań. To takie różowe spodeczki, które tanki zamienić mogą w pianę, a którymi obrosłam jak poczuciem bezpieczeństwa.

Vintage, dobry rok

Odnotowany już w XV w. angielski rzeczownik *vintage*, oznaczający winobranie, w następnych stuleciach stał się synonimem słów „epoka”, „okres” czy „sezon”. Również jako przymiotnik stosowany był najpierw w enologii dla określenia znakomitego wina rocznikowego – wyprodukowanego ze szczepu winogron zebranych wyłącznie w jednym sezonie. Ponieważ pogodowe zmienne uniemożliwiają produkowanie rok w rok równie doskonałego wina, *vintage wine* to wino wyjątkowe.

Dziś przymiotnikiem *vintage* opisuje się – ogólnie, ale pochlebnie – charakter przedmiotów używanych. *Vintage* oznacza zaletę i zawdzięcza to właśnie enologicznym korzeniom. Bo o tym, czy przedmiot jest *vintage*, decyduje rok produkcji, ale i to, co owa data za sobą niesie.

W dacie jest świat minionego czasu: przedmiot *vintage* to ten, o którego kształcie, zdobieniu, materiale i technice wykonania zdecydowały mody, nastroje, wydarzenia i odkrycia czasów jego produkcji.

Atmosfera dekady wpłynęła na przykład na fakt istnienia metalowego pudełka, które kupiłam parę lat temu na Allegro. Wymiary: 7 na 5 cm, wysokość niecałe 2. Na zewnątrz zdobione złotym nadrukiem. Z przodu i z tyłu logo „zVz” oraz rozwinięcie skrótu Zigarettenvertrieb vereinigten Zigarettenfabriken oraz adres: Berlin NW 87. Po bokach: 10 ZIGARETTEN 1936.

Obrazek na wieczku prawie nienaruszony: rozsunęta artdecowska kurtyna odsłania scenę, na którą spomiędzy greckich kolumn wybiega ku palaczowi papierosów nagi bóg – umięśniony maratończyk niosący pochodnię. Pod sceną: data z dziewiątką i szóstką, których brzuchy są okrągłe jak rondo. Dopiero kiedy się pudełko otwiera, czuć, jak cienka jest blacha. Wnętrze nie zostało zadrukowane, widać ślady zużycia: metal poczeriał, z przeżartych rogów wyłazi rdza. Zawias działa gładko, ale brzegi pokrywki są pofałdowane. Kiedy już się tę puszkę otworzy, niełatwo potem ją zamknąć.

Według katalogu Deutsche Digitale Bibliothek egzemplarz znajduje się także w zbiorach Deutsches Historisches Museum →



→ (nr AK 94/516.1154). Czy taka metryka i okoliczności produkcji – Letnie Igrzyska Olimpijskie w stolicy III Rzeszy – sprawiają, że pudełeczko to bardziej antyk czy jednak wciąż przedmiot *vintage*? I jak wytyczyć granicę między nimi?

Vintage jest określeniem potocznym, dotyczy rzeczy od antyków młodszych. Ubraniom wystarczy dwadzieścia lat, by uznano je za *vintage*, podobnie jest w przypadku wyposażenia wnętrz: lamp, mebli, zastawy stołowej. Licząca ponad 55 tys. obserwujących prywatna facebookowa grupa Vintage Design PRL dopuszcza dziś do sprzedaży przedmioty wyprodukowane do roku 1999, ale jeszcze dwa lata temu tą cezurą był rok 1989.

Z drugiej strony: na publicznej grupie sprzedażowej Stragan Odzysku – Vintage PRL Loft (195 tys. obserwujących) nie wprowadzono daty określającej minimalny wiek oferowanych przedmiotów. Można tam sprzedać „wszystko co stare, znalezione, odzyskane, niechciane. Dotyczące czasów PRL, designu vintage czy loft. Wszystko co ma swój klimat. Wszystko to, co można uratować przed zapomnieniem”.

Znaczenie słowa „antyk” ograniczone zostało natomiast oficjalnie, według ustawy. Antykami są przedmioty, których „wiek przekracza 100 lat, nie będące przy tym dziełami sztuki lub przedmiotami kolekcjonerskimi”. Na liście pojęć warto jednak odnotować także bardziej szczegółowe, choć potoczne *true vintage* oznaczające, że przedmiot ma co najmniej lat 50.

Oficjalnie olimpijskie pudełeczko jest za młode na bycie antykiem, pozostaje *vintage*, a ściślej: *true vintage*.

UFO, kosmiczny wyścig

Każda rzecz używana posiada dwie historie: oficjalną i tę prywatną. Oficjalną historię przedmiotów o autoramencie mniej wyraził niż puszka z 1936 r. można odtworzyć z pieczętek manufaktury, punc złotniczych, wyrytych rylcem inicjałów czy z resztek papierowej metki. Jeżeli ich brakuje, pozostaje oko, odnajdujące trop w kształtach, fakturze, kolorach. Wyszukiwarka Google Grafika, choć pomocna, nie widziała (jeszcze) wszystkiego (wciąż np. nie daje jasnej odpowiedzi na pytanie o pochodzenie niebieskiej szklanej głowy). Wyroby ze szkła, również te polskiej produkcji, w przeciwieństwie do porcelany czy ceramiki rzadko posiadają trwałe sygnatury.

Do dziś wypłynęło na przykład zaledwie siedem szkielek projektu Jana Sylwestra Drosta podpisanych (zapewne ręczną szlifierką – dremelem) przez autora. Wazony, owocarki i patery oznaczano zwykle naklejką, którą pierwszy właściciel usuwał, jeżeli traktował szkło wyłącznie użytkowo. Taka metka mogła też z biegiem czasu po prostu złuszczyć się i odpaść. Ale sam przedmiot wpisywał się przecież w pejzaż swojego czasu.

Asteroidy, czyli zastawa stołowa ze sprasowanego szkła, z wypustkami przypominającymi krokodylą skórę (albo krater na księżycu) zaprojektowane zostały przez Drosta w dekadzie pierwszych załogowych lotów kosmicznych, natomiast Eryka Trzewik-Drost równolegle zaproponowała szklaną galanterię stołową „Stella” – z centralnie umieszczoną na talerzach ośmioramienną gwiazdą. W podobnym czasie w kawiarni warszawskiego Hotelu Europejskiego rozgościły się fotele „UFO”, a w Wielkiej Brytanii furorę robiła Astro Lava. Lampka Edwarda Craven-Walkena do dziś produkowana jest zresztą w niezmiennym kształcie przypominającym raketę startującą w kosmos.



Ręcznie malowane ozdobne talerze z Włocławka, marzec 1968 r.
Na prawej stronie fotel „UFO”

Jej klosz wypełnia kolorowa magma, która przelewa się pod wpływem grawitacji i ciepła żarówki (kilkanaście lat później lampę-raketę wyprodukowano również w Związku Radzieckim, tyle że zamiast magmy plumkają w niej metalowe opiłki). Inspirację motywami Space (lub Atomic) Age przypisuje się także produkowanym w latach 60. lampom fińskiej projektantki Heleny Tynell (klosze wyglądają jak spienione bąble), a żyrandole nawiązujące kształtem do satelitów, raket, wyobrażeń o statkach kosmicznych i ciałach niebieskich były od lat 50. produkowane powszechnie, m.in. we Włoszech (Stilnovo), Niemczech (Honsel Leuchten, Limburg) czy w Belgii (Massive).

Wieżowce, wazony

Fachowa wiedza pomaga w identyfikacji i orientacji na osi czasu, ale nie powinna wykluczać korzystania z wyobraźni, intuicji i pamięci. Dzięki nim można uchwycić mniej oczywiste przepływy. W zabudowie warszawskiej Ściany Wschodniej dostrzega się wtedy ładę zastawioną szkłem z Huty Szkła Gospodarczego Żąbkowice. Rotunda PKO (oddana do użytku w roku 1966) okazuje się wówczas paterą „falbanką” o fasonie zaprojektowanym w roku 1910 (projekt wznowiono po wojnie), a w punktowcach przy ul. Zgoda 13, Świętokrzyskiej 35 i Chmielnej 35 – widzi się trzy wazony optyczne Drosta.

Wazony i wieżowce są rówieśnikami: bloki oddane zostały do użytku w 1969 r., a projekty wspomnianych wazonów powstały w latach 1963-1968. Bryły budynków i wazonów mają zbliżone kształty, są opływowe dzięki lekko ściętym krawędziom bocznym, ich partery pozostają węższe, gładkie. Elementy architektury: siatka ram okiennych, linie podziału pięter, ukryte w elewacji skośne balkony i wynikająca z powyższych rytmika geometrycznych załamań dają efekt bliski temu, który osiągnął Drost, szatkując prostopadłymi szlifami szklane zewnętrzza optycznych, soczewkowych wazonów.

A kiedy już zobaczy się w punktowcach wazony Drosta, kusi, by również na domy towarowe – Warsa, Sawę, Juniora

– spojrzeć jak na ciężkie kryształowe szkатуły z wieczkami-popielniczkami, te wyprodukowane w Hucie Szkła Kryształowego Julia. Może gdyby Tadeusz Konwicki kolekcjonował szkło, wyobraźnia podpowiedziałyby mu, że po drugiej stronie Marszałkowskiej – naprzeciwko kamiennego tortu, którego tak nie znośli – pysznią się perły z polskich hut.

Syrena, zagadka

Nie bagatelizowałabym roli wyobraźni w doświadczeniu kolekcjonera również dlatego, że to na niej trzeba polegać, odgadując prywatną historię przedmiotu. Niebogaci zbieracze nie kupują w showroomach, gdzie rzeczy są już odczyszczane, czasem także po renowacji. Kupują na targowiskach, OLX i Allegro, gdzie kupić tanio znaczy kupić od osoby, która nie wie, jak cenną rzecz posiada.

Itak – żółtoszare warstwy lepkiego brudu na fajansowych talerzach ściennych z Włocławka rodzą w wyobraźni dość oczywiste obrazy kuchni, w której talerze te wisiały obok kalendarza i Matki Boskiej Karmiącej, gromadząc kurz i opary smażonych kotletów. Jaka jest jednak historia kurzu osiadłego na pochodzącym z lat pięćdziesiątych kaflu dekoracyjnym Jéana Lurçata, zmarłego w 1966 r. francuskiego projektanta ceramiki, obrazów tapet i tkanin?

Po wyczyszczeniu kafla szczoteczką do zębów maczaną w mydlinach, z ciemnobrazowego tła wydobyłam biało-czerwono-żółtą syrenę o kanciastym, poszarpanym ciele – jeden z charakterystycznych dla artysty motywów. Kupiłam ten kafel za trzydzieści złotych w podkarpackim komisie Szafirek, wyłuskując spośród kilkudziesięcioletnich mebli, używanych umywalk i wysiedzianych wózków inwalidzkich.

Skąd się wziął w Dąbrówce Wisłockiej? Czy parę miesięcy wcześniej, gdzieś w Niemczech – skąd pochodzi większość rzeczy sprzedawanych w Szafirku – wnuczka opróżniające mieszkanie po zmarłym dziadku wyrzuciły kafel razem z innymi rzeczami, które im się nie spodobały? Kto, siedemdziesiąt lat wcześniej, kupił ten kafel w Perpignan, na południu Francji, gdzie w niewielkim studiu warsztatowym Sant Vicens wypalono go i ozdobiono? Jaka była wtedy jego cena? Przez ile rąk potem przeszedł? Czy w ciągu tych wszystkich dekad został choć raz umyty? Czy ktoś wcześniej uśmiechał się, jak ja, z satysfakcją zwycięskiego łowcy, na widok tej syreny o czuprynie jak kłębówisko węży?

Prywatna historia, której można się tylko domyslać, zapisała się również w plastiku konewki zaprojektowanej przez Klausa Kunisa w latach 60. Kiedy trafiła do mnie, jej górna część – oryginalnie żółta – była już tylko jasnobłękitna. Czy wypłowiła od słońca, bo poprzedni właściciel latami odkładał ją w to samo miejsce, po-

między kwiatami, które potrzebują dużo światła? A może zbłądła wyłącznie „ze starości”, barwnik się utlenił, woda odbarwiła materiał?

Woda, no właśnie – a skąd w używanych wazonach kamień? Kilka razy, kupując okazynie stare ceramiczne lub szklane wazony, prócz zdechłych much, usuwałam z ich wnętrza wżartą w ścianki obręcz kamiennego osadu. Po ilu miesiącach stojąca w naczyniu woda zostawia osad tak gruby, że po kilkukrotnym potraktowaniu go kwasem cytrynowym wciąż czuć pod palcem chropowaty nalot? Czy to możliwe, że poprzedni właściciel trzymał w wazonie zwędłe kwiaty aż tak długo? A może wazon służył do zbierania deszczówki?

Konsumy, stołówka MO

Na pograniczu historii oficjalnej i historii prywatnej przedmiotu sytuowałabym za to watek Acapulco w Chodzieży. Uruchamiam domysły i wyobraźnię, bo nie udało mi się dotrzeć do źródeł tłumaczących, jak to się stało, że proste porcelanowe kubki z Chodzieży z lat 70. zdobione są tym samym (choć bledszym) wzorem, jaki widnieje na porcelanowej zastawie stołowej Villeroy & Boch.

Wzór nazywa się Acapulco i prawdopodobnie w roku 1967 zaprojektowała go dla luksemburskiej manufaktury Christine Reuter, zainspirowana ludową sztuką meksykańską. Kto przywiózł Acapulco do Wielkopolski? Czy wykonał wzór z pamięci, bo widział te przedmioty za granicą, czy wzorował się na zdjęciach z zachodniej prasy? A może zobaczył ten model na Międzynarodowych Targach Poznańskich?

Niebieska szklana głowa przetrwała przeprowadzkę. W nowym mieszkaniu tabliczkę z napisem STOŁÓWKA przymocowaliśmy nad blatem kuchennym. Kubek z „Kujawiakiem” stoi obok tego z nadrukiem Konsumy (ze stołówki MO) i filiżanki dziecięcej z Dżekim i Nuką – niedźwiadkami z japońskiej dobranocki wyświetlanej w Polsce od 1985 r.

Obiady jemy na talerzach Lubiany – tych, które na rancie mają sztucze w kółeczku, a popcorn wysypujemy do zielonej misy – wyprodukowanej w RFN jako donica pod bożonarodzeniową choinkę. Pewnie za parę lat trzeba się będzie znów przeprowadzić, bo właściciel sprzedaje mieszkanie albo podniesie czynsz o kilkadziesiąt złotych za wysoko. Kolejny raz zabezpieczymy i przewieziemy całą tę scenografię, która tworzy nasz dom. Będziemy bardzo uważać.

© MARTA SYRWID

Autorka jest redaktorką literatury pięknej. Prowadzi Kurs Pisania Powieści, organizowany przez Kraków Miasto Literatury.



STANISŁAW

Mancewicz: W zawieszeniu



ZATRZYMANIE W WARSZAWIE JEDNEGO z najbardziej niemoralnych, a zarazem groteskowych polityków dzisiejszej doby, człowieka bez hamulców w każdym sensie, będącego akurat w trakcie biznesowej podróży z Albanii do Azerbejdżanu, było ostatnio wydarzeniem ważnym, choć – przynajmniej – nie najważniejszym.

Ponieważ wciąż nam mało bodźców, a standardowe opisy świata zniechęcają nas do idei wolności słowa, przenieśliśmy się do mediów inaczej opisujących świat nas otaczający. Kierujemy zatem uwagę ku narracjom mającym zdolność uwalniania w naszym mózgu – od przysadki po płyty skroniowe – pełnej palety związków chemicznych, substancji a to zwiotczających, a to spektakularnie usztynniających. Wypada tu rzec, że jesteśmy od tych zwiotczeń albo usztynnień całkiem uzależnieni, też dlatego, że świat jest w tych mediach w całości polski i rdzennie polski. Każdy przyzna, że odkrycie, iż każde wydarzenie na świecie i we wszechświecie można opisać ze ściśle polskiej perspektywy, jest wspaniałym osiągnięciem.

Do rzeczy. Łaknęliśmy porządnej, sienkiewiczowskiej relacji z zatrzymania polskiego polityka, biznesowo i naukowo, humanistycznie, motoryzacyjnie, paliwowo i sportowo obecnego na rynku albańskim, azerskim, ale i kazachskim i *de facto* każdym, w tym – na światowym rynku myśli konserwatywnej. Chcieliśmy precyzyjnej informacji, jakim torturom ów został poddany przez reżym Uśmiechniętej Polski.

Trudno sobie wyobrazić bezmiar naszego rozczarowania, bo dowiedzieliśmy się z suchych jak pieprz zdań tyle, że

polityk na chwilę obecną jest poddawany tzw. czynnościom, a b. Gospodarz, zamiast wezwać, by cięższą podano mu zbroję, zawiesił zatrzymanego w prawach członka. Zawieszeniu w prawach członka – każdy to wie – towarzyszy zawsze dezorientacja. Zdezorientowany i sflaczały jest zarówno zawieszony, jak i widzownia. A więc trzeba tu przyznać, że jesteśmy zdezorientowani, zaskoczeni i rozczarowani. Jesteśmy sflaczali. Nie tego oczekujemy od przywódców, a więc dyrygentów naszych emocji. Można zatem rzec, że magazynująca się w naszych głowach energia, bez stosownego bodźca, idzie na marne. Choćby i człowiek chciał zrobić coś pożytecznego dla Polski, to nie może, bowiem zawieszenie w prawach członka jest paraliżujące. Poddawanie się paraliżowi nie jest jednak w naszej naturze, więc znaleźliśmy ujście naszych potrzeb i bulgotów w kibicowaniu amerykańskiej kampanii wyborczej.

Powiada się efektownie, ale trochę bezrefleksyjnie, że kto przeżył w ostatnich dekadach choćby jedną polską kampanię wyborczą, ten się w cyrku nie śmieje. To złośliwość, choć jest w niej gorycz i żal za czasami, gdy ktokolwiek, jakkolwiek próbował wyborców zaciekawić czymś więcej niż grepsem, bądź wołaczem, bądź słowem dłuższym niż dwusylabowe. Oto od dłuższego już czasu mamy wrażenie, że polityczne praktyki, teorie i metody zmieniły kierunek przemieszczania się; dawniej szło to wszystko z Zachodu do nas, na Wschód. Nasi jechali się szkolić do Ameryki i stamtąd przywozili tu, na polskie poczwie rżysko, bijące w oczy kampanijne błękity i czerwienie.

Dziś jest na odwrót. Od nas na Zachód płynie rzeka pomysłów, jak grać, żeby wygrać. Jesteśmy najgłębiej przekonani, że fraza o tym, iż emigranci zjadają koty i psy, jest naszym pomysłem, podsunętym Republikanom. Też dlatego, że od lat jesteśmy bohaterami wielu kampanii w wielu krajach, w tym jako konsumenci kaczek z angielskich stawów, ryb pływających w sadzawkach, amatorzy aut i pracy na czarno. Wiemy, jak to działa. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.



ERGO
HESTIA®

GRZEGORZ TURNAU

TRASA **XL**

24.03.2025

TEATR WIELKI
OPERA NARODOWA
W WARSZAWIE

BILETY: BILETSERWIS.PL

KONCERT Z OKAZJI JUBILEUSZU
40-LECIA PRACY TWÓRCZEJ GRZEGORZA TURNAUA

